

Vladimir

# Nabokov

ROZPACZ



**Vladimir Nabokov**  
**ROZPACZ**

Przełożył Leszek Engelking



Wydawnictwo ATEXT · Gdańsk 1993

*Dla Wiery*

## **Przedmowa do wydania amerykańskiego [1966]**

Rosyjski tekst *Rozpaczy* (*Otczajanije* – o wiele dźwięczniejszy skowyt niż *Despair*) powstał w roku 1932 w Berlinie. Emigracyjne czasopismo paryskie „Sowriemiennyje zapiski” wydrukowało go w odcinkach w 1934, a w 1936 książkę opublikowało również emigracyjne wydawnictwo Petropolis w Berlinie. Podobnie jak inne moje utwory (mimo nadziei Hermanna) *Rozpacz* jest zakazana w prototypowym państwie policyjnym\*.

Pod koniec 1936 roku, nadal mieszkając w Berlinie – gdzie inne bestialstwo dorwało się do megafonów – dla londyńskiego wydawcy przełożyłem *Otczajanije* na angielski. Bazgrałem coś w tym języku od swego literackiego urodzenia, by tak rzec, na marginesie utworów rosyjskich, ale to była pierwsza moja poważna próba (jeśli nie liczyć kiepsciutkiego wiersza wydrukowanego około roku 1920 w literackim piśmie uniwersytetu w Cambridge) posłużenia się angielszczyzną w celach, które można by ogólnie określić jako artystyczne. Efekt pracy wydał mi się niezgrabny pod względem stylistycznym i poprosiłem dosyć zrzędlivego Anglika, którego znalazłem przez agencję w Berlinie, żeby rzecz całą przeczytał. Wytropił kilka błędów w rozdziale I, ale nie chciał pracować dalej, mówiąc, że książki nie pochwała, podejrzewam, że zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to autentyczne wyznanie.

W roku 1937 londyńskie wydawnictwo John Long Limited ogłosiło angielską *Rozpacz* w poręcznej edycji z dołączonym do niej na końcu *catalogue raisonné* własnych publikacji. Mimo tego dodatku książka sprzedawała się źle, a kilka lat później niemiecka bomba zniszczyła cały nakład. Jedyńm ocalałym egzemplarzem jest, o ile wiem, mój własny, ale kilka innych być może przyczało się

---

\* Po jego rozpadzie oczywiście się tam ostatecznie ukazała (przyp. tłum.).

jeszcze gdzieś pośród porzuconych lektur na mrocznych półkach nadmorskich pensjonatów między Bournemouth a Tweedmouth.

Dla potrzeb niniejszego wydania nie tylko przejrzałem swój przekład sprzed trzydziestu lat, zrobiłem coś więcej: wprowadziłem zmiany w stosunku do oryginału. Szczęśliwi badacze, którzy mogą porównać wszystkie trzy teksty, zauważą też, że dodałem pewien istotny fragment, głupio opuszczony przed laty, w bardziej bojaźliwych czasach. Czy z punktu widzenia uczonego takie postępowanie jest uczciwe, czy jest rozsądne? Łatwo mogę sobie wyobrazić, co powiedziałyby Puszkini drżącym autorom parafraz swoich dzieł, wiem jednak również, jak uradowany i podniecony byłbym w 1935 roku, gdybym mógł wtedy przeczytać wersję powieści, pochodzącą z 1965. Ekstremalna miłość młodego pisarza do starego twórcy, którym sam kiedyś się stanie, to ambicja w postaci najbardziej godnej pochwały. Ów starszy pisarz jednak, siedząc w swej większej bibliotece, nie odwzajemnia tych uczuć, gdyby bowiem przypomniał sobie nawet z niejakim żalem niegdysiejsze czyste podniebienie i oko, to dla partactw terminującego w zawodzie młodzika nie ma nic prócz pełnego zniecierpliwienia wzruszenia ramion.

*Rozpacz*, nieodrodna krewna moich pozostałych książek, nie próbuje krytykować stosunków społecznych ani nie przynosi w zębach żadnego przesłania. Nie krzepi duchowego organu człowieka ani nie ukazuje ludzkości właściwej drogi. Zawiera o wiele mniej „idei” niż owe mocno wulgarne powieści, tak histerycznie oklaskiwane w krótkim, pełnym pomieszanych ech momencie przejścia pomiędzy hałaśliwą reklamą a gwizdami. Przedmiot o pociągającym kształcie albo sen o sznyclu wiedeńskim, które, jak mu się zdaje, namiętny freudysta dostrzega w dalekich perspektywach moich pustyń, po bliższym zbadaniu okażą się szyderczą fatamorganą, przygotowaną przez moich agentów. Pozwolę sobie jeszcze dodać, tak na wszelki wypadek, że mądrzej by było, gdyby znawcy szkół literackich powstrzymali się tym razem od banalnego wywlekania „wpływu niemieckich impresjonistów”: nie znam niemieckiego i nigdy nie czytałem impresjonistów, kimkolwiek

by byli. Znam natomiast francuski i ciekaw jestem, czy ktoś nazwie mojego Hermanna „ojcem egzystencjalizmu”.

Książka ma mniej „białogwardyjskiego” posmaku niż inne moje emigranckie powieści\*, będzie więc mniej kłopotliwa i irytująca dla czytelników wychowanych na lewicowej propagandzie lat trzydziestych. Nieskomplikowani czytelnicy z kolei z radością powitają jej nieskomplikowaną strukturę i przyjemną fabułę, która jednak nie jest bynajmniej tak zupełnie dobrze znana, jak uważa autor bezceremonialnego listu z rozdziału XI.

W całej książce jest sporo zabawnych dialogów, a ostania scena z Feliksem, rozgrywająca się w zimowym lesie, to oczywiście niezła komedia.

Nie jestem w stanie przewidzieć ani uniemożliwić prób odkrycia w alembikach *Rozpaczy* czegoś przypominającego retoryczny jad, który wszczepiłem językowi narratora pewnej swojej późniejszej powieści. Hermann i Humbert są do siebie podobni tylko o tyle, o ile dwa smoki namalowane przez tego samego malarza w różnych okresach jego życia przypominają się wzajemnie. Obydwaj są neurotycznymi łajdakami, jest jednak w rajku taka zielona alejka, po której raz do roku wolno przechadzać się o zmierzchu Humbertowi, Hermannowi natomiast piekło nie pozwoli nigdy oddalić się choćby na chwilę.

Pojedynczy wers i fragmenty, które Hermann mruczy pod nosem w rozdziale IV, pochodzą z krótkiego, skierowanego do żony wiersza Puszkina z lat trzydziestych XVIII wieku. Przytaczam go tutaj w całości w moim przekładzie na angielski, zachowującym rytm i rymy oryginału, co rzadko bywa warte polecenia, ba, na ogół jest niedopuszczalne, chyba że przy bardzo szczególnym układzie gwiazd na firmamencie utworu, jak w tym przypadku.

---

\* Nie powstrzymało to komunistycznego recenzenta (J. P. Sartre'a), który w roku 1939 poświęcił zdumiewająco głupi artykuł francuskiemu tłumaczeniu *Rozpaczy*, od stwierdzenia, że „zarówno autor, jak i bohater są ofiarami wojny i emigracji” (przyp. autora).

Tis time, my dear, 'tis time. The heart demands repose.  
Day after day flits by, and with each hour there goes  
A little bit of life; but meanwhile you and I  
Together plan to dwell... yet lo! 'tis then we die.  
There is no bliss on earth: there's peace and freedom, though.  
An enviable lot I long have yearned to know:  
Long have I, weary slave, been contemplating flight  
To a remote abode of work and pure delight.

[Już czas, najmilsza, czas! o spokój serce prosi -  
Za dniami biegną dni, a każda z chwil unosi  
Okruch istnienia, dziś snujemy razem plany  
Wspólnego życia, lecz zgon przecie nam pisany.  
Nie zna, co szczęście świat, lecz wolność zna, wytchnienie:  
Godzien zazdrości los, moje od lat marzenie -  
Dawno, znużony rab, z myślą, by zbiec, się noszę  
Gdzieś, gdzie trud znajdę i czyste jak śnieg rozkosze.]\*

Owo „gdzieś”, do którego ostatecznie ucieka w panice Hermann, jest wielce rozsądnie i gospodarnie umieszczone w Roussillon, gdzie trzy lata wcześniej zacząłem pisać swoją szachową powieść *Obrona Łużyna*. Zostawiamy go tam na komicznym szczycie jego klęski. Nie pamiętam, co stało się z nim później. Po wszystkich tych piętnastu książkach i dwa razy większej liczbie lat, które dzielą mnie od tamtych czasów, nie mogę sobie nawet przypomnieć, czy Hermann zrobił kiedykolwiek film, który chciał wyreżyserować.

Vladimir Nabokov

Montreux, 1 marca 1965

---

\* Przekład mój – L.E. (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ I

Gdybym nie był całkowicie pewny swojej siły pisarskiej i cudownej zdolności wyrażania myśli z największą gracją i żywością.... Tak mniej więcej zamierzałem rozpocząć swoją opowieść. Dalej zwróciłbym uwagę odbiorcy na fakt, że gdyby brakowało mi owej siły, zdolności i tak dalej, to nie tylko powstrzymałbym się od opisanego pewnych niedawnych wypadków, ale w ogóle nie miałbym czego opisywać, albowiem, łaskawy czytelniku, nic by się nie było wydarzyło. Może to głupie, ale przynajmniej jasne. Jedynie dar przenikania forteli życia, wrodzona skłonność do nieprzerwanego ćwiczenia talentów twórczych pozwoliły mi... W tym momencie porównałbym człowieka łamiącego owo prawo, które podnosi tyle krzyku z powodu odrobiny przelanej krwi, z poetą lub artystą sceny. Ale, jak zwykle to ujmować mój biedny leworęczny przyjaciel: filozofia to wymysł bogaczy. Precz z nią.

Zdaje się, że nie wiem, jak zacząć. Zabawnie wygląda starszy jegomość, który z trzęsącymi się policzkami, pełen dziarskiego animuszu ciężko pędzi za ostatnim autobusem, dogania go wreszcie, ale boi się wskoczyć w biegu i niepewnie się uśmiechając i ciągle truchtając, zostaje w tyle. A więc boję się wskoczyć? A on ryczy, nabiera szybkości i za chwilę nieodwołalnie zniknie za rogiem – autobus, motorowy omnibus, potężny górobus mojej opowieści. Przyciężki obraz. Ciągle jeszcze biegnę.

Mój ojciec był rosyjskojęzycznym Niemcem z Rewla, gdzie ukończył słynną szkołę rolniczą. Matka, czystej krwi Rosjanka, wywodziła się ze starego, książęcego rodu. W gorące letnie dni rozleniwiona dama w liliowych jedwabiach spoczywała w bujanym fotelu i wachlując się chrupała czekoladę, wszystkie story były spuszczone, a wiatr z jakiegoś świeżo skoszonego pola wydymał je jak fioletowe żagle.



W czasie wojny jako poddany niemiecki zostałem internowany... To się nazywa pech, zważywszy na to, że właśnie wstąpiłem na Uniwersytet Petersburski. Od końca 1914 do połowy 1919 roku przeczytałem dokładnie tysiąc osiemnaście książek... Prowadziłem ewidencję. W drodze do Niemiec ugrzałem na trzy miesiące w Moskwie, gdzie się ożeniłem. Od 1920 mieszkalem w Berlinie. 9 maja 1930 roku, kiedy stuknęło mi trzydzieści pięć lat...

Małeńka dygresja: o matce zełgałem, umyślnie. Naprawdę pochodziła z ludu, była prostą, ordynarną kobieciną w brudnej kacabajce. Mógłbym, ma się rozumieć, przekreślić tamten kawałek o niej, ale specjalnie go zostawiam jako przykład uzewnętrznienia się jednego z najistotniejszych rysów mego charakteru: niefrasobliwej, pełnej natchnienia skłonności do kłamstwa.

Tak więc, jak już mówiłem, 9 maja 1930 roku bawiłem w interesach w Pradze. Moje interesy to czekolada. Bycza rzecz – czekolada. Niektóre panienki lubią tylko gorzką... nadęte małe grymaśnice. (Nie całkiem pojmuję, skąd u mnie ten ton.)

Ręce mi się trzęsą, mam ochotę głośno wrzasnąć albo rozbić coś z hukiem... Taki nastrój niezbyt sprzyja spokojnemu biegowi niespiesznej opowieści. Serce mnie świerzbi – paskudne wrażenie. Muszę się uspokoić, wziąć się w garść. Inaczej nie ma co posuwać się dalej. Całkowity spokój. Czekoladę, jak wiadomo... (bądź łaskaw, czytelniku, wyobrazić sobie tutaj opis jej produkcji). Na opakowaniach naszych wyrobów przedstawiona była ubrana na liliowo dama z wachlarzem w dłoni. Zaproponowaliśmy pewnej zagranicznej firmie, znajdującej się na krawędzi bankructwa, żeby zmieniła proces produkcyjny na nasz i zaopatrywała rynek czechosłowacki: w ten sposób znalazłem się w Pradze. Rankiem 9 maja pojechałem z hotelu taksówką do... Co za nuda opowiadać to wszystko. Można zanudzić się na śmierć. Ale chociaż pragnąłbym z całej duszy jak najszybciej osiągnąć punkt kulminacyjny, parę wstępnych wyjaśnień wydaje się niezbędne. No to uporajmy się już

raz z nimi: jak się okazało, biuro firmy znajdowało się daleko na peryferiach, nie zastałem tam faceta, z którym miałem rozmawiać, powiedziano mi, że wróci za jakąś godzinę...

Powiniennem, jak sędzę, poinformować czytelnika, że mieliśmy właśnie dłuższą przerwę. Słońce zdążyło już zejść, musnąwszy po drodze sangwiną chmury wiszące ponad górą (tu – w Pirenejach) bardzo podobną do Fujiyamy. Cały ten czas przesiedziałem w stanie jakiegoś dziwnego wyczerpania, to przysłuchując się świstowi i dudnieniu wiatru, to rysując na marginesie kartki nosy, to znów zapadając w półsen, by wzdrygnąć się nagle i ocknąć. I znowu wzbierało we mnie to wewnętrzne mrowienie, nieznośne podenerwowanie... a moja wola leżała osłabiona pośród wielkiej pustki... Musiałem zdobyć się na ogromny wysiłek, żeby włączyć światło i obsadzić nową stalówkę. Stara rozszczepiła się i wygięła, tak że wygląda teraz jak dziób jakiegoś drapieżnego ptaka. Nie, to nie była męka tworzenia, tylko... coś zupełnie innego.

Jak już mówiłem, potrzebnego mi człowieka nie było, owszem wróci, za godzinę. Nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem na spacer. Dzień był lekki, błękitny, jabłkowity; wiatr, daleki krewny tego tutaj, przelatywał wąskimi uliczkami; chmury co i rusz chowały w dłoni słońce, które potem ukazywało się znowu – jak moneta kuglarza. Skwer, po którym, pedałując rękami, jeździli inwalidzi, zalewała burza bzów. Rzuciłem okiem na szyldy nad sklepami i natrafiłem na słowo zawierające znany mi słowiański rdzeń, ale obrośnięte nieznanym znaczeniem. Szedłem bez celu, wymachując rękami w nowych żółtych rękawiczkach. Nagle szereg domów się urwał i ukazała się otwarta przestrzeń, która na pierwszy rzut oka wydawała się bardzo sielska i kusząca.

Minąwszy jakieś koszary, przed którymi żołnierz oprowadzał siwego konia, poczułem pod stopami miękkiej, lepkiej gruntu; dmuchawce drżały na wietrze, pod płótnem wygrzewał się w słońcu dziurawy but. Dalej wznosiło się ku niebu wspaniałe strome

wzgórze. Postanowiłem się na nie wspiać. Jego wspaniałość okazała się oszustwem. Pomiedzy karłowatymi bukami i krzakami czarnego bzu zygzakowato wila się w górę schodkowa ścieżka. Początkowo spodziewałem się za każdym kolejnym zakrętem natrafić na zakątek pełen cudownego, dzikiego piękna, ale owo piękno jakoś się nie objawiało. Monotonna roślinność nie mogła mnie zadowolić. Krzaki wyrastały z gołej ziemi, wszędzie pełno było śmieci: kawałków papieru, szmat, powyginanych puszek. Ze schodków ścieżki nie sposób było zejść, gdyż bardzo głęboko wrzynały się w zbocze; po obu stronach z glinianych ścian sterczały korzenie drzew i kłaki gnijącego mchu – jak pęknięte sprężyny ze zniszczonych mebli, w domu, w którym straszliwą śmiercią umarł obłąkany. Kiedy dotarłem wreszcie na szczyt, oczom moim ukazało się kilka krzywych chałup i kalesony na sznurku, które wiatr nadymał pozorem życia.

Oparłem łokcie na sękatej poręczy i daleko w dole ujrzałem przesłoniętą lekką mgiełką Pragę: połyskujące dachy, dymiące kominy, koszary, które niedawno minałem, malutkiego siwego konia.

Postanowiwszy wracać inną drogą, poszedłem szosą, na którą natrafiłem za chałupami. Jedyнным pięknym elementem krajobrazu był zbiornik gazowy na jakimś pagórku; kragły i czerwony, wydawał się na tle błękitnego nieba ogromną piłką futbolową. Zszedłem z szosy i zacząłem się znowu wspinać, tym razem po zboczach pokrytym rzadką darnią. Posępna, jałowa kraina. Z szosy dobiegł turkot ciężarówki, z kolei w przeciwnym kierunku przejechała furmanka, potem rowerzysta, a jeszcze potem furgon fabryki lakierów z namalowaną na boku obrzydliwą tęczę. W widmie słonecznym tych kanalii pas zielony sąsiedował z czerwonym.

Przez jakiś czas przypatrywałem się ze zbocza szosie, potem się odwróciłem i ruszyłem w dalszą drogę; znalazłem ledwie widoczną ścieżkę pomiędzy dwoma łysymi garbami. Po chwili zacząłem

rozglądać się za miejscem, gdzie można by odpocząć. Nie opodal pod krzakiem tarniny niedbale rozwalony, z czapką na twarzy leżał na wznak jakiś człowiek. Już go miałem wyminąć, ale coś w jego pozie osobliwie mnie zniewoliło: emfaza tego bezruchu, martwota tych rozrzuconych nóg, sztywność tej na wpół zgiętej ręki. Ubrany był w ciemną marynarkę i znoszone sztruksowe spodnie.

„Bzdura – powiedziałem do siebie. – Śpi, po prostu śpi. Po cóż miałbym wtykać nos w nie swoje sprawy?” Niemniej jednak podszedłem do leżącego i czubkiem swego eleganckiego buta strąciłem mu czapkę z twarzy.

Orkiestra tusz! Albo lepiej niech będzie werbel – taki, jaki towarzyszy przyprawiającemu o utratę tchu numerowi akrobatycznemu. Niewiarygodne! Powątpiewałem w prawdziwość tego, co ujrzałem, w zdrowie swego umysłu, poczułem mdłości, nogi ugięły się pode mną – słowo daję, musiałem usiąść, tak bardzo trzęsły mi się kolana.

Gdyby ktoś inny znalazł się na moim miejscu i zobaczył to, co ja, ryknąłby może śmiechem. Ja byłem zbyt oszołomiony tajemnicą kryjącą się w tym, co zobaczyłem. Patrzyłem – i wszystko zdawało się we mnie obluzowywać i na łeb na szyję spadać z wysokości dziesiątego piętra. Widziałem cud. Jego doskonałość, brak przyczyny i celu budziły we mnie osobliwą zgrozę.

Teraz, kiedy dobrałem się wreszcie do sedna sprawy i ugasilem ogień tego świerzbieńca, należałoby – jak sądzę – dać swej prozie komendę: „Spocznij!” – i po cichu wrócić po własnych śladach, by spróbować precyzyjnie określić nastrój, w jakim znajdowałem się owego ranka, odtworzyć bieg myśli, towarzyszących mi, kiedy nie zastawszy przedstawiciela firmy czekoladowej, poszedłem na spacer, wspinałem się na wzgórze, spoglądałem na czerwoną krągłość zbiornika gazowego na błękitnym tle wietrznego majowego dnia. A więc ustalmy fakty, za wszelką cenę ustalmy. Proszę, oto jestem – w jasnych rękawiczkach, ale bez kapelusza, jeszcze przed owym

spotkaniem, jeszcze wałęsam się bez celu. O czym myślałem? O dziwo, o niczym. Byłem najzupełniej pusty, można by mnie porównać do przezroczystego naczynia skazanego na przyjęcie nieznanej jeszcze zawartości. Kłęby jakichś myśli – o moim interesie, o kupionym niedawno samochodzie, o tym czy innym rysie otaczającego mnie krajobrazu – krążyły, by tak rzec, poza moim umysłem, a jeśli cokolwiek odzywało się echem w rozległych postaciach mego wnętrza, to było to niejasne wrażenie, że kieruje mną jakaś zewnętrzna siła.

Pewien mądry Łotysz, którego poznałem w Moskwie w 1919 roku, powiedział mi raz, że opary zadumy, w których bez żadnego powodu od czasu do czasu się pogrążam, to niezawodny znak, że skończę w domu wariatów. Ma się rozumieć, przesadzał; w ciągu ostatniego roku dokładnie wypróbowałem nadzwyczajną jasność i harmonijność owego opartego na żelaznej logice budownictwa, któremu oddaje się mój potężnie rozwinięty, ale najzupełniej normalny umysł. Swawole intuicji, wizja artystyczna, natchnienie, wszystkie te wzniosłe rzeczy, które tak bardzo podbarwiły moje życie, mogą – zapewne – wydać się laikowi, choćby nawet był inteligentny, wstępem do łagodnego szaleństwa. Uspokójcie się jednak; jestem najzupełniej zdrów, ciało mam czyste zarówno w środku, jak i na powierzchni, mój chód jest lekki, nie nadużywam alkoholu ani tytoniu, nie oddaję się rozpuście. Tryskając tedy zdrowiem, dobrze ubrany i młodo wyglądający wałęsałem się po wyżej opisanej okolicy – i tajemne natchnienie bynajmniej mnie nie oszukało. Znalazłem nareszcie to, co podświadomie tropiłem. Powtarzam: niewiarygodne! Widziałem cud, a jego doskonałość, brak przyczyny i celu budziły we mnie osobliwą zgrozę. Być może jednak już wtedy, w chwili gdy go ujrzałem, mój rozum zaczął sprawdzać ową doskonałość, szukać przyczyny, zastanawiać się nad celem.

Odetchnął głęboko, mocno pociągając nosem, drobniutkie fale życia pokryły mu twarz – cud lekko się zmacił, ale ciągle trwał. Otworzył oczy, spojrzął na mnie spode łba, usiadł i ziewając bez

końca – nie mógł się nasycić – zaczął się drapać po głowie: obiema rękami gmerał w gęstych kasztanowych włosach.

Był w moim wieku, chudy, brudny, z trzydniową szczeciną na brodzie; pomiędzy dolnym skrajem kołnierza (miękkiego, z dwiema kragłymi dziurkami na nieobecną szpilkę) a górnym skrajem koszuli różował wąski pasek skóry. Cienki dziany krawat opadał krzywo, z przodu na koszuli nie było ani jednego guzika. W butonierce wędło kilka bladych fiołków; jeden z nich się wysunął i zwisał główką w dół. Obok leżał sfatygowany plecak, odchylona klapka pozwalała dostrzec jakiś precel i spory kawałek kielbasy, budzący zwykle skojarzenia z niefortunną żądzą i brutalną amputacją. Przysiadłem, ze zdumieniem obserwując włóczęgę; sprawiał wrażenie, jakby włożył ten błazeński strój na jakiś staromodny prostacki bal przebierańców.

– Nie znalazłby się papierosek? – powiedział po czesku głosem, który okazał się niespodziewanie niski, a nawet stateczny, i dwoma rozstawionymi palcami wykonał gest palenia. Podsunałem mu swoją wielką papierośnicę, ani na chwilę nie spuszczać z niego oka. Pochylił się ku mnie, opierając się dłonią o ziemię, miałem więc okazję przyjrzeć się jego uchu i wklęsłej skroni.

– Niemieckie – powiedział, ukazując w uśmiechu dziąsła. Widok ten rozczarował mnie, ale na szczęście uśmiech znikł natychmiast (nie chciało mi się już rozstawać z cudem).

– Jest pan Niemcem? – spytał po niemiecku, obracając i gniotąc w palcach papierosa. Odpowiedziałem twierdząco i szcęknałem mu przed nosem zapalniczką. Chciwie osłonił złożonymi dłońmi drżący płomyczek. Paznokcie granatowoczarne, kwadratowe.

– Też jestem Niemcem – powiedział wypuszczając dym. – To znaczy ojciec był Niemcem, a matka Czeszką, z Pilzna.

Ciągle oczekiwałem jakiegoś wybuchu zdumienia z jego strony, na przykład niepowstrzymanego śmiechu, on jednak pozostawał obojętny. Dopiero wtedy zrozumiałem, jaki z niego nicpoń.

– Spałem jak suseł – powiedział do siebie z idiotycznym zadowoleniem i splunął ze smakiem.

– Bezrobotny? – spytałem.

Parę razy kiwnął posępnie głową i znowu splunął. Zawsze zdumiewały mnie zasoby śliny, jakimi zdaje się dysponować lud.

– Mogę przejść więcej niż moje buty – powiedział spoglądając na swoje stopy. Istotnie, obuty był kiepsko.

Powoli obrócił się na brzuch i patrząc na daleką gazownię i na skowronka, który z jakiejś bruzdy polnej wzbił się wysoko w niebo, mówił pełen zadumy:

– W zeszłym roku podłapałem świetną robotę, w Saksonii, tuż przy granicy. Praca w ogrodzie. Co może być lepszego?! Potem zaczęliśmy się w cukierni. Co noc po fajrancie przechodziliśmy z kumplem przez granicę – na kufelek piwa. Jedenaście kilometrów w jedną stronę i tyle samo z powrotem. W Czechach piwo jest tańsze, a kobitki więcej przy kości. A kiedyś to grałem na skrzypcach i trzymałem białą mysz.

A teraz spójrzmy z boku, ale tylko mimochodem, bez żadnej fizjonomiki. Proszę nie podchodzić za blisko, panowie, bo możecie doznać największego wstrząsu w swoim życiu. Albo i nie. Po wszystkim, co się wydarzyło, zrozumiałem niestety, jak bardzo stronniczy i niedoskonały jest wzrok ludzki. Tak czy owak, proszę: dwu mężczyzn na skrawku nędznej trawy. Jeden, elegancko ubrany, rytmicznie uderza się żółtą rękawiczką po kolanie, drugi, włóczykij o nieprzytomnych oczach, leży na plecach i narzeka na swoje życie. Szorstki szelest pobliskich krzaków tarniny. Pędzące chmury. Wietrzny majowy dzień, wstrząsany leciutkimi dreszczami,

podobnymi tym, które przebiegają po skórze konia. Turkot ciężarówki dobiegający z szosy. Głosik skowronka na niebie.

Włóczęga umilkł, potem znów zaczął mówić, spluwając w przerwach. Mówił to o tym, to o owym. Mówił i mówił. Westchnął melancholijnie. Leżąc na plecach, tak podciągnął nogi, że łydki dotknęły brzucha, po czym znów je wyprostował.

– Słuchaj, człowieku – nie wytrzymałem w końcu. – Czyś ty naprawdę nic nie zauważył?

Odwrócił się na bok i usiadł.

– O co chodzi? – spytał, a twarz zachmurzyła mu się podejrzliwie.

– Musisz być chyba ślepy – powiedziałem.

Przez jakichś dziesięć sekund patrzyliśmy sobie w oczy. Uniosłem powoli prawą rękę, ale jego lewica się nie poruszyła, a niemal tego oczekiwałem. Zamknąłem lewe oko, ale oboje jego oczu pozostawało otwarte. Pokazałem mu język.

– O co chodzi, co jest? – mruknął znowu.

Wyjąłem lusterko. Biorąc je, przesunął ręką po twarzy, a potem spojrzał na dłoń, ale nie było na niej ani krwi, ani ptasiego guana.

Przejrzał się w błękitnym lusterku, po czym oddał mi je ze wzruszeniem ramion.

– Ty głupcze – zawołałem. – Nie widzisz, że my dwaj... nie widzisz, głupcze, że jesteśmy... Weź, przyjrzyj mi się dobrze...

Przysunąłem jego głowę do swojej, tak że nasze skronie się zetknęły; w lusterku pływały dwie roztańczone pary oczu. Kiedy się odezwał, jego ton brzmiał protekcjonalnie:

– Bogaty do biedaka nigdy niepodobny, ale pan pewno wie lepiej. Pamiętam, kiedyś na jarmarku widziałem bliźniaków, w sierpniu dwudziestego szóstego... albo we wrzeźniu. Zaraz. Nie, to



musiał być sierpień. To dopiero było podobieństwo. Dosłownie nikt nie mógł odróżnić ich od siebie. Obiecywali sto marek każdemu, kto znajdzie najmniejszą różnicę. „Dobra” – mówi Fritz (nazywaliśmy go Marchwiszcze) i pac jednego z bliźniaków w ucho. „No co – mówi – jest różnica, jeden ma czerwone ucho, a drugi nie. Dawać mi tu tą stówę”. Aleśmy się wtedy uśmieiali!

Jego wzrok przemknął po jasnoszarym materiale mojego garnituru, prześliznął się po rękawie, potknął się i zatrzymał na moim nadgarstku ze złotym zegarkiem.

– A nie znalazłaby się u pana jaka robota dla mnie? – spytał unosząc głowę.

Zauważmy: to on, a nie ja, pierwszy dostrzegł masońską więź naszego podobieństwa; a ponieważ stwierdzenie owego podobieństwa wyartykułowałem ja, pozostawałem – wedle jego podświadomej kalkulacji – w subtelnej zależności od niego, jak gdybym ja był naśladowcą, a on naśladowanym wzorem. Oczywiście, każdy woli usłyszeć: „On jest podobny do ciebie”, niż odwrotnie. Zwracając się do mnie z prośbą o pomoc, ten łotrzyk badał grunt pod kątem przyszłych żądań. Gdzieś w odległym zakątku jego mętnego mózgowia przyczaiła się być może myśl, że zasługuje na moją wdzięczność za możliwość – jaką stwarza przez sam fakt swego istnienia – bycia podobnym do niego. Nasze podobieństwo uderzyło mnie jako graniczące z cudem dziwactwo. Jego zaś interesowało głównie to, że w ogóle zechciałem dostrzec jakiegokolwiek podobieństwo. Ja zobaczyłem w nim swojego sobowtóra, to znaczy istotę fizycznie identyczną ze mną, i właśnie owa identyczność przejęła mnie do głębi. On ze swej strony widział we mnie wątpliwego naśladowcę. Chciałbym wszelako podkreślić mętny charakter tych jego myśli. Ten tępak z pewnością nie zrozumiałby moich uwag na ich temat.

– Obawiam się, że w tej chwili niewiele mogę dla ciebie zrobić – odpowiedziałem chłodno. – Ale zostaw mi swój adres.

Wyjąłem notes i srebrny ołówek. Uśmiechnął się smutno:

– Nie mogę powiedzieć, żebym miał wille; lepiej spać w szopie na sianie niż w lesie na mchu, a lepiej na mchu niż na twardej ławce.

– Tak czy owak, chciałbym wiedzieć, gdzie cię można znaleźć.

Pomyślał chwilę i powiedział:

– Tej jesieni pewnikiem będę w tej samej wsi, gdzie pracowałem w zeszłym roku. Może pan tam posłać wiadomość na pocztę. To niedaleko od Tarnitz. Niech pan da, to napiszę.

Okazało się, że na imię ma Feliks, to znaczy „szczęśliwy”. Jego nazwisko, łaskawy czytelniku, to nie twój interes. Jego niezgrabne pismo zdawało się skrzypieć na zakrętach. Pisał lewą ręką. Czas mi już było iść. Wrzuciłem mu do czapki dziesięć koron. Z protekcyjnym uśmiechem wyciągnął do mnie rękę, nawet nie udając, że zamierza usiąść. Uścisnąłem ją jedynie dla osobliwego wrażenia, jakiego mógłby doznać Narcyz pomagający swemu odbiciu wyjść ze strugi i w ten sposób robiący dudka z Nemezis.

Prawie biegiem wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem. Obejrzałem się przez ramię i pośród krzaków zobaczyłem jego chudą ciemną postać. Z rękami pod głową leżał na plecach założywszy nogę na nogę.

Nagle poczułem się słaby, oszołomiony i śmiertelnie znużony – jak po jakiejś długiej i niesmacznej orgii. Włóczęga z zimną krwią, niby przez roztargnienie schował do kieszeni mój srebrny ołówek – to wywołało we mnie tę słodko mdlącą poświatę. Pochód srebrnych ołówków pomaszerował w głąb bezkresnego tunelu zepsucia. Idąc skrajem szosy, zamykałem chwilami oczy, aż w końcu omal nie wpadłem do rowu. Później, kiedy siedziałem w biurze i rozmawiałem o interesach, strasznie korciło mnie, żeby powiedzieć swojemu interlokutorowi: „Zdarzyło mi się przed chwilą coś niesłychanego.

Nie uwierzyłby pan...” Nie powiedziałem jednak nic, ustanawiając w ten sposób precedens tajemnicy.

Kiedy wreszcie wróciłem do hotelu, czekał tam na mnie Feliks – pośród rtęciowych cieni, obramowany kędzierzawym brązem. Podeszedł do mnie blady i poważny. Był teraz porządnie ogolony, włosy gładko zaczesał do tyłu. Miał na sobie gołębio-szary garnitur i liliowy krawat. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę, on również wyjął. Zawieszenie broni, pertraktacje.

Drobiny podmiejskiej okolicy wlaży mi w nozdrza. Wysiadałem nos i usiadłem na krawędzi łóżka, przez chwilę ciągle jeszcze patrząc w lustro. Przypominam sobie, że słabe oznaki świadomej egzystencji, na przykład pył w nozdrzach, czarny pas brudu między obcasem i środkiem podeszwy jednego z butów, głód i zaraz potem szorstki, brunatny, lekko zabarwiony cytryną smak sznycła w restauracji, osobliwie przykuwały moją uwagę, zupełnie jakbym tropił i znajdował (nadal trochę wątpiąc) dowody na to, że ja to ja i że to „ja” (średniej klasy fabrykant i kupiec z głową pełną pomysłów) rzeczywiście znajduje się w hotelu, je obiad, rozmyśla o interesach i nie ma nic wspólnego z pewnym włóczęgą, który w tym samym czasie leży rozwalony pod krzakiem gdzieś za miastem. I nagle znowu przeszedł mnie dreszcz tego cudu i serce na chwilę przestało bić. Ów człowiek, szczególnie kiedy spał, kiedy jego rysy były nieruchome, ukazywał mi moją własną twarz, moją maskę, czystą, nieskalaną podobiznę mojego trupa – używam tego słowa, ponieważ chcę z maksymalną jasnością wyrazić... co? A to mianowicie, że mieliśmy identyczne rysy twarzy i że w stanie całkowitego bezruchu nasze podobieństwo było niezwykle uderzające, a czymże jest śmierć, jeśli nie twarzą w bezruchu – jej artystyczną doskonałością? Życie tylko psuło mi sobowtóra; tak wietrzyk maści szczęście Narcyza, tak pod nieobecność malarza przychodzi jego uczeń i niepotrzebnym dodatkiem nieproszonych farb szpeci portret namalowany przez mistrza.

A poza tym – pomyślałem – czyż mnie, tak dobrze znającemu i lubiącemu swoją twarz, nie było łatwiej niż innym zauważyć swego sobowtóra? W końcu nie wszyscy są tak spostrzegawczy, często przecież mówi się o uderzającym podobieństwie dwóch osób, które, chociaż się znają, nie podejrzewają go nawet (i stanowczo negują je, kiedy im o nim powiedzieć). Co tu dużo mówić, nigdy nie przypuszczałem, że może istnieć tak doskonała zbieżność rysów, jak w przypadku Feliksa i moim. Widywałem podobnych do siebie braci, bliźniacze rodzeństwo. W kinie widziałem człowieka spotykającego swego sobowtóra czy też raczej tego samego aktora w drugiej roli, przy czym różnicę pozycji społecznych – zachodzącą i w naszym przypadku – uwypuklano w bardzo naiwny sposób: jedna postać okazała się typem spod ciemnej gwiazdy, druga – solidnym *bourgeois* we własnym samochodzie, tak jakby para identycznych włóczęgów albo para identycznych gentlemanów była mniej zabawna. Owszem, widziałem to wszystko, ale podobieństwo braci-bliźniaków jest jak rym słów o tym samym rdzeniu: psuje je piętno pokrewieństwa, a aktor filmowy w podwójnej roli nie oszuka przecież nikogo, bo nawet jeśli pojawia się w dwu wcieleniach jednocześnie, to nie sposób powstrzymać się od szukania miejsca, w którym sklejo no dwie części kadru.

Nasz przypadek nie był jednak ani fenomenem identycznych bliźniąt (dzielących krew przeznaczoną dla jednego osobnika), ani trickiem sztukmistrza.

Jakże chciałbym was przekonać! I przekonam, przekonam was! Zmuszę was, dranie, żebyście uwierzyli... ale boję się, że ze względu na swą szczególną naturę słowa nie potrafią obrazowo przekazać tego typu podobieństwa: należałoby namalować dwie twarze, jedną przy drugiej, użyć rzeczywistych kolorów, a nie słów, wtedy i tylko wtedy widz zobaczyłby, o co mi chodzi. Najdroższe marzenie autora: przekształcić czytelnika w widza. Czy da się je w ogóle urzeczywistnić? Anemiczne organizmy bohaterów literackich odżywiają się pod nadzorem autora i pęcznieją krwią czytelników. Geniusz pisarza

polega na tym, żeby umożliwić im przystosowanie się do tego niezbyt apetycznego pożywienia i czerpanie zeń energii, często przez całe wieki. W tej chwili jednak potrzebuję nie literackich chwytów, ale ordynarnej oczywistości sztuki malarskiej.

Patrzcie, to mój nos – duży, typu północnego, kość lekko wygięta, a część mięsista na końcu zadarta i niemal prostokątna. A to jego nos, doskonała replika mojego. Oto dwie głębokie bruzdy po obu stronach moich ust i wargi tak cienkie, że wydają się zlizane. On ma je także. Oto kości policzkowe... ale to paszportowy opis rysów twarzy, nie znaczy nic, absurdalna konwencja. Ktoś mi kiedyś powiedział, że przypominam Amundsena, tego badacza obszarów podbiegunowych. No więc Felix też wygląda jak Amundsen. Nie każdy jednak potrafi przypomnieć sobie twarz Amundsena. Ja sam przypominam ją sobie bardzo mgliście i nie jestem pewien, czy nie myślę jej trochę z twarzą Nansena. Nie, niczego nie potrafię wyjaśnić.

Kryguję się, ot co. Wiem przecież, że udowodniłem swoją tezę. Wszystko wypadło doskonale. Teraz widzisz nas obu, czytelniku. Jest nas dwóch, ale mamy jedną twarz. Nie myśl jednak przypadkiem, że wstydę się za ewentualne lapsusy i błędy drukarskie w księdze natury. Przyjrzyj się z bliska: mam duże, żółtawe zęby, jego zęby są bielsze i osadzone ciaśniej, ale czy to takie ważne? Żyły na moim czole tworzą coś w rodzaju niestarannie napisanego dużego „M”, ale kiedy śpię, moje czoło jest równie gładkie, jak czoło mojego sobowtóra. No i uszy... zakrętasy jego małżowiny tylko w niewielkim stopniu odbiegają od moich: tu są bardziej sprasowane, ówdzie bardziej wygładzone. Mamy identyczny wykrój oczu, wąskie szparki z rzadkimi rzęsami, ale jego tęczówka jest bledsza od mojej.

To już chyba wszystkie różniące nas cechy, jakie dostrzegłem przy pierwszym spotkaniu. Przez całą noc moja pamięć racjonalna bez przerwy badała te drobne skazy, podczas gdy irracjonalna pamięć moich zmysłów widziała wbrew wszystkiemu mnie samego,

moje własne „ja” w nędznym przebraniu włóczęgi o nieruchomej twarzy z kłującym cieniem na brodzie i policzkach, cieniem, który przez noc pokrywa oblicza nieboszczyków.

Czemu ociągałem się z wyjazdem z Pragi? Załatwiłem swoje interesy i mogłem spokojnie wracać do Berlina. Czemu następnego ranka poszedłem znowu ku temu samemu wzgórz, tej samej drodze? Bez trudu trafiłem na miejsce, gdzie leżał rozwalony poprzedniego dnia. Znalazłem tam złoty niedopałek papierosa, zwiędły fiołek, strzęp czeskiej gazety i... ten żalosny, bezosobowy ślad, jaki niewybredny włóczęga zwykł zostawiać pod krzakiem: jeden duży, prosty, śmiały kawał i drugi, cieńszy i zwinięty, na nim. Parę szmaragdowych much dopełniało obrazu. Dokąd poszedł? Gdzie spędził tę noc? Pytania bez odpowiedzi. Zrobiło mi się nie wiedzieć czemu okropnie nieprzyjemnie, ciężko i jakoś mętnie, jakby cała ta historia kryła w sobie zło.

Wróciłem do hotelu po walizkę i pognałem na stację. Koło wyjścia na peron stały dwa rzędy wygodnych niskich ławek z oparciami idealnie dopasowanymi do pleców człowieka. Siedziało na nich parę osób, niektórzy drzemali. Przyszło mi do głowy, że go tam zobaczę, pogrążonego we śnie, z rozchylonymi rękami i ostatnim fiołkiem tkwiącym w butonierce. Ujrzeliby nas razem, porwali się na równe nogi, otoczyli, zaciągnęli na komisariat... czemu? Czemu to piszę? Z nawyku, z rozpędu pióra? A może to naprawdę zbrodnia – kiedy dwie osoby są do siebie podobne jak dwie krople krwi.

## ROZDZIAŁ II

Aż nazbyt przywykłem do patrzenia na siebie z zewnątrz, bycia jednocześnie malarzem i modelem, nic więc dziwnego, że mojemu stylowi nie dostaje błogosławionej łaski spontaniczności. Jakkolwiek bym się starał, nie potrafię już znaleźć się z powrotem w swojej dawnej kopercie czy choćby rozsiaść się wygodnie w swoim starym „ja”; zbyt wielki tam nieporządek; meble poprzestawiano, żarówka się przepaliła, strzępy przeszłości walają się po podłodze.

Całkiem szczęśliwej przeszłości, śmiem twierdzić. Miałem w Berlinie małe, ale miłe mieszkanko: trzy i pół pokoju, słoneczny balkon, gorąca woda, centralne ogrzewanie, Lidia, moja trzydziestoletnia żona, i Elsie, nasza siedemnastoletnia służąca. Blisko domu był garaż, w którym stało urocze autko – ciemnoniebieski, dwumiejscowy pojazd, który kupiłem na raty. Na balkonie zaś dzielnie, chociaż powoli rósł baniastogłowy siwy kaktus. Papierosy kupowałem zawsze w tej samej trafice, gdzie zawsze witał mnie ten sam promienny uśmiech. Z podobnym uśmiechem spotykała się moja żona w sklepie, w którym zaopatrywaliśmy się w jajka i masło. W sobotnie wieczory chodziliśmy do kawiarni albo do kina. Należeliśmy do śmietanki zadowolonego z siebie mieszczaństwa, tak w każdym razie mogło się wydawać. Wszelako po powrocie z biura nie zdejmowałem natychmiast butów, by z popołudniową gazetą w dłoni położyć się na tapczanie. Rozmowy z żoną nie sprowadzały się wyłącznie do drobnych liczb, a moje myśli nie krążyły zawsze wokół przygód czekolady, którą produkowałem. Muszę nawet przyznać, że niejaki skłonności do bohemy nie były całkowicie obce mojej naturze.

Co się tyczy mojego stosunku do nowej Rosji, to powiem wprost, że nie podzielałem poglądów żony. Słowo „bolszewik”

nabierało w jej uszmkowanych ustach odcienia pospolitej, wulgarnej nienawiści – nie, „nienawiść” jest tu chyba zbyt mocnym określeniem. Było to coś prostego, elementarnego, babskiego, moja żona nie znosiła bolszewików tak, jak nie znosi się deszczu (zwłaszcza w niedzielę) albo pluskiew (zwłaszcza w nowym mieszkaniu), bolszewizm oznaczał dla niej plagę podobną do zwykłego przeziębienia. To, że fakty potwierdzają jej poglądy, uważała za pewnik nie wymagający udowodnienia. Bolszewicy nie wierzą w Boga – to bardzo brzydko, zresztą czegoż innego można by się spodziewać po sadystach i chuliganach?

Kiedy twierdziłem, że komunizm jest na dłuższą metę czymś wielkim i niezbędnym, że nowa Rosja Radziecka tworzy wartości wspaniałe, jakkolwiek niepojęte dla umysłów ludzi Zachodu i niemożliwe do przyjęcia dla radykalnie zubożałych i rozgoroczonych emigrantów, że historia nie znała dotąd takiego entuzjazmu, ascetyzmu i takiej bezinteresowności, takiej wiary w nadchodzące ujednoczenie nas wszystkich – kiedy wysuwałem podobne tezy, moja żona spokojnie odpowiadała: „Myślę, że mówisz tak, żeby mnie rozdrażnić, i myślę, że to nieładnie”. Ja jednak mówiłem najzupełniej serio, zawsze bowiem wierzyłem, że należy dokumentnie zmienić pstrą płataninę naszego nieuchwytnego życia, że komunizm naprawdę stworzy piękny kwadratowy świat jednakowych osiłków, mikrocefalów o potężnych ramionach, i że wrogi stosunek do tego faktu jest dziecinny i pełen uprzedzeń, przypominał mi minę, jaką robi moja żona, zwiężając nozdrza i unosząc brwi (dziecinna i pełna uprzedzeń parodia *femme fatale*), kiedy choć przez chwilę patrzy w lustro.

A tego słowa to nie lubię, okropieństwo! Nie posiadam takiego czegoś, odkąd przestałem się golić. A tu proszę, sama wzmianka o nim nieprzyjemnie mnie rozdrażniła i przerwała tok mojej opowieści (wyobraźcie sobie z łaski swojej, co teraz powinno nastąpić: dzieje zwierciadła). Istnieją też krzywe lustra, lustra-potwory: nawet najmniejsze odsłonięcie szyi nagle się wydłuża, otwiera się cielistą



przepaść, a na jej spotkanie spod pasa już pędzi inna, marcepanoworóżowa nagość i obie zlewają się w jedną, krzywe lustro rozbiera człowieka albo zaczyna go tłoczyć i oto pod ciśnieniem niezliczonych zwierciadlanych atmosfer pojawia się człowiek-byk, człowiek-ropucha; bywa też tak, że wyciąga się kogoś jak ciasto i rozrywa na dwoje.

Dość tego, chodźmy stąd, wybuchy śmiechu nie są w moim stylu! Dość, to wszystko nie jest takie proste, jak sobie myślicie, świnię! A, tak, będę wam wymyślał, nikt nie może mi tego zabronić. Nie mieć lusterka w pokoju to także moje święte prawo! Zresztą nawet gdybym na jakiegoś natrafił (co za bzdura, czego miałbym się bać?), ujrzałbym w nim nieznanego brodacza – kapitalnie wyrosła mi ta moja broda i to tak szybko! Tak dobrze jestem zamaskowany, jakbym był niewidzialny dla siebie samego. Włosy puściły się wszystkimi porami skóry. Muszą we mnie być niesamowite zasoby kosmatości. Ukryłem się w dżunglii, która wyrosła ze mnie samego. Nie ma się czego bać. Głupi przesąd!

Patrzcie, zaraz znowu napiszę to słowo. Lustro. Lustro. No, i co się stało? Lustro, lustro, lustro. Ile razy chcecie – nie boję się niczego. Lustro. Przejrzeć się w lustrze. Ale mówiłem przecież o żonie. Trudno opowiadać, kiedy stale człowiekowi przerywają.

Ona zresztą także była przesądna. Pukanie w drewno, taka mania. Pośpiesznie, ze zdecydowaną miną, mocno zacisnąwszy usta rozglądała się za kawałkiem nie malowanego i nie polerowanego drewna, znajdowała tylko spód stołu, pukała weń tymi swoimi krótkimi palcami (małe poduszcзки wokół jaskrawych, truskawkowoczerwonych paznokci, które chociaż pomalowane, jak u dziecka nigdy nie były całkiem czyste), pukała szybko, póki wzmianka o szczęściu nie ostygła jeszcze w powietrzu. Wierzyła w sny: sen o wypadnięciu zęba zwiastował śmierć kogoś znajomego, jeśli z rany po zębie płynęła krew, oznaczało to śmierć krewnego. Pole stokrotek – spotkanie z pierwszą miłością. Perły – łyzy. Bardzo

źle było zobaczyć we śnie siebie w białym ubraniu u szczytu stołu. Błoto – pieniądze, kot – zdrada, morze – duszne niepokoje. Lubiała opowiadać swoje sny – długo i szczegółowo. Niestety, piszę o niej w czasie przeszłym. Pozwolę sobie zapiąć swoją opowieść o jedną dziurkę ciaśniej.

Moja żona nienawidzi Lloyda George'a. Gdyby nie on, rosyjskie imperium rzekomo by nie upadło. A w ogóle to: „Udusiłabym tych Anglików własnymi rękami”. Niemcom dostaje się za zaplombowany pociąg, tę konserwę bolszewizmu, eksport Lenina do Rosji. A o Francuzach: „Wiesz, Ardalion (jej kuzyn, który walczył w szeregach Białej Armii) mówi, że w Odessie podczas ewakuacji zachowywali się jak ostatnie chamy”. Jednocześnie angielski typ oblicza uznaje, po moim, za najprzystojniejszy na świecie, Niemców szanuje za muzykalność i solidność; twierdzi, że ubóstwa Paryż, gdzie spędziliśmy kiedyś parę dni. Te jej opinie są równie niewruszone, jak stojące w swoich niszach posągi. Natomiast jej stosunek do ludu rosyjskiego uległ pewnej ewolucji. W 1920 mówiła jeszcze: „Prawdziwy chłop rosyjski jest monarchistą”. Teraz mówi: „Prawdziwy chłop rosyjski to wymarły gatunek”.

Jest niezbyt wykształcona i niezbyt spostrzegawcza. Któregoś dnia odkryliśmy, że słowo „okultyzm” mgliście się jej kojarzy z chorobą oczu. Jedyńm drzewem, jakie potrafi rozpoznać, jest brzoza: powiada, że przypomina jej ojczyście lasy.

Jest namiętą pożeraczką książek, ale czyta same śmieci, niczego nie zapamiętując i opuszczając dłuższe opisy. Chodzi po lekturę do rosyjskiej biblioteki. Siada i długo wybiera, grzebie w książkach na stole, bierze jedną, kartkuje, wpatruje się w nią z boku, jak jakaś ciekawska kura, odkłada, bierze inną, otwiera – wszystko to na stole, tylko jedną ręką. Kiedy spostrzega, że otworzyła książkę do góry nogami, natychmiast odwraca ją dokładnie o dziewięćdziesiąt stopni, by zaraz ją porzucić dla kolejnej, którą bibliotekarz zamierza właśnie zaproponować innej

damie. Cały ten proces trwa ponad godzinę. Nie wiem, co ostatecznie przesądza o jej wyborze, może tytuł.

Kiedyś przywiozłem jej jakiś kryminał, który czytałem w pociągu, na okładce widniał szkarłatnoczerwony pająk pośrodku czarnej pajęczyny. Zagłębiła się w lekturze i uznała, że książka jest piekielnie interesująca. Po prostu nie mogła się powstrzymać od zerknięcia na koniec, ale to by oczywiście wszystko popsuło, zamknęła więc oczy, rozerwała książkę na dwie części i schowała gdzieś drugą, zawierającą rozwiązanie zagadki, później zapomniała, gdzie mianowicie, i długo, długo szukała po całym domu przestępcy, którego sama ukryła; co chwila powtarzała cicho:

– To było takie ciekawe, takie strasznie ciekawe, umrę jeśli się nie dowiem...

Teraz już się dowiedziała. Wyjaśniające wszystko stronicy były dobrze schowane, niemniej jednak ostatecznie się znalazły – wszystkie, być może z wyjątkiem jednej. W ogóle sporo się wydarzyło i uzyskało teraz należyte wyjaśnienie. Stało się to, czego najbardziej się obawiała. Ze wszystkich złych wróżb ta była najokropniejsza. Rozbite lustro. Tak, stało się to, chociaż w sposób nie całkiem zwyczajny. Biedna nieboszczka.

Ta-ra-bum. I jeszcze raz: BUM! Nie, nie zwariowałem. Po prostu wydaję malutkie radosne odgłosy. Tak się człowiek cieszy, kiedy nabije kogoś w butelkę. A ja właśnie nieźle kogoś w nią nabiłem. Kogo? Przejrzyj się, łaskawy czytelniku, w lustrze, skoro tak lubisz lustra.

A teraz ni stąd, ni zowąd zrobiło mi się smutno – tym razem mówię serio. Właśnie niezwykle dokładnie przypomniałem sobie ten kaktus na balkonie, te niebieskie pokoje, to nasze mieszkanie w jednym z owych nowomodnych domów, budowanych w nowoczesnym pudełkowym stylu, w stylu „oszukajmy przestrzeń”, w stylu „żadnych głupstw”. I tam, w moim czyściutkim i porządnym świecie, ten rozgardiasz, który rozsiewała Lidia, słodki, wulgarny zapach jej

perfum. Jej wady: jej niewinna tępota, jej pensjonarskie chichoty w poduszkę właściwie mnie nie irytowały. Nigdy nie klóciliśmy się, nigdy nie zrobiłem jej najmniejszej uwagi, niezależnie od tego, jak wielkie głupstwo powiedziała przy ludziach czy jak źle się ubrała. Nie odróżniała, biedula, odcieni. Uważała, że jeśli tylko poszczególne elementy pasują do siebie pod względem barwy zasadniczej, to wszystko jest w porządku, w pełni zaspokajało to jej poczucie harmonii, toteż mogła paradować w trawiasto-zielonym kapeluszu zestawionym z sukienką oliwkową albo koloru eau de Nil. Lubiła, żeby wszystko miało swoje „echo”. Jeśli na przykład pasek był czarny, to koniecznie koło jej szyi musiała się pojawić jakaś czarna lamówka czy czarna falbanka. W pierwszych latach naszego małżeństwa nosiła bieliznę ze szwajcarskim haftem. Była całkowicie zdolna włożyć na siebie cienką sukienkę i grube jesienne buty – nie, stanowczo nie miała najmniejszego pojęcia o sekretach harmonii, do tego dochodziła jej potworna flejtuchowatość. Niechlujstwo widać było nawet w jej chodzie, miała wyjątkowy talent do błyskawicznego ścierania obcasa lewego buta.

Dreszcz przechodził, kiedy zajrzało się do jej komody, gdzie bezładnie kłębiły się rozmaite szmatki, wstążki, kawałki jedwabiu, paszport, zwiędły tulipan, jakieś skrawki zjedzonego przez mole futra, przeróżne anachronizmy (na przykład getry, które dziewczęta nosiły w zamierzchłych czasach) i inne nieprawdopodobne śmieci. Często również do królestwa moich wspaniale ułożonych rzeczy przenikała jakaś niemilosiernie brudna koronkowa chusteczka albo podarta pończocha bez pary. Pończochy zdawały się obracać w popiół na jej żwawych łydkach.

Ze spraw gospodarstwa domowego nie znała się dosłownie na niczym. Gości przyjmowała okropnie. Zawsze podawała, na małym talerzyku, połamaną tabliczkę czekolady – jak w domach ubogich prowincjonalnych rodzin. Czasem pytałem sam siebie, za co właściwie ją kocham. Może za pełne ciepła orzechowe tęczówki jej puszystych oczu albo za naturalną boczną falę w byle jak

uczesanych kasztanowych włosach, albo wreszcie za ruchy jej zaokrąglonych ramion. Najprawdopodobniej jednak – za jej miłość do mnie. Byłem dla niej ideałem mężczyzny: mądry, odważny. Poza tym nie sposób było znaleźć nikogo lepiej ode mnie ubranego. Pamiętam, jak kiedyś, gdy po raz pierwszy włożyłem na siebie nowy smoking i potężne spodnie, klasnęła w dłonie, opadła na krzesło i powiedziała półgłosem: „Och, Hermann...” – był w tym zachwyty graniczący z jakimś niebiańskim smutkiem. Powodowany być może fałszywym wrażeniem, że upiększając jeszcze wizerunek ukochanego mężczyzny, wychodzę jej naprzeciw i przyczyniam się do jej szczęścia, wykorzystywałem jej ufność i przez dziesięć lat naszego pożycia nagadałem jej o sobie, swojej przeszłości i swoich przygodach taką masę łgarstw, że spamiętanie tych opowieści, by w każdej chwili móc się do nich odwołać, przekraczało moje siły. Ona jednak wszystko zapominała. Jej parasolka gościła kolejno u każdego z naszych znajomych; jej szminka pojawiała się nagle w najbardziej niepojętych miejscach, na przykład w kieszeni koszuli jej kuzyna; historię, którą przeczytała w porannej gazecie, opowiadała wieczorem mniej więcej tak:

– Zaraz, gdzie ja to czytałam, i co to właściwie było?... Mam to na końcu języka, na Boga, pomóż mi trochę!

Powierzenie jej wrzucenia listu do skrzynki było równoznaczne z wrzuceniem go do rzeki i zdaniem się na rozsądek jej nurtu oraz na wędkarskie zamięłowania adresata.

Plątała daty, imiona, twarze. Wymyśliwszy coś raz, nigdy do tego nie wracałem, a ona szybko wszystko zapominała; zapomniana historia opadała na dno jej świadomości, ale na powierzchni pozostawały coraz to nowe kręgi pokornego podziwu. Jej miłość niemal przekraczała granice, w których zamykał się świat jej uczuć. W noc, kiedy księżycowa poświata rymowała się z początkiem lata, najbardziej osiadłe z jej myśli zmieniały się w nieśmiały nomadów. Nie trwało to długo, żadna nie wędrowała daleko, świat znowu się

zamykał. A był to bardzo prosty świat, do rangi rzeczy najbardziej skomplikowanej urastały w nim poszukiwania pewnego numeru telefonu: zapisała go na jednej ze stron bibliotecznej książki, pożyczonej potem tej właśnie osobie, do której chciała zadzwonić.

Była pulchna, niska, dosyć nieforemna, ale wówczas podniecały mnie jedynie tłuścioszki. Wręcz odpychająco działała na mnie młoda wysoka kobieta, kościsty podłotek, dumna i wytworna kurewka spacerująca w swych ciasno zasznurowanych błyszczących bucikach tam i z powrotem po Tauentzienstrasse. Nie tylko zawsze byłem wyjątkowo zadowolony ze swej potulnej towarzyszki łoża i jej cherubicznych uroków, ale w dodatku zauważyłem ostatnio – z wdzięcznością dla natury i dreszczem zaskoczenia – że gwałtowność i słodycz moich nocnych rozkoszy sięgają cudownego szczytu dzięki pewnej aberracji, która jak się zdaje, nie jest bynajmniej tak rzadka pośród wrażliwych mężczyzn po trzydziestce, jak początkowo sądziłem. Myślę tu o pewnym dobrze znanym rodzaju „rozdwojenia osobowości”. Jeśli o mnie chodzi, zaczęło się to – w ograniczonym zakresie – na parę miesięcy przed wyjazdem do Pragi. Leżę na przykład w łóżku z Lidia, kończąc krótką serię pieszczot wstępnych, do których jest podobno uprawniona, i nagle zdaję sobie sprawę z faktu, że chochlik Ciach wziął się do roboty. Moja twarz pogrążyła się w fałdach jej szyi, jej nogi zaczęły mnie obejmować, popielniczka zsunęła się z nocnego stolika, wszechświat runął w ślad za nią – ale jednocześnie w niepojęty i cudowny sposób stałem nagi na środku pokoju, położywszy rękę na oparciu krzesła, na którym zostawiła swoje pończochy i majtki. Wrażenie pozostawiania w dwu miejscach naraz bardzo mnie rozogniło, ale to wszystko było niczym w porównaniu z późniejszym rozwojem wypadków. Niecierpliwie pragnąc doznać rozszczepienia, ciągnąłem Lidie do łóżka natychmiast po kolacji. Rozdwojenie osiągnęło w tym okresie szczytową fazę. Siedziałem sobie w fotelu oddalonym o jakieś sześć kroków od łóżka, na którym znajdowała się Lidia – we właściwym miejscu i właściwej pozycji. Ze swego czarodziejskiego punktu

widokowego obserwowałem drobne fale przebiegające moje muskularne plecy, widziałem je w laboratoryjnym świetle silnej lampki nocnej, które odnajdywało blask macicy perłowej w różowości kolan Lidii i brązowy połysk w rozrzuconych na poduszce włosach – były to jedyne widoczne skrawki jej ciała, gdyż mój potężny grzbiet jeszcze się z niej nie zsunął, by ukazać znów publiczności złaknioną drugą stronę. Kolejna faza nastąpiła, kiedy uświadomiłem sobie, że im większy odstęp między mymi dwoma „ja”, tym głębsza ekstaza. Zacząłem przeto każdej nocy usadawiać się parę centymetrów dalej od łóżka; wkrótce tylne nogi mego fotela natrafiły na próg w otwartych drzwiach. Później stwierdziłem, że siedzę oto w salonie, jednocześnie kochając się w sypialni. I tego nie było mi dosyć. Pragnąłem odkryć jakiś sposób oddalenia się przynajmniej o sto metrów od oświetlonej estrady, na której występowałem. Pragnąłem kontemplować tę scenę łóżkową z jakiejś oddalonej galerii w błękitnej mgiełce pod pływającymi alegoriami na gwiazdzistym sklepieniu, patrzeć na tę malutką, ale wyraźną i niezwykle ruchliwą parę przez lornetkę teatralną, lornetkę polową, potężny teleskop czy instrumenty optyczne o nie znanej jeszcze mocy, która rosłaby wprost proporcjonalnie do mego uniesienia. W istocie nigdy nie cofnąłem się bardziej niż do konsoli w salonie, wtedy zresztą łóżko zasłaniała mi framuga drzwi, chyba że otwierałem szafę w sypialni, by scenę odbijało ukośnie ustawione *speculum*, czyli *Spiegel*. Niestety, pewnej kwietniowej nocy, kiedy harfy deszczu podniecająco mamrotały w kanale orkiestry, a ja siedziałem w maksymalnie oddalonym piętnastym rzędzie, patrząc na szczególnie udany spektakl – który już się był rozpoczął, przy czym moje aktorskie „ja” było wyjątkowo ogromne i pomysłowe – z odległego łóżka, gdzie jak byłem przekonany właśnie się znajdowałem, dobiegło ziewnięcie Lidii i jej głos mówiący jakieś idiotyzmy: że skoro nie kładę się jeszcze, to mógłbym przynieść jej czerwoną książkę, którą zostawiła w salonie. Leżała ona zresztą na konsoli koło mego fotela, nie zaniósłem jej jednak, tylko cisnąłem ku łóżku, dokąd doleciała z wiatracznym furkotem kartek. Ten osobliwy i przykry

wstrząs rozwiął cały czar. Przypominałem teraz żyjący tylko na samotnej wyspie gatunek ptaka, który utracił zdolność wzbijania się w powietrze i, jak pingwin, lata tylko we śnie. Ze wszystkich sił starałem się odzyskać wrażenie rozdwojenia, być może w końcu by mi się udało, gdyby nowa cudowna obsesja nie wymazała ze mnie wszelkiej chęci ponownego podjęcia tych interesujących, ale dość banalnych eksperymentów.

Poza tym moje szczęście małżeńskie było całkowite. Lidia kochała mnie bez żadnych zastrzeżeń, nie zastanawiając się nad przeszłością: jej oddanie wydawało się częścią jej natury. Nie wiem, dlaczego znowu wpadłem w czas przeszły, ale co tam, moje pióro uważa widać, że tak jest wygodniej. Tak, kochała mnie, kochała mnie wiernie. Lubiała to tak, to znów inaczej badać moją twarz, kciukiem i palcem wskazującym niby cyrklem mierzyła moje rysy: lekko kłujący obszar ponad górną wargą, przez którego środek przebiegał podłużny rowek, przestronne czoło z bliźniaczymi obrzmieniami ponad każdą z brwi; paznokiec jej palca wskazującego błędził wzdłuż bruzd po obu stronach moich ust, zawsze mocno zamkniętych i niewrażliwych na łaskotki. Duża twarz i bynajmniej nie prosta, ulepiona na specjalne zamówienie – z blaskiem na kościach policzkowych i samymi policzkami lekko zapadniętymi, które na drugi dzień po ostatnim goleniu pokrywały się zbójczą szczecina, w pewnym oświetleniu rudawą, dokładnie taką samą jak jego broda. Tylko nasze oczy były nie całkiem identyczne, ale za to ich niepełne podobieństwo to prawdziwy zbytek: kiedy leżał przede mną na ziemi, miał oczy zamknięte, lecz wiem, chociaż nigdy w istocie nie widziałem swoich opuszczonych powiek, a tylko poznawałem je dotykiem, że niczym nie różniły się od jego oczokapów – o, świetne słowo! Wyszukane, ale świetne, miły gość w progach mojej prozy. Nie, nie jestem wcale podenerwowany, całkowicie panuję nad sobą. Jeśli nawet moja twarz co chwila wyskakuje jakby zza płotu i pojawia się w polu widzenia być może zirytowanego tym czytelnika-sztywniaka, to tylko dla jego dobra:



niech się przyzwyczajają do mojego oblicza; a ja będę śmiał się w kufajkę, widząc, jak się zastanawia, czy to moja twarz, czy Feliksa. O to jest! I już mnie nie ma. A może to wcale nie byłem ja?! Tylko w ten sposób mam szansę nauczyć czegoś czytelnika: naocznie mu pokazując, że nasze podobieństwo nie jest wymysłem, ale może istnieć, nawet więcej: istnieje, jest faktem, tak, faktem, i co z tego, że wydaje się on dziwaczny i absurdalny.

Wróciwszy z Pragi do Berlina, zastałem Lidie w kuchni, kręciła kogel-mogel.

– Gardziołko bolusia – powiedziała dziecinnym głosem. Postawiła szklanę na skraju kuchennego pieca, grzbietem dłoni wytarła żółte usta i pocałowała mnie w rękę. Miała na sobie różową sukienkę, różowawe pończochy i zniszczone pantofle. Wieczorne słońce pokrywało kuchnię szachownicą blasków i cieni. Znow zaczęła gmerać łyżeczką w gęstej żółtej masie, cukier lekko chrząścił, nie był jeszcze rozarty, łyżeczka nie obracała się swobodnie, z ową aksamitną owalnością, którą należało osiągnąć. Na piecu leżała sponiewierana otwarta książka. Na marginesie jakaś nieznana ręka napisała tępym ołówkiem: „Smutne, ale prawdziwe” i postawiła trzy wykrzykniki, których kropki ześliznęły się w bok. Przeczytałem zdanie, które tak bardzo sposobowało się którejś z poprzedniczek mojej żony: „Miłość bliźniego – powiedział sir Reginald – nie jest dziś dobrze notowana na giełdzie stosunków międzyludzkich”.

– No jak, udała się podróż? – spytała Lidia, energicznie kręcąc korbką młynka, który mocno trzymała między kolanami. Ziarna kawy trzaskały, wydając silny zapach, urządzenie pracowało jeszcze z grzechotliwym, turkotliwym wysiłkiem, ale po chwili nastąpiło rozluźnienie, opór się załamał, pustka.

Coś poplątałem. Jak we śnie. Kręciła przecież kogel-mogel, a nie meła kawę.

– Mogło być gorzej – powiedziałem, mając na myśli podróż. – A co u ciebie?

Dlaczego nie wspomniałem jej o swojej niewiarygodnej przygodzie? Ja, który fabrykowałem dla niej zatrzesienie cudów, najwyraźniej nie śmiałem opowiedzieć jej swymi skalanymi ustami o cudzie prawdziwym. A może powstrzymało mnie coś innego? Autor nie pokazuje nikomu pierwszego szkicu swego dzieła, o dziecku w łonie matki nie mówi się Tomcio czy Bella, dzikus nie nazywa po imieniu rzeczy tajemniczych ani takich, których stosunku do siebie nie jest pewien, Lidia nie znosiła, kiedy czytałem książkę, której jeszcze nie skończyła.

Przez kilka dni byłem przytłoczony tamtym spotkaniem. Jakoś dziwnie rozstrajała mnie myśl o tym, że mój sobowtór maszeruje po nie znanych mi drogach, że jest głodny, że dokucza mu chłód i śłota, że może się przeziębili. Życzyłem mu, żeby znalazł pracę: byłoby milej wiedzieć, że znalazł ciepłe schronienie czy że przynajmniej jest bezpieczny w więziennych murach. Niemniej jednak nie miałem zamiaru przedsięwziąć niczego w celu polepszenia warunków jego egzystencji. Bynajmniej nie pragnąłem go utrzymywać. Nie byłoby poza tym możliwe znalezienie mu pracy w Berlinie, gdzie roiło się od rozmaitych obszarpańców. W istocie, mówiąc szczerze, wolałem, żeby znajdował się w pewnym oddaleniu ode mnie, jak gdyby bliskość mogła rozwiązać czar naszego podobieństwa. Byłbym może skłonny posyłać mu od czasu do czasu niewielką sumkę, żeby nie podupadł i nie zginął w tych swoich dalekich wędrówkach, przestając w ten sposób być moim zaufanym przedstawicielem, żywą, krążącą po świecie kopią mojego oblicza... Szlachetny, ale niemożliwy do zrealizowania zamiar, jako że facet nie miał stałego adresu. Poczekajmy więc – myślałem sobie – do owego jesiennego dnia, kiedy zgłosi się na pocztę w głuchoj saksońskiej wioszczynie.

Minał maj i wspomnienie Feliksa zagoiło się w moim umyśle. Dla swej własnej przyjemności zwracam uwagę na gładki rytm tego zdania: banalny narracyjny ton pierwszych dwu słów, po których następuje długie westchnienie kretyńskiego ukontentowania. Wielbicielom sensacji warto jednak zapewne przypomnieć, że

określenie „zagoić się” jest na ogół stosowane jedynie w odniesieniu do ran. Wspominam wszakże o tym tylko mimochodem, nikogo nie chcę urazić. Muszę jeszcze zauważyć, że pisze mi się teraz łatwiej: moja opowieść nabrała rozpędu. Wsiadłem już do wspomnianego na początku autobusu, co więcej, mam doskonale miejsce przy oknie. Tak to jeździłem co rano do biura, póki nie kupiłem samochodu.

Tego lata mój lśniący niebieski samochodzik, mój ikar, miał sporo pracy. Tak, ta moja nowa zabawka pochłonęła mnie niemal bez reszty. Często na cały dzień wypuszczaliśmy się z Lidią za miasto. Zawsze braliśmy ze sobą tego jej kuzyna, Ardaliona, malarza. Wesoły chłop, ale malarz kiepski. Sądząc z tego, co wiedziałem, był biedny jak wróbel. Jeśli ktoś zamawiał u niego portret, to czynił to albo powodowany miłosierdziem, albo wskutek słabości charakteru (malarzyna potrafił być strasznie namolny). Zwykł pożyczać ode mnie, a zapewne także i od Lidii drobne sumki, no i oczywiście zwykle znajdował sposób, żeby zostać na obiedzie. Nieodmiennie zalegał z czynszem, a jak już go płacił, to w naturze. W martwej naturze dokładniej mówiąc; były to jakieś kwadratowe jabłka na ukośnie nachylonym obrusie albo falliczne tulipany w krzywym wazonie. Wszystko to jego gospodyni oprawiała na własny koszt, toteż jadalnia w jej domu przypominała galerię, w której odbywa się wystawa filisterskiej sztuki awangardowej. Stołował się w rosyjskiej restauracyjce, którą kiedyś „wysztafirował” (co miało znaczyć, że ozdobił malowidłami jej ściany): używał nawet bardziej kwiecistych wyrażeń, pochodził bowiem z Moskwy, gdzie lubują się w kpiarskim dialekcie pełnym trywialności (nie będę tu próbował oddać jego stylu). Co zabawne, mimo swojej nędzy zdołał jakoś nabyć kawałek ziemi o trzy godziny jazdy od Berlina – to znaczy zdołał jakoś wysupłać sto marek na pierwszą ratę i nie martwił się o resztę; w istocie nie zamierzał wydawać ani grosza więcej, uważając widać, że ziemia, użyźniona pierwszą wpłatą, pozostanie jego własnością aż do dnia sądu ostatecznego. Działka miała rozmiary mniej więcej dwu-trzech kortów tenisowych i przylegała do zupełnie

ładnego jeziora. Rosła tam para nierozdzielnych brzoź o pniu w kształcie litery „Y”, para par, jeśli liczyć ich odbicia. Było tam też kilka krzaków olchy, kawałek dalej rosło pięć sosen, a idąc jeszcze dalej w głąb łądy, człowiek natykał się na pas wrzosów – wielkoduszny dar okolicznego lasu. Grunt nie był ogrodzony – nie starczyło na to pieniędzy. Podejrzewam, że Ardalion czekał, aż otoczy się ogrodzeniem obie sąsiednie parcele, co automatycznie usankcjonowałoby granice jego własności i zapewniłoby mu darmowy płot, przyległe kawałki ziemi pozostawały jednak nadal nie sprzedane. Na brzegach tego jeziora panował zastój w interesach, jako że miejsce było wilgotne, pełne komarów i oddalone od wsi; poza tym brakowało łączącej je z szosą drogi i nikt nie wiedział, kiedy można się spodziewać jej przeprowadzenia.

Pamiętam niedzielny ranek w połowie czerwca, kiedy udaliśmy się tam pierwszy raz, ulegając gwałtownym namowom Ardaliona. Wstąpiliśmy po niego po drodze. Długo trąbiłem, wpatrując się w jego okno. Okno spało głębokim snem. Lidia złożyła dłonie w trąbkę i krzyknęła przenikliwym głosem: „Ar-da-liu-sza!”. W jednym z niższych okien, tuż nad szyldem piwiarni (który swym wyglądem nasuwał przypuszczenie, że Ardalion miał w tej knajpie długi), wściekle odsunęła się stora i wyjrzał zeń przypominający Bismarcka poczciwiec w obszytym sutaszem szlafroku i z prawdziwą trąbką w dłoni.

Zostawiłem Lidie w samochodzie, który tymczasem przestał już dygotać, i poszedłem ściągnąć Ardaliona. Spał. Spał w swoim jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Wyturlawszy się z łóżka, z milczącym pośpiechem włożył sandały, niebieską koszulę i flanelowe spodnie, po czym chwycił teczkę z podejrzeniem spuchniętym policzkiem i zeszedł na dół. Poważna i senna mina nie dodawała specjalnego uroku jego twarzy obdarzonej potężnym nochem. Posadziliśmy go z tyłu, na dodatkowym siedzeniu.

Nie znałem drogi. On twierdził, że zna ją jak Ojciec Nasz i Zdrowaś Mario. Natychmiast po wyjeździe z Berlina zaczęliśmy błądzić. Przez resztę drogi ciągle pytaliśmy, jak jechać.

– Oto widok, co raduje serce ziemianina! – zawołał Ardalion, kiedy minawszy około południa Koenigsdorf, wjechaliśmy na odcinek drogi, który znał. – Powiem wam, gdzie skręcić. Witajcie, witajcie, drzewa me prastare!

– Przestań się wygłupiać, Ardalioneczku! – powiedziała spokojnie Lidia.

Po obu stronach szosy rozciągał się nagi pofałdowany teren, na przemian piasek i wrzosy, tu i ówdzie szczypta młodych sosenek. Potem pejzaż odrobinę się zmienił, po prawej ręce mieliśmy teraz zwyczajne pole, ciemno ograniczone w oddali lasem. Ardalion znowu zaczął się wiercić. Z prawej strony wyrósł nagle jaskrawożółty drogowskaz. W tym samym miejscu pod kątem prostym odchodziła od szosy ledwo widoczna droga, widmo zapomnianego traktu, niemal natychmiast ginącego pośród łopianów i głuchego owsa.

– Tu trzeba skręcić – uroczyście oznajmił Ardalion i z nagłym chrząknięciem wpadł na mnie, ponieważ zahamowałem.

Uśmiechasz się, łaskawy czytelniku? Istotnie, czemuż nie miałbyś się uśmiechnąć? Miły letni dzionek, spokojny krajobraz, dobroduszny zbzikowany artysta i przydrożny drogowskaz... Ten żółty drogowskaz... Ustawiony tu przez przedsiębiorcę handlującego parcelami, sterczący w olśniewającej samotności, brat marnotrawny innych pomalowanych drogowskazów, które siedemnaście kilometrów dalej, w kierunku wsi Waldau, trzymały wartość nad bardziej kuszącymi i droższymi połaciami gruntu – ten właśnie samotny punkt orientacyjny zmienił się później w moją *idée fixe*. Jaskrawożółty, ostro zarysowany na tle rozmytego krajobrazu sterczał w moich snach. Dzięki niemu moje wizje orientowały się w terenie. Wszystkie moje myśli do niego powracały. Jak wierna latarnia morska świecił w ciemnościach moich przypuszczeń. Dziś

wydaje mi się, że wtedy, widząc go po raz pierwszy rozpoznałem go, że znałem go z przeszłych dni. Być może się mylę, być może obrzuciłem go najzupełniej obojętnym spojrzeniem i martwiłem się tylko o to, żeby przy skręcaniu nie otrzeć się o niego błotnikiem. Niemniej jednak kiedy go dzisiaj wspominam, nie mogę oddzielić początków naszej znajomości od jego późniejszego, w pełni dojrzałego obrazu.

Droga, jak już mówiłem, zanikła, zatarła się; samochód zaskrzypiał z niezadowoleniem, podskakując na wybojach; zgasilem silnik i wzruszyłem ramionami.

Lidia powiedziała: – Wiesz co, drogi Ardaliusza, myślę, że lepiej będzie, jeśli pojedziemy do Waldau; mówiłeś, że jest tam duże jezioro i jakaś kawiarnia.

– W żadnym wypadku – odparł zdenerwowany Ardalion. – Po pierwsze, kawiarnia jest dopiero w planach, a po drugie, ja też mam jezioro. – Niech pan będzie tak dobry, mój drogi – ciągnął, zwracając się do mnie – i ruszy tego grata, nie pożałuje pan.

O jakieś trzydzieści metrów przed nami, trochę wyżej zaczynał się las sosnowy. Spojrzałem ku niemu i... doprawdy, mógłbym przysiąc, poczułem, że go znam. No tak, teraz przypominam to sobie wyraźnie – na pewno miałem to osobliwe wrażenie, nie wymyśliłem tego później. I ten żółty drogowskaz... Jak znacząco popatrzył na mnie, kiedy się obejrzałem, jak gdyby mówił: „Jestem tutaj, na twoje usługi...” I te sosny przede mną – zdawały się obciążone czerwona skórą wężową, a ich puszystą zielenią wiatr gładził pod włos, i ta naga brzoza na skraju lasu (zaraz, dlaczego napisałem „naga”, jeszcze nie było zimy, do zimy było jeszcze daleko), i ten dzień, taki kojący i niemal bezchmurny, i małe świerszcze-jakały, gorliwie starające się powiedzieć jakieś słowo zaczynające się na „z”... Tak, to wszystko coś znaczyło, nie mogło być mowy o pomyłce.

– A czy mógłby mi szanowny pan powiedzieć, którą mam ruszać. Nie widzę tu żadnej drogi.

– Niechże pan nie będzie taki drobiazgowy – powiedział Ardalion. – Naprzód, brachu. Jak to, któredy – prosto, o tam, do tego prześwitu. Doskonale można się przebić. A lasem do mnie bardzo blisko.

– Może lepiej wysiadzimy i pójdziemy piechotą? – zaproponowała Lidia.

– Świetny pomysł – powiedziałem – komu przyszłoby do głowy kraść porzucony pod lasem nowiutki samochód?

– Tak, to niebezpieczne – zgodziła się natychmiast – ale może pójdziecie tylko wy dwaj (Ardalion jęknął), niech ci pokaże swoją parcelę, a ja tu na was zaczekam; potem pojedziemy do Waldau, wykapiemy się w jeziorze i posiedzimy w kawiarni.

– To świństwo, madame – z wielkim uczuciem powiedział Ardalion. Chciałbym przecież przyjąć na swojej ziemi was oboje. Są tam dla was przygotowane niespodzianki. Czuję się urażony.

Zapaliłem silnik, mówiąc przy tym: – Jeśli rozwalimy auto, pan płaci za naprawę.

Podskakiwałem na fotelu kierowcy, obok mnie podskakiwała Lidia, za mną podskakiwał Ardalion, nie przestając mówić: – Zaraz wjedziemy (hop) do lasu (hop), a tam (hop-hop), na wrzosach będzie mniej trząść (hop).

Wjechaliśmy. Już na samym początku zaryliśmy głęboko w piasku, silnik ryczał, koła buksowały – wreszcie wyrwaliśmy się. Gałęzie zaczęły się ocierać o samochód, rysując lakier. W końcu pojawiło się coś w rodzaju dróżki, która to znikwała w suchym trzasku wrzosów, to wynurzała się znowu i wiła pomiędzy pniami blisko siebie rosnących drzew.

– Trochę w prawo – powiedział Ardalion – trochę bardziej w prawo. No, co powiecie o zapachu sosen? Rewelacja, nie? A nie

mówilem? Absolutna rewelacja. Możemy się tu zatrzymać, pójdę na zwiady.

Wysiadł i oddalił się, jak w natchnieniu wierząc przy każdym kroku tylną częścią ciała.

– Czekaj, pójdę z tobą – zawołała Lidia, ale on szedł już pełną parą i zniknął w gęstwinie.

Silnik mlasnął kilka razy i ucichł.

– Straszne miejsce – powiedziała Lidia. – Bałabym się zostać tu sama. Mogliby człowieka obrabować, zamordować – wszystko by mogli...

Rzeczywiście, kompletna głusza! Delikatnie szumiały sosny, dokoła śnieg, gdzieniegdzie czerniały łysiny nagiej ziemi. Co za bzdura! Skąd śnieg w lipcu? Powinno się to wykreślić, ale nie, byłoby nieładnie, bo prawdziwym autorem nie jestem ja, tylko moja niecierpliwa pamięć. Możecie to sobie rozumieć, jak tylko chcecie – to nie mój interes. Także żółty drogowskaz nosił krymkę śniegu. Tak to przyszłość przebłyskuje skroś przeszłości. Ale dosyć, niech obraz letniego dnia znowu nabierze ostrości: plamy słonecznego blasku, cienie gałęzi na niebieskim samochodzie, szyszka sosnowa na stopniu, na którym pewnego dnia będzie leżał przedmiot zgoła niespodziewany – pędzel do golenia.

– Mają przyjść w czwartek? – spytała Lidia.

Odpowiedziałem:

– W środę wieczorem.

Milczenie.

– Mam nadzieję, że nie przyprowadzą go znowu – powiedziała moja żona.

– A jeśli nawet... Nie wszystko ci jedno?



Milczenie. Małe niebieskie motyle przysiadające na macierzance.

– Słuchaj, Hermann, jesteś całkiem pewien, że w środę wieczorem?

(Czy warto wyjaśniać? Rozmawialiśmy o drobiazgach, o pewnych znajomych i ich psie, okropnym małym stworze, którym, kiedy przychodzili gdzieś z wizytą, wszyscy musieli się zajmować; Lidia lubiła tylko „duże psy z rodowodem”, gdy wymawiała słowo „rodowód”, jej nozdrza rozchylały się).

– Czemu nie wraca? – powiedziała. – Na pewno się zgubił.

Wysiadłem z samochodu i obszedłem go dookoła. Lakier wszędzie porysowany.

Nie mając nic lepszego do roboty, Lidia zajęła się napuchniętą teczką Ardaliona. Najpierw ją obmacała, potem otworzyła. Przeszedłem parę kroków (nie, nie – nie pamiętam, o czym myślałem), rzuciłem okiem na parę połamanych gałązek pod nogami, wróciłem. Lidia siedziała teraz na stopniu samochodu i pogwizdywała. Oboje ćmiliśmy papierosy. Milczenie. Wypuszczała dym na boki, krzywiąc usta.

Z daleka dobiegł pełen wigoru krzyk Ardaliona. Chwilę później pojawił się na polanie on sam i zamachał do nas zapraszająco. Pojechaliśmy powoli za nim, manewrując pomiędzy pniami. Ardalion kroczył przodem, stanowczy i zaaferowany. Przed nami błysnęło – jezioro.

Opisałem już wcześniej parcelę Ardaliona. Nie potrafił pokazać mi jej dokładnych granic. Wielkimi krokami, mocno stawiając stopy, odmierzał metry, zatrzymywał się, oglądał, lekko uginając nogę, na której się opierał, kręcił głową i szedł dalej szukać jakiegoś pniaka, mającego być punktem orientacyjnym. Dwie obejmujące się brzozy przeglądały się w wodzie; jej powierzchnię pokrywał jakiś meszek, sitowie połyskiwało w słońcu. Obiecaną przez Ardaliona niespo-

dzianką okazała się butelka wódki, którą zresztą Lidia zdążyła już gdzieś schować. Śmiała się i podskakiwała w swoim beżowym kostiumie kąpielowym z tą dwukolorową, niebieską i czerwoną, obwódką wokół jego środkowej części – zupełnie jak piłeczka do krykieta. Kiedy najeździwszy się do syta na plecach wolno płynącego Ardaliona („Nie szczyp, mamuśka, bo zrzucę!”), nakrzyczawszy się i naparskawszy, wyszła z wody, jej nogi zrobiły się bardzo włochate, wkrótce jednak wyschły i pokrywał je już tylko lekko połyskliwy jasny meszek. Przed skokiem do wody Ardalion uważał za stosowne się przeżegnać. Na jego goleni widniała wielka obrzydliwa blizna, pozostałość po wojnie domowej; gdy skakał, z wycięcia w jego ohydnie obwisłym kostiumie wyskakiwał noszony na ciele srebrny krzyż zrobiony na chłopską modłę. Lidia starannie posmarowała się chłodnym kremem i położyła na plecach, oddając się do dyspozycji słońcu. Ja i Ardalion ułożyliśmy się nieco dalej, w cieniu jego najlepszej sosny. Z żałośnie wychudłej teczki wyjął szkicownik i ołówki; po chwili zauważyłem, że rysuje mnie.

– Ma pan trudną twarz – powiedział mrużąc oczy.

– Pokaż, pokaż! – zawołała Lidia, ale nie ruszyła nawet palcem.

– Głowę proszę trochę wyżej – powiedział Ardalion. – Dziękuję, tak dobrze.

– No, pokaż mi! – krzyknęła znowu po chwili.

– Najpierw ty mi pokaż, gdzie wtryniłaś moją wódkę – mruknął Ardalion.

– Nie ma obawy – odpowiedziała – przy mnie pić nie będziesz.

– Ta kobieta ma fioła! Czy uważa pan, staruszkule, że mogła rzeczywiście ją zakopać? Prawdę powiedziawszy, chciałem chlapnąć z panem brudzia.

– Już ja cię oduczę pić – zawołała Lidia, nie unosząc nasmarowanych powiek.

– Ale bezczelna – powiedział Ardalion.

– Niech mi pan powie – spytałem go – czemu pan twierdzi, że mam trudną twarz? W czym ta trudność?

– Nie wiem. Ołówek pana nie chwyta. Następnym razem muszę spróbować węglem albo olejną. – Wytarł coś gumką, strzepnął jej drobiny stawami palców i podniósł głowę.

– Zabawne, zawsze myślałem, że mam bardzo zwyczajną twarz. Może niech pan spróbuje narysować ją z profilu.

– Tak, z profilu! – zawołała Lidia (jak przedtem, rozpostarta na piasku).

– No, nie nazwałbym jej całkiem zwyczajną. Proszę trochę wyżej. Nie, skoro mnie pan pyta, myślę, że jest w niej coś dziwnego. Wszystkie pana rysy uciekają mi spod ołówka, ciach i nie ma.

– Więc takie twarze spotyka się rzadko, to ma pan na myśli?

– Każda twarz jest niepowtarzalna – oznajmił Ardalion.

– O Boże, piekę się na wolnym ogniu – jęknęła Lidia, ale nawet nie drgnęła.

– No, żeby zaraz – niepowtarzalna!... Czy to nie za dużo powiedziane? Weźmy chociażby określone typy ludzkich twarzy, na przykład zoologiczne. Są przecież ludzie z rysami małpy, jest też typ szczura, typ świni. Albo weźmy podobieństwo do sławnych osobistości – Napoleonów wśród mężczyzn, królowe Wiktorie wśród kobiet. Mówiono mi, że przypominam Amundsena. Często trafiałem na nosy *à la* Lew Tołstoj. Są też typy twarzy, które przywodzą człowiekowi na pamięć jakiś obraz. Twarze jak z ikony, madonny! No, a podobieństwo związane z takim samym stylem życia, z zawodem?...

– Zaraz pan powie, że wszyscy Chińczycy są do siebie podobni. Zapomina pan, łaskawco, że artysta dostrzega przede wszystkim różnicę pomiędzy rzeczami. Podobieństwo widzi profan. Czyż nie

słyszał pan, jak Lidia krzyczy w kinie: „Patrz, jaka ona podobna do naszej służącej!”

– Ardalionku, nie próbuj być dowcipny – powiedziała Lidia.

– Ale musi się pan zgodzić – ciągnąłem – że czasem właśnie podobieństwo jest ważne.

– Kiedy dokupuje się drugi świecznik do kompletu – powiedział Ardalion.

Nie ma powodu dalej zapisywać tej rozmowy. Strasznie chciałem, żeby dureń poruszył temat sobowtórów, ale się nie doczekałem. Po chwili odłożył szkicownik. Lidia błagała go, żeby jej pokazał, co narysował. Powiedział na to, że pokaże, jeśli odda mu butelkę. Nie zgodziła się i nie zobaczyła rysunku. Wspomnienie tego dnia kończy się w słonecznej mgle albo miesza się ze wspomnieniami naszych późniejszych wycieczek w to miejsce. Bo po pierwszej nastąpiło wiele dalszych. Nabrałem posępnego i do bólu ostrego upodobania do tego samotnego lasu z lśniącym pośrodku jeziorem. Ardalion usilnie nalegał, żebym spotkał się z szefem spółki i nabył sąsiednią parcelę, ale byłem nieugięty. Zresztą – gdybym nawet chciał kupić ziemię, i tak bym się nie zdecydował, jako że moje interesy szły tego lata kiepsko i miałem wszystkiego po uszy: moja paskudna czekolada mnie rujnowała. Ale daję słowo, panowie, słowo honoru: to nie chciwość, nie tylko ona, nie tylko pragnienie poprawienia swojej sytuacji finansowej... Nie ma co zresztą uprzedzać wypadków.

### **ROZDZIAŁ III**

Jak zaczniemy ten rozdział? Proponuję kilka wariantów do wyboru. Wariant pierwszy (często stosowany w powieściach, w których narrację prowadzi w pierwszej osobie liczby pojedynczej prawdziwy albo fikcyjny autor):

Ładny dziś dzień, chociaż zimno, gwałtowność wiatru nie słabnie, wiecznie zielone listowie pod moim oknem kołysze się jak szalone, a listonosz na drodze do Pignan idzie tyłem, przytrzymując czapkę. Mój niepokój wzrasta...

Cechy charakterystyczne tego wariantu są dość oczywiste: przede wszystkim wydaje się rzeczą jasną, że gdy ktoś pisze, to robi to w określonym miejscu, nie jest po prostu jakimś duchem unoszącym się nad stronica. Gdy rozmyśla i pisze, wokół niego coś się dzieje, na przykład – jak teraz – wieje wiatr, na drodze wiruje kurz, który widzę przez okno (listonosz właśnie się odwrócił i nisko pochylony nadal walcząc z wichurą, posuwa się do przodu). Całkiem przyjemny, odświeżający ten wariant pierwszy, daje chwilę wytchnienia i pomaga wprowadzić osobisty ton, ożywiając w ten sposób opowieść, co ważne, zwłaszcza gdy pierwsza osoba liczby pojedynczej jest równie fikcyjna jak cała reszta. No i w tym sęk, bo to sztuczka handlowa, kompletnie wystrzępiona, biedula, przez sprzedawców fikcji literackiej, nie do twarzy mi z nią, stałem się bowiem absolutnie prawdomówny. Możemy więc przejść do wariantu drugiego: tu cała rzecz polega na tym, żeby niespodziewanie wprowadzić nową postać, zaczynając rozdział tak oto:

Orlovius był niezadowolony.

Kiedy był niezadowolony albo zmartwiony czy po prostu nie wiedział, co odpowiedzieć, zwykł szarpać długą małżowinę swego

lewego ucha, lamowaną szarym puszkciem, potem, żeby nie było zazdrosne, zaczynał szarpać długą małżowinę prawego i patrzył na człowieka sponad swych prostych, uczciwych okularów, zwlekał, by wreszcie dać odpowiedź:

– Ciężko powiedzieć, ale moim...

„Ciężko” znaczyło u niego „trudno”, jak po niemiecku, była też jakaś teutońska nieruchawość w jego namaszczonej ruszczyźnie.

Ten drugi wariant początku rozdziału to metoda popularna i solidna, ale jest w niej coś nazbyt wygładzonego; poza tym nieśmiały, ponury Orlovius nie nadaje się do tego, by dziarsko otwierać bramę do nowego rozdziału. Poddaję więc pod waszą rozwagę wariant trzeci.

Tymczasem... (zapraszający gest wielokropka).

Dawno temu ta sztuczka była ulubienicą kinematografu alias biografii alias iluzjonu. Widział człowiek, jak bohater robi to czy tamto, a tymczasem... Wielokropek i akcja przenosiła się na wieś. Tymczasem... Nowy akapit, proszę:

...Włókł się po rozpalonej drodze, starając się korzystać z cienia jabłoni, kiedy tylko na poboczu pojawiały się ich krzywe pobielone pnie...

Nie, to głupi pomysł: przecież nie zawsze wędrował. Jakiś obrzydliwy kułak potrzebował czasem dodatkowych rąk do pracy, nieludzki młynarz – dodatkowych pleców. Ponieważ sam nigdy nie byłem włóczęgą, nie potrafiłem – i nadal nie potrafię – wyświetlić jego życia na swoim prywatnym ekranie. Najbardziej pragnąłem wyobrazić sobie wrażenie, jakie wywarł na nim pewien majowy poranek spędzony na skrawku lichej trawy pod Pragę. Obudził się. Obok siedział i patrzył na niego dobrze ubrany jegomość. Przyjemna myśl: da może papierosa. Facet okazał się Niemcem. Natarczywie – chyba nie wszystko ma dobrze poukładane pod sufitem – wciskał mi swoje lusterko, kłął. Skapowałem, że chodzi mu o podobieństwo.

Dobra – pomyślałem – niech będzie, że jesteśmy podobni. Co mnie to obchodzi. Może da mi jakąś łatwą robotę. Spytał mnie o adres. Nigdy nic nie wiadomo, a nuż coś z tego wyjdzie.

Później (rozmowa w stodole ciepłą ciemną nocą):

– No więc, mówię ci, niezły był dziwak z tego gościa, co go kiedyś spotkałem. Wymyślił sobie, że jesteśmy podobni jak dwie krople wody.

Śmiech w ciemności:

– To nie była żadna woda i nie dwie krople wtedy wypileś, ty ochlapusie. Sameś widział podwójnie.

Wkradł się tutaj jeszcze jeden chwyt literacki – imitacja tłumaczonych powieści, które same są imitacjami, opisujących życie wesołych wagabundów, dobrych facetów z kościami. (Obawiam się, że chwytę trochę mi się poplątały). A skoro mówimy o literaturze: nie ma rzeczy, której bym o niej nie wiedział. To zawsze był mój konik. Jako dziecko układałem wiersze i zawiłe opowieści. Nigdy nie kradłem brzoskwiń z cieplarni północnorosyjskiego ziemianina, u którego mój ojciec był rządcą. Nigdy nie grzebałem żywcem kotów. Nigdy nie wykręcałem rąk słabszym od siebie, ale – powiadam – układałem ciemne, niepojęte wiersze i zawiłe opowieści, jak gdyby powodowany jakimś strasznym fatalizmem, przy czym bez żadnego powodu kompromitowałem w nich znajomych rodziców. Nie zapisywałem jednak tych opowieści, ani nikomu o nich nie opowiadałem. Nie było dnia, żebym nie skłamał. Kłamałem tak, jak słowik śpiewa – ekstatycznie, do samozapomnienia, delektując się nową harmonią życia, którą stwarzałem. Za takie słodkie kłamstwa dostawałem od mamy w ucho, a od ojca bykowcem w tyłek. W najmniejszym stopniu nie zbijało mnie to z tropu, raczej przeciwnie: dodawało skrzydeł mojej fantazji. Ogłuchły na jedno ucho, z płonącymi pośladkami leżałem na brzuchu w wysokiej trawie w sadzie, pogwizdywałem i marzyłem.

W szkole nieodmiennie dostawałem za wypracowania z rosyjskiego pałę, w szczególności bowiem sposób postępowania z fabułami ojczystych i obcych klasyków, na przykład opowiadając „własnymi słowami” *Otella*, którego – zwracam uwagę – doskonale znałem, zrobiłem z Maura niedowiarka, a z Desdemony niewierną żonę.

Wygrawszy plugawy zakład z pewnym dziwkarzem ze starszej klasy, stałem się posiadaczem rewolweru. Na pniach osik w lesie rysowałem kredą twarze, obrzydliwe, wrzeszczące białe twarze, i metodycznie wybijalem drani jednego po drugim.

Lubiłem i nadal lubię stawiać słowa w głupich i niezręcznych sytuacjach, łączyć je ze sobą błazeńskim ślubem kalamburu, wywracać na nice, atakować zniecka. Co w marszałku robi szal? Albo co igra w epigrafie? Jak tyran zmienia się w narty, skąd las w lasce i co wiąże tę laskę ze skalą?

Przez kilka lat dręczył mnie bardzo osobliwy i bardzo nieprzyjemny sen: śniło mi się, że stoję w długim korytarzu, w głębi znajdują się drzwi, a ja strasznie chciałbym je otworzyć, ale brakuje mi odwagi, w końcu jednak decyduję się do nich zbliżyć, otwieram je i natychmiast budzę się z jękiem, bo to, co widzę, jest niewyobrażalnie przerażające – całkiem pusty pokój ze świeżo pobielonymi ścianami. Nie widziałem nic więcej, ale ten obraz był tak przerażający, że nie można było wytrzymać. Potem którejś nocy na środku nagiego pokoju pojawiło się krzesło i jego smukły cień – nie był to pierwszy z wielu mebli, zdawało się raczej, że ktoś postawił je po to, żeby wspiać się na nie i zawiesić kawałek draperii, a ponieważ wiedziałem kogo zastałbym tam następnym razem, wyprężonego z młotkiem w dłoni i garścią gwoździ w zębach, wyplułem je i nigdy więcej nie otwierałem tych drzwi.

Jako szesnastolatek i ciągle jeszcze uczeń zacząłem bardziej regularnie odwiedzać przyjemnie nieformalny dom uciech, wypróbowałem wszystkie siedem dziewcząt, skoncentrowałem swoje



uczucia na pulchniutkiej Polymni, z którą wypijałem zawsze mnóstwo pianistego piwa, siedząc przy mokrym stoliku w sadzie – wręcz uwielbiam sady.

W czasie wojny, jak być może już wspominałem, wiodłem ponurą egzystencję w rybackiej wioszczynie niedaleko Astrachania i gdyby nie książki, nie wiem, czy zdołałbym przetrwać te nędzne lata.

Lidię poznałem w Moskwie (dokąd dostałem się cudem, prześliznąwszy się poprzez przekłętą bałagan wojny domowej), w mieszkaniu przypadkowego znajomego, u którego mieszkałem. Znajomy był Łotyszem, milczącym człowiekiem o białej twarzy, bryłowanej czaszce, bardzo krótko przyciętych włosach i rybiomimnych oczach. Z zawodu nauczyciel łaciny, zdołał później zostać ważnym urzędnikiem radzieckim. Do owego mieszkania fatum sprowadziło kilka osób, które niemal się ze sobą nie znały, był wśród nich inny kuzyn Lidii, brat Ardaliona – Innokientij, który z jakiegoś powodu został po naszym wyjeździe rozstrzelany przez pluton egzekucyjny. (Szczерze mówiąc, wszystko to znacznie bardziej pasowałoby na początek rozdziału pierwszego niż trzeciego).

*Śmiały, głośny, lecz schorzały w duszy  
Płochą duszo, płoną twe płomienie)  
Czemu płyniesz w noc głębokiej głuszy  
W sadzie Boga rzuciwszy schronienie?*

To moje, moje! Moje młodzieńcze eksperymenty z bezsensownymi dźwiękami, które uwielbiałem, hymny natchnione przez moją piwną kochankę i „Szfinburna”, jak nazywano go w bałtyckich guberniach... Jedna rzecz mnie zastanawia: czy tkwiły we mnie wówczas tak zwane przestępcze inklinacje? Czy moja młodość, tak zdawałoby się szara i sztywna, kryła w sobie zapowiedź pojawienia się genialnego gwałciciela prawa? Czy też może szedłem owym zwyczajnym korytarzem z moich snów, raz za razem krzycząc z

przerażenia, gdy stwierdzałem, że pokój jest pusty, by pewnego niezapomnianego dnia zobaczyć, że pusty być przestał? Tak, to właśnie wtedy wszystko znalazło wyjaśnienie i usprawiedliwienie – i pragnienie otworzenia tych drzwi, i moje dziwne zabawy, i głód fałszu, ta skłonność do wypracowanego kłamstwa, która do tej pory wydawała się bezcelowa. Hermann odkrył swoje alter ego. Stało się to, jak miałem zaszczyt państwa poinformować, 9 maja. A w lipcu złożyłem wizytę Orloviusowi.

Decyzję, którą podjąłem i która zmierzała do szybkiej realizacji, przyjął z pełną aprobatą, tym bardziej, że podejmując ją działałem zgodnie z udzieloną mi niegdyś przez niego radą.

Tydzień później zaprosiłem go na obiad. Rogi swej serwetki wetknął za kołnierzyk. Zmagając się z zupą, wyraził niezadowolenie z powodu ostatnich wydarzeń politycznych. Lidia spytała od niechcienia, czy szykuje się jakaś wojna i z kim. Spojrzał na nią sponad okularów, zwlekając z odpowiedzią (mniej więcej takiego widzieliście go przez chwilę na początku tego rozdziału) i wreszcie rzekł:

– Ciężko powiedzieć, ale moim zdaniem wojna jest wykluczona. Jak byłem młody, pomyślałem raz sobie, że trzeba się zawsze spodziewać najlepszego („najlepszego” wyszło mu jakoś niezwykle smutno i tłusto). Od tamtej pory stale trzymam tę zasadę. Główna rzecz dla mnie – optymizm.

– Co świetnie harmonizuje z pańskim zawodem – powiedziałem z uśmiechem.

Spojrzał na mnie spode łba i powiedział z powagą:

– Ale to pesymizm daje nam klientów.

Obiad niespodziewanie ukoronowała herbata podana w szklankach. Z niewiadomych powodów Lidia uznała takie zakończenie za bardzo pomysłowe i pełne uroku. Orlovius w każdym razie był zadowolony. Powoli i ponuro opowiadając nam o

swojej matce staruszce, która mieszkała w Dorpacie, unosił szklanke i na niemiecki sposób mieszał pozostałą w niej herbatę, to znaczy nie łyżeczką, lecz kolistym ruchem nadgarstka – by nie zmarnować opadłego na dno cukru.

Porozumienie, które podpisałem z jego firmą, było z mojej strony osobiście mglistym i pozbawionym znaczenia aktem. Właśnie w tym czasie popadłem w przygnębienie, stałem się milczący i roztargniony i nawet moja niespostrzegawcza żona zauważyła we mnie zmianę – tym bardziej, że po dzikim okresie rozdławiania się, moje życie seksualne zaczęło się nagle sprowadzać do monotonnej rutyny. Kiedyś w środku nocy (leżeliśmy w łóżku, ale nie spaliśmy, w pokoju było okropnie duszno – mimo otwartego szeroko okna) powiedziała:

– Jesteś chyba przepracowany, Hermann. W sierpniu wyjeździemy nad morze.

– To nie tylko praca – powiedziałem – całe to miejskie życie śmiertelnie mnie znużyło.

W ciemności nie mogła widzieć wyrazu mojej twarzy. Po chwili podjęła wątek:

– Na przykład ciocia Aleksandra, pamiętasz tę moją ciotkę, która mieszkała we Francji, w Pignan. Jest takie miasto, prawda?

– Tak.

– No więc, nie mieszka już tam, z tym starym Francuzem, za którego wyszła, przeniosła się pod Niceę. Mają tam gospodarstwo.

Ziewnęła.

– Moją czekoladę biorą diabli, mamuśka – powiedziałem i także ziewnąłem.

– Wszystko będzie dobrze – mruknęła. – Musisz tylko odpocząć.

– Potrzebny mi jest nie żaden odpoczynek, tylko zmiana, duża życiowa zmiana – powiedziałem z udawanym westchnieniem.

– Zmiana – powiedziała Lidia.

– Słuchaj – spytałem – nie chciałabyś, żebyśmy żyli w jakimś słonecznym zakątku, czy nie byłoby pysznie, gdybym się tak wycofał z interesów? Szanowana para rentierów, co?

– Wszędzie mi z tobą będzie dobrze, Hermann. Moglibyśmy ściągnąć też Ardaliona i może kupić wspaniałego wielkiego psa.

Milczenie.

– Niestety nigdzie nie pojedziemy. Jestem praktycznie wykończony. Trzeba będzie chyba zlikwidować całą tę czekoladową aferę.

Kroki spóźnionego przechodnia. Stuk! I jeszcze raz: stuk! Pewnie uderzał laską w słupy latarni.

– Zgadnij: za pierwsze podpisane dostaniesz w banku pieniądze, drugie to imię twojej ciotki, kiedy była mała, trzecie to coś, czego nikt za darmo nie zrobi, a wszystko razem mnie rujnuje.

Z łagodnym szumem przejechał automobil.

– No co, nie możesz zgadnąć?

Ale moja głupinka spała. Zamknąłem oczy, przewróciłem się na bok i także spróbowałem usnąć. Bez powodzenia. Z ciemności wyłonił się, wysuwając szczękę, i patrząc mi prosto w oczy – Feliks. Szedł wprost ku mnie. Kiedy był tuż, tuż, rozpląnął się w powietrzu, przed sobą widziałem tylko długą pustą drogę, którą przyszedł. A potem w dali znowu pojawił się jakiś ludzki kształt, mężczyzna uderzał laską we wszystkie pnie drzew na poboczu drogi, podchodził coraz bliżej i bliżej, starałem się zobaczyć jego twarz... I proszę, wysuwając szczękę i patrząc mi prosto w oczy... Ale zniknął tak samo jak poprzednio, w chwili gdy do mnie doszedł, albo raczej kiedy, jak się zdawało, wszedł we mnie, kiedy przeszedł przeze mnie,

jak gdybym był cieniem. I znowu przede mną była tylko droga, przeżyła się w oczekiwaniu, i znowu pojawił się jakiś kształt, i znowu to był on.

Przewróciłem się na drugi bok, przez chwilę było ciemno i spokojnie – niezmacona czerń. Potem stopniowo zaczęła się zarysowywać droga: ta sama droga, tylko zakręcona w drugą stronę, i nagle tuż przed moją twarzą, jak gdyby ktoś ze mnie wyszedł, pojawił się tył głowy mężczyzny i plecak na jego ramionach, postać powoli się zmniejszała, oddalał się, oddalał, za chwilę zniknie mi z oczu... ale nagle przystanął, obejrzał się i wrócił tą samą drogą, jego twarz stawała się coraz to wyraźniejsza; to była moja twarz.

Znowu zmieniłem pozycję. Tym razem położyłem się na plecach – i nagle rozpostarło się nade mną, jakby widziane przez ciemne szkielek, lakierowane błękitnoczarne niebo, pas nieba pomiędzy hebanowymi zarysami drzew, powoli cofającymi się po obu stronach; a kiedy położyłem się na brzuchu, zobaczyłem jak pode mną uciekają kamienie i błoto wiejskiej drogi, i kłaki zgubionego siana, ujrzałem wyżłobioną przez koło wozu koleinę, pełną deszczówki, a w tej pomarszczonej powiewem wiatru kałuży – drżącą trawestację swojej twarzy, i z nagłym przerażeniem zauważyłem, że twarz ta nie ma oczu.

– Oczy zawsze zostawiam na koniec – powiedział zadowolony z siebie Ardalion.

Trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce moją rysowaną węglem podobiznę, niedawno zaczęty portret, i przyglądał mu się, na różne sposoby przechylając głowę. Przychodził często, pozowałem mu przeważnie na balkonie. Miałem teraz mnóstwo wolnego czasu: przyszło mi do głowy, żeby urządzić sobie coś w rodzaju niedużych wakacji.

Lidia także siadywała na balkonie – zwinięta w kłębek w wiklinowym fotelu, czytała książkę; na wpół rozgnieciony niedopałek (nigdy nie dobijała niedopałków) z ponurym uporem trzymając się

życia wypuszczał z popielniczki cienką, prostą nitkę dymu; czasem pod lekkim powiewem dym nachylał się i słaniał, ale wracał do przytomności i znów był prosty i cienki jak przedtem.

– Wcale niepodobny – powiedziała Lidia, nie podnosząc zresztą oczu znad książki.

– Jeszcze będzie podobny – odparował Ardalion. – Zaraz poprawię to nozdrze i będzie dobrze. Jakieś takie nieciekawe światło dziś popołudniu.

– Co jest nieciekawe? – spytała Lidia, podnosząc oczy i trzymając palec w miejscu, gdzie przerwała lekturę.

Pozwól, łaskawy czytelniku, i mnie przerwać w tym miejscu narrację, albowiem jeszcze coś, co wydarzyło się owego lata w moim życiu, warte jest twojej uwagi. Proszę wybaczyć ten nieład panujący w mojej opowieści i pstrokaciznę wątków, ale powtarzam: to nie ja piszę, to pisze moja pamięć, która ma swoje kaprysy i rządzi się własnymi regułami. Spójrz więc, oto znowu włóczę się po lesie koło jeziora Ardaliona, tym razem przyjechałem tu sam i nie samochodem, lecz pociągiem (do Koenigsdorfu) i autobusem (do żółtego drogowskazu).

Na mapie regionów podmiejskich, której Ardalion zapomniał kiedyś na naszym balkonie, bardzo wyraźnie rysują się wszystkie cechy okolicy. Przypuśćmy, że mam przed sobą tę mapę, wówczas Berlin, niewidoczny na trzymanej przeze mnie płachcie, należałoby wyobrazić sobie gdzieś w sąsiedztwie łokcia mojej lewej ręki. W południowo-zachodnim rogu samej mapy jak kawałek czarno-białej taśmy mierniczej ciągnie się na północ linia kolejowa, która, przynajmniej w wymiarze metafizycznym, biegnie już wcześniej, wzdłuż rękawa ku mojemu mankietowi, wychodząc z Berlina. Mój zegarek to miasteczko Koenigsdorf, za nim czarno-biała wstążka zakręca i kieruje się na wschód, a tam kolejne kółko (dolny guzik mojej kamizelki): Eichenberg.

Nie mamy jednak żadnego powodu jechać tak daleko, wysiadamy w Koenigsdorfie. W miejscu, gdzie linia kolejowa skręca na wschód, rozstaje się z nią jej towarzysząca, szosa, by samotnie dążyć dalej na północ, wprost ku wiosce Waldau (paznokciec mojego lewego kciuka). Trzy razy dziennie między Koenigsdorfem a Waldau (siedemnaście kilometrów) kursuje autobus. Nawiasem mówiąc to właśnie w Waldau znajduje się ośrodek handlu działkami – wymalowany wesołe wzory pawilon, fantazyjna flaga trzepocząca na wietrze i sporo żółtych drogowskazów: jeden na przykład kieruje „na plażę”, choć na razie nie ma żadnej plaży, a jedynie trzęsawisko na skraju rozciągającego się pod Waldau jeziora; inny drogowskaz kieruje „do kasyna”, którego również brak, zastępuje je coś w rodzaju przenośnego przybytku Arki Przymierza i kiosk, w którym od niedawna można kupić filiżankę kawy; jeszcze inny drogowskaz zaprasza „na tereny sportowe” – i rzeczywiście można tam znaleźć świeżo postawione skomplikowane urządzenia gimnastyczne, przypominające szubienice, nie ma jednak nikogo, kto by z nich korzystał, jeśli nie liczyć wiejskiego urwisa, zwisającego głową w dół i ukazującego łatę na tyłku; a wszędzie dokoła, we wszystkich kierunkach znajdują się działki; niektóre z nich są na w pół sprzedane i w niedziele widzi się grubasów w kostiumach kąpielowych i rogowych okularach, z zapalem wznoszących prymitywne domki letniskowe; tu i ówdzie można nawet zobaczyć niedawno zasadzone kwiaty albo różową wygodkę oplecioną pnącymi różami.

Do Waldau jednak również nie dojeżdżamy, wysiadziemy z autobusu dziesięć kilometrów od Koenigsdorfu, w miejscu, gdzie po naszej prawej stronie stoi samotny żółty drogowskaz. Na prawo od szosy mamy na mapie spory obszar, cały pokropkowany: to las; w samym jego środku znajduje się nieduże jezioro, w którym kąpaliśmy się, na jego zachodnim brzegu, jak dwanaście ułożonych w wachlarz kart, rozciąga się dwanaście działek, z których tylko

jedna jest sprzedana (jeśli można ją nazwać sprzedaną – to ziemia Ardaliona).

Zbliżamy się teraz do najbardziej interesującego punktu. Była już tu wspomniana stacja Eichenberg, następna po Koenigsdorfie, jeśli jedzie się na wschód. Wyłania się pewna kwestia techniczna: czy ktoś wyruszający z okolic jeziora Ardaliona może dotrzeć do Eichenbergu piechotą? Odpowiedź brzmi: tak. Powinniśmy obejść południowy skrawek jeziora, a potem przez las ruszyć na wschód. Przeszedłszy cztery kilometry, ciągle przez las, wychodzimy na wiejską drogę, której jeden koniec prowadzi nie wiadomo dokąd, do jakichś nie interesujących nas przysiółków, podczas gdy drugi zawiedzie nas właśnie do Eichenbergu.

Życie moje jest wykoślawione i pogmatwane, a ja tu się wygłupiam, żonglując kolorowymi opisikami, bawiąc się tą jakże przytulną pierwszą osobą liczby mnogiej, puszczając oko do turysty, letnika, miłośnika przyrody, owego malowniczego bigosu odcieni zieleni i błękitu. Ale trochę cierpliwości, czytelniku. Spacer, na który teraz pójdziemy, będzie dla ciebie sowitą nagrodą. Te rozmówki z czytelnikami są też dosyć głupie. Teatralne „na stronie”. Wymowny szept: „Teraz cicho! Ktoś nadchodzi...”

Spacer... Autobus wypluł mnie przy żółtym drogowskazie i ruszył dalej, uwożąc trzy staruszki w czarnych strojach w białe groszki, faceta w aksamitnej kamizelce, z kosą owiniętą w workowe płótno, dziewczynkę z dużą paczką i mężczyznę mimo upału noszącego płaszcz – trzymał na kolanach chyba dość ciężką torbę, prawdopodobnie był weterynarzem.

Pośród wilczomleczy i suchej trawy znalazłem ślady opon – opon mojego samochodu, który tu podczas naszych wycieczek tyle razy podskakiwał i podrygiwał. Byłem w golfach czy, jak je nazywają Niemcy, knickerbockerach. Wszedłem do lasu. Zatrzymałem się dokładnie w tym samym miejscu, w którym czekaliśmy kiedyś z żoną na Ardaliona. Wypaliłem tam papierosa. Obserwowałem, jak



kłębek dymu powoli się prostuje, jak łapia go i składają widmowe palce i jak się rozprasza. Poczulem, że coś ściska mnie za gardło. Poszedłem nad jeziorko i zauważyłem na piasku zmięty kawałek czarno-pomarańczowego opakowania filmu fotograficznego (Lidia robiła nam zdjęcia). Obszedłem południowy skrawek jeziorka i ruszyłem przez gęsty las sosnowy na wschód.

Po godzinnej przechadzce wyszedłem na wiejską drogę. Skręciłem w nią i po kolejnej godzinie byłem w Eichenbergu. Wsiadłem do pociągu podmiejskiego. Wróciłem do Berlina.

Kilkakrotnie powtórzyłem monotony marsz i nigdy nie spotkałem w lesie żywej duszy. Mrok, głęboka głusza. Nie było w ogóle chętnych na grunty wokół jeziorka, po prawdzie cały interes podupadał. Kiedy nasza trójka jeździła tam popływać, cieszyliśmy się przez cały dzień tak całkowitą samotnością, że można było ile ciało zapagnie kąpać się choćby i nago. Przypomina mi się, jak raz na moje żądanie przestraszona Lidia zdjęła kostium kąpielowy i zalewając się mnóstwem ślicznych rumieńców i nerwowo chichocząc pozowała nago (tak mocno przyciskała do siebie tłuste uda, że ledwie stała) do obrazu, ale Ardalion nagle nie wiadomo dlaczego, pewnie powodem był brak talentu, wpadł w irytację, przerwał rysowanie i poszedł na borowiki.

Co się tyczy mojej podobizny, pracował nad nią uparcie, trwało to niemal do końca sierpnia, kiedy to nie mogąc sobie poradzić ze szlachetnym rysunkiem węglem, zmienił go na taniochę pasteli. Naznaczyłem sobie konkretny termin: datę ukończenia portretu. W końcu rozszedł się słodki gruszkowy aromat lakieru, rysunek został oprawiony i Lidia dała Ardalionowi dwadzieścia marek, wkładając je dla elegancji w kopertę. Mieliśmy tego wieczora gości, między innymi Orloviusa, i wszyscy staliśmy i gapiliśmy się – na co? Na moją okropną rumianą twarz. Nie mam pojęcia, dlaczego nadał moim policzkom ten soczysty odcień, w istocie są blade jak śmierć. Nie sposób było znaleźć cienia podobieństwa! Jakże groteskowe były na

przykład szkarłatna plamka w kąciku oka albo błysk kła wyzierającego spod wykrzywionej lekko uniesionej wargi. A wszystko to – na „ambitnym” tle sugerującym ni to figury geometryczne, ni to szubienice...

Orlovius, którego krótkowzroczność graniczyła z głupotą, podszedł do portretu tak blisko, jak to było możliwe, i przesunawszy okulary na czoło (po co je nosił? tylko mu przeszkadzały) zamarł z na wpół otwartymi ustami, lekko dysząc na obraz, jakby go chciał zjeść.

– Modernizm – powiedział w końcu z niesmakiem i przeszedł do sąsiedniego obrazu, który zaczął studiować z równie skrupulatną uwagą, choć była to zwyczajna litografia wisząca we wszystkich berlińskich domach: „Wyspa umarłych”.

A teraz, drogi czytelniku, wyobraźmy sobie niewielkie biuro na piątym piętrze pozbawionego cech indywidualnych domu. Maszynistka wyszła, byłem sam. W oknie majaczyło zachmurzone niebo. Kalendarz na ścianie prezentował ogromną, przypominającą język byka dziewiątkę: dziewiątego września. Na biurku leżą codzienne kłopoty (w postaci listów od wierzycieli), a pomiędzy nimi symbolicznie puste pudełko po czekoladkach z liliową damą, która mnie zdradziła. Nikogo w pobliżu. Otworzyłem maszynę do pisania. Panowała całkowita cisza. Na którejś ze stron mojego notesu (później zniszczonego) znajdował się pewien adres, nakreślony ręką półanalfabety. Patrząc przez ten drżący pryzmat, widzę woskowe czoło, brudne ucho; głowa schylona, z butonierki zwisa fiołek, palec zakończony czarnym paznokciem przyciska mój srebrny ołówek.

Pamiętam, że otrząsałem się z odrętwienia, włożyłem notatnik z powrotem do kieszeni, wyjąłem klucze, szykowałem się do wyjścia – już wychodziłem, ale zatrzymałem się w korytarzu, a serce waliło mi młotem... Nie, nie sposób było wyjść... Wróciłem do biura i przez chwilę stałem przy oknie, patrząc na dom naprzeciwko. Zapalono już w nim lampy, które oświetlały księgi buchalteryjne i mężczyznę

w czerni, który z ręką założoną na plecy chodził tam i z powrotem, prawdopodobnie dyktując coś niewidocznej dla mnie sekretarce. To znikał, to znów się pojawiał, a raz nawet zatrzymał się przy oknie, żeby chwilę pomyśleć, a potem znowu się odwrócił, dyktując, dyktując, dyktując.

Nieubłagany! Zapaliłem światło, usiadłem, ścisnąłem skronie. Nagle z furją zadzwonił telefon, ale okazało się, że to pomyłka. I znowu zapanowała cisza, jeśli nie liczyć lekkiego bębnienia deszczu, przyspieszającego nadejście nocy.

## ROZDZIAŁ IV

„Drogi Feliksie! Znalazłem dla Ciebie pracę. Musimy przede wszystkim wyjaśnić pewne sprawy w monologu w cztery oczy. Ponieważ tak się składa, że wybieram się w interesach do Saksonii, proponuję, żebyśmy się spotkali w Tarnitz, mam nadzieję, że to niedaleko od aktualnego miejsca Twojego pobytu. Daj mi bez zwłoki znać, czy to Ci odpowiada. Jeśli tak, wyznaczę dzień, godzinę i konkretne miejsce spotkania i pošlę Ci pieniądze na drogę. Z uwagi na nieustanne podróże nie mam stałego miejsca zamieszkania, toteż wyślij lepiej swoją odpowiedź na poste restante (następuje adres jednego z berlińskich urzędów pocztowych) z hasłem «Ardalion» na kopercie. Na razie do widzenia. Czekam na Twoją odpowiedź”. (Bez podpisu).

Leży przede mną list, który wystukałem ostatecznie 9 września 1930 roku. Nie przypominam sobie, czy „monolog” był pomyłką, czy żartem. Tekst pisany jest na grubym niebieskim papierze doskonałej jakości, ze znakiem wodnym przedstawiającym fregatę; teraz jednak list znajduje się w smutnym stanie, jest pomięty, w rogach widać brudne plamy – to chyba niewyraźne odciski jego palców. Powstaje wrażenie, jakbym był adresatem, nie nadawcą. No, koniec końców tak właśnie być powinno, bo czyż nie zamieniliśmy się miejscami – on i ja?

W moim posiadaniu są jeszcze dwa listy pisane na podobnym papierze, ale wszystkie odpowiedzi zostały zniszczone. Gdybym je jeszcze miał – gdybym miał na przykład tę idiotyczną epistołę, którą ze wspaniale obmyśloną nonszalancją pokazałem Orloviusowi (a potem zniszczyłem, jak wszystkie pozostałe), można by teraz uciec się do formy powieści w listach, formy od dawna cenionej, formy z wielkimi osiągnięciami w przeszłości. Pan Iks do pana Igreka: „Drogi

Igreku!” – a wyżej oczywiście data. Listy przychodzą i są wysyłane – przypomina to bim-bom latającej ponad siatką piłeczki. Czytelnik szybko przestaje zwracać jakkolwiek uwagę na daty, bo rzeczywiście, jakie znaczenie ma dla niego, czy dany list napisano 9, czy 16 września? Daty są jednak niezbędne dla podtrzymania iluzji.

I tak to się ciągnie, Iks pisze do Igreka, a Igrek do Iksa, strona po stronie. Czasami pojawia się jakiś postronny Zet i wnosi swój niewielki wkład w korespondencję, ale jego jedynym zadaniem jest wyjaśnić czytelnikowi (nie patrząc na niego, niekiedy tylko zezując) jakieś wydarzenie, na które z uwagi na prawdopodobieństwo i tym podobne rzeczy ani Iks, ani Igrek nie mogliby rzucić światła.

Zresztą i oni bardzo są w swoim pisaniu rozważni: wszystkie te „czy-pamiętasz-jak-wtedy-a-wtedy-w-takim-a-takim-miej-scu” (i nas-tępują bardzo dokładne wspomnienia) nie służą bynajmniej odświeżeniu pamięci Igreka, tylko udzieleniu określonych informacji czytelnikowi – tak więc ostateczny efekt jest dosyć komiczny: jak już mówiłem, szczególnie zabawne są te porządnie wpisywane, a całkowicie zbędne daty. A kiedy w końcu przepycha się do przodu Zet i pisze do swego korespondenta (ponieważ w takich powieściach świat składa się wyłącznie z korespondentów) list informujący o śmierci Iksa i Igreka albo o ich szczęśliwym połączeniu, czytelnik czuje, że wolałby najzwyczajniejsze pismo z urzędu podatkowego niż całą tę bazgraninę. Z reguły ceniono mnie zawsze za nietuzinkowy humor; humor w naturalny sposób łączy się z dużą wyobraźnią; biada wyobraźni, której nie towarzyszy dowcip.

Chwileczkę. Przepisywałem ten list, a teraz gdzieś mi się zapodziało.

No, mogę kontynuować – poleciał pod stół.

Tydzień później przyszła odpowiedź (byłem na pocztę już pięć razy i nerwy miałem napięte jak postronki): Feliks zawiadamił mnie, że z wdzięcznością przyjmuje moją propozycję. Jak się to często dzieje w przypadku ludzi niewykształconych, ton jego listu

całkowicie klócił się z tym, który przyjmował w zwyczajnej rozmowie: jego głos epistolarny był drżącym falsetem, który chwilami przechodził w kwiecistą chrypkę, podczas gdy w życiu dysponował pełnym samozadowolenia barytonem zniżającym się do dydaktycznego basu.

Napisałem do niego ponownie, tym razem załączając banknot dziesięciomarkowy i prosząc go o spotkanie 1 października o piątej po południu koło statuy jeźdźca w końcu alei rozpoczynającej się przy placu przed dworcem kolejowym w Tarnitz. Nie pamiętałem ani imienia jegomościa z brązu (zapewne jakiś trywialny drugorzędny *Herzog*), ani nazwy alei, po prostu pewnego dnia jeżdżąc samochodem znajomego kupca po Saksonii ugrzałem na dwie godziny w Tarnitz, skąd mój towarzysz podróży usiłował przeprowadzić jakąś skomplikowaną rozmowę telefoniczną, a jako że zawsze miałem fotograficzną pamięć, zarejestrowałem ulicę, pomnik i inne szczegóły: doprawdy niewielkie zdjęciuszko, chociaż gdybym wiedział, jak robi się powiększenia, można by nawet odczytać litery szyldów sklepowych, gdyż dysponuję doprawdy nadzwyczajnym aparatem.

Mój list z „16 IX” pisany jest ręcznie. Machnąłem go na pocztę: tak byłem podniecony otrzymaniem odpowiedzi na list z „9 bm.”, że nie byłem w stanie poczekać, aż dostanę się do jakiejś maszyny. Nie musiałem się też krępować jednego z moich charakterów pisma, bo wiedziałem przecież, że ostatecznie adresatem będę ja. Po wysłaniu listu, poczułem to, co prawdopodobnie czuje purpurowy, szkarłatnie żyłkowany liść klonu, kiedy gruby i ciężki, leci z gałęzi do strumienia.

Na parę dni przed 1 października przechodziliśmy z żoną przez Tiergarten i zatrzymaliśmy się na mostku, wspierając łokcie na poręczy. Na nieruchomej powierzchni wody podziwialiśmy doskonałą replikę (nie zwracając oczywiście uwagi na sam model) jesiennego gobelinu parku, utkanego z wielobarwnych liści, szklisty błękit

nieba i ciemne zarysy poręczy i naszych pochylonych twarzy. Kiedy powoli opadał liść, to z cienistych głębi wody leciał mu na spotkanie jego nieunikniony sobowtór. Spotykały się w całkowitej ciszy. Wirował opadający liść i ochoczo biegnąc ku niemu wirowało jego lustrzane odbicie, piękne i śmiertelne. Nie mogłem oderwać oczu od tych nieuchronnych spotkań.

– Chodźmy – powiedziała Lidia z westchnieniem. – Jesień, jesień – dodała po chwili – jesień. Tak, tak, jesień.

Miała już na sobie futro, centkowane jak skóra lamparta. Wlokłem się z tyłu, przebijając opadłe liście laską.

– Jak pięknie musi być teraz w Rosji – powiedziała (to samo mówiła wczesną wiosną i w pogodne dni zimowe, tylko lato nie działało jakoś na jej wyobraźnię).

– ...Nie zna, co szczęście świat... lecz wolność zna, wytchnienie... Godzien zazdrości los, moje od lat marzenie. Dawno, znużony rab...

– Chodź, znużony rabie. Dzisiaj mamy obiad trochę wcześniej.

– ...z myślą, by zbiec, się noszę... Będzie ci pewnie nudno, Lidio – bez Berlina, bez trywialnych głupstw Ardaliona?

– Nie. Także strasznie chciałabym gdzieś pojechać... Słońce, morskie fale. Miłe, przytulne życie. Nie rozumiem, dlaczego go tak krytykujesz.

– Już czas, najmilsza, czas... o spokój serce prosi... Ależ nie, nie krytykuję go. A propos, co zrobimy z tym okropnym portretem? Wyjątkowo paskudny. Za dniami biegną dni...

– Patrz, Hermann, jeżdżą tam konno. Ta kobieta na pewno myśli, że z niej Bóg wie jaka piękność. No, chodź, rusz się. Guzdrzesz się jak nadąsany dzieciak. Wiesz, ja go naprawdę bardzo lubię. Od lat marzy mi się, żeby dać mu dużo pieniędzy na podróż do Włoch.

– Godzien zazdrości los... moje od lat... W dzisiejszych czasach Włochy nic nie pomogą złemu malarzowi. Może tak było kiedyś, dawno. Dawno, znużony rab...

– Jesteś chyba strasznie senny, Hermann. Pośpieszmy się trochę, dobrze?

Będę całkiem szczery: żadnej szczególnej potrzeby odpoczynku nie odczuwałem, ale ostatnio był to stały temat naszych rozmów z żoną. Ledwo zostawaliśmy sami, z tępym uporem kierowałem rozmowę ku miejscu „gdzie znajdę czyste jak śnieg rozkosze”, według sformułowania z wiersza Puszkina.

Tymczasem z niecierpliwością liczyłem dni. Odłożyłem spotkanie do 1 października, żeby dać sobie szansę na zmianę decyzji. Nie mogę teraz oprzeć się myśli, że gdybym istotnie ją zmienił i nie pojechał do Tarnitz, to Feliks ciągle jeszcze łąziłby dokoła księcia z brązu albo siedział na sąsiedniej ławce i rysował laską – z lewa na prawo i z prawa na lewo – ziemskie tęcze, jakie rysuje każdy, kto ma laskę i trochę wolnego czasu (nasza wieczna uległość wobec koła, w którym wszyscy jesteśmy uwięzieni!). Tak, siedziałby w ten sposób do dziś dnia, a ja nieustannie bym o nim pamiętał, z dziką udręką i pasją – ogromny bolący ząb i niczego, czym można by go wyrwać, kobieta, której nie sposób posiąść, miejsce, które z uwagi na szczególną topografię sennych koszmarów ciągle pozostaje męcząco nieosiągalne.

Na dzień przed moim wyjazdem Ardalion i Lidia kładli pasjansa, a ja chodziłem po pokojach i przeglądałem się we wszystkich lustrach. Wówczas byłem jeszcze z lustrami w doskonałych stosunkach. Przez poprzedzające ten dzień dwa tygodnie zapuściłem wąsy. Zmieniło to moją powierzchowność na gorsze. Ponad moimi bezkrwistymi ustami jeżył się brązoworudy kleks z nieprzyzwoitą szczerbą pośrodku. Miałem wrażenie, że był przyklejony, a czasem zdawało mi się, że na mojej górnej wardze usadowiło się kolczaste zwierzątko. Nocami czasem dotykałem nagle



w półśnie swojej twarzy i palce jej nie poznawały. A więc, jak mówiłem, przechadzałem się i paliłem, a z każdego upstrzonego trema w mieszkaniu wzrokiem tyleż zalęknionym, co poważnym spoglądał na mnie pośpiesznie ucharakteryzowany osobnik. Ardalion, ubrany w niebieską koszulę, z pseudoszkockim krawatem, walił kartami o stół jak jakiś knajpiany hazardzista. Lidia siedziała bokiem do stołu, założywszy nogę na nogę, ze spódnicą uniesioną ponad kolana i wydmuchiwała w górę dym z papierosa, wysuwała przy tym dolną wargę, a oczy wbijała w rozłożone karty. Noc była ciemna i wietrzna, co pięć sekund po dachach ślizgał się blady snop promieni z wieży radiowej – świetlny tik, ciche szaleństwo obracającego się reflektora. Przez otwarte w łazience wąskie okno dobiegał z jakiegoś innego okna po drugiej stronie podwórza maślany głos spikera. Lampa w jadalni oświetlała obrzydliwy portret. Niebieski Ardalion walił kartami o stół, Lidia wspierała się na łokciu, z popielniczki unosił się dym. Wyszedłem na balkon.

– Zamknij drzwi, przeciąg – z jadalni dobiegł mnie głos Lidii. Od silnego wiatru gwiazdy mrużyły się i mrugały. Wróciłem do pokoju.

– Dokąd to nasz przystojniak się wybiera? – odezwał się Ardalion, nie wiadomo, do którego z nas kierując pytanie.

– Do Drezna – odpowiedziała Lidia.

Grali teraz w durnia.

– Wyrazy szacunku dla Sykstyńskiej – powiedział Ardalion. – Nie, boję się, że tego przebić nie mogę. Zobaczmy. O, tak.

– Zrobiłby lepiej, gdyby poszedł do łóżka, jest śmiertelnie zmęczony – powiedziała Lidia. – Hej, nie wolno ci obmacywać talii, to nieuczciwe.

– Ja tak, przez roztargnienie – powiedział Ardalion. – Nie złość się, kotku. A na długo jedzie?

– Tę także, Ardaliusza, tę proszę także, nie przebiłeś jej.

Ciągnęli tak dłuższą chwilę, rozmawiając to o swoich kartach, to o mnie, jak gdyby nie było mnie w pokoju albo jak gdybym był cieniem, widmem, niema istotą, i ten ich nałóg żartowania, który dawniej pozostawiał mnie obojętnym, teraz zdawał się nabierać znaczenia, jakby rzeczywiście było tu tylko moje odbicie, a moje prawdziwe ciało znajdowało się gdzieś daleko.

Następnego popołudnia wysiadłem na stacji w Tarnitz. Miałem ze sobą walizkę, która krępowała mi ruchy, jako że należą do gatunku mężczyzn, którzy nienawidzą noszenia czegokolwiek: lubię prezentować drogie skórzane rękawiczki, rozczapierzając palce i swobodnie wymachując rękami, kroczyć przy tym powoli, stawiając elegancko obute stopy, małe jak na mój wzrost, tak, by w przeciwną stronę kierowały się noski butów, bardzo szykownych w mysioszarych getrach, albowiem getry, podobnie jak rękawiczki, obdarzają mężczyznę solidną wytwornością zbliżoną do tej, którą odznaczają się pierwszorzędne akcesoria podróżne.

Uwielbiam sklepy, gdzie sprzedaje się walizki, ich zapach, chrzęst, dziewiczość świńskiej skóry pod pokrowcem – ale ciągle robię dygresje, odchodzę od tematu, może chcę odchodzić... mniejsza z tym, idźmy dalej, na czym to ja stanąłem? A tak, postanowiłem zostawić walizkę w hotelu. W jakim hotelu? Przebiegałem plac, nie tylko rozglądając się za hotelem, lecz również próbując przypomnieć sobie to miejsce, przejeżdżałem tędy przecież i pamiętałem tamtą aleję i pocztę. Zabrakło mi jednak czasu na ćwiczenie pamięci. W polu mojego widzenia znalazły się nagle szyld hotelu, wejście do niego, para krzewów laurowych w zielonych kadziach po obu stronach... ta aluzja do luksusu okazała się jednak zwodnicza, bo zaraz po wejściu do środka oszałamiał gościa nieprzyjemny zapach z kuchni, przy barze żłopało piwo dwu włochatych matołków, a stary kelner kucając i machając końcem serwetki, którą ścisnął pod pachą, turlał po podłodze tłuste szczenię z białym brzuszkiem, które z kolei machało ogonem.

Poprosiłem o pokój (zaznaczając, że być może przenocuje u mnie mój brat) i dostałem dość duże pomieszczenie z parą łóżek i karafką martwej wody na okrągłym stole – jak w aptece. Kelner wyszedł, zostałem w pokoju mniej więcej sam, w uszach mi dzwoniło i przenikało mnie poczucie osobliwego zdziwienia. Mój sobowtór był już prawdopodobnie w tym samym mieście, co ja; czekał już być może w tym mieście, a więc reprezentowany byłem tu przez dwie osoby. Gdyby nie moje wąsy i ubranie personel hotelowy mógłby... ale może (zastanawiałem się dalej, przeskakując od myśli do myśli) jego rysy się zmieniły i były już inne niż moje, może przyjechałem na próżno. „Daj Boże!” – powiedziałem z mocą i sam nie potrafiłem zrozumieć, czemu to powiedziałem, bo czyż sens całego mojego życia nie sprowadzał się teraz do tego, że posiadam żywe odbicie? Dlaczego więc wymieniłem imię nie istniejącego Boga, dlaczego przez myśl przemknęła mi idiotyczna nadzieja, że moje odbicie uległo zniekształceniu?

Podszedłem do okna i wyjrzałem przez nie: na dole było ponure podwórko, krągłoplecy Tatar w haftowanej krymce pokazywał hożej bosej dziewczynie niebieski dywanik. Rozpoznałem tę dziewczynę, Tatara także znałem, i kępę zielska w rogu podwórza, i ten tuman kurzu, i delikatny napór wiatru znad Morza Kaspijskiego, i blade niebo, któremu zrobiło się niedobrze od patrzenia na połowy ryb.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszła pokojówka z dodatkową poduszką i czystszy nocnikiem, których zażądałem, a kiedy wróciłem do okna, nie było już za nim Tatara, tylko jakiś miejscowy domokrażca handlujący szelkami, a dziewczyna zniknęła. Lecz kiedy tak patrzyłem, znów rozpoczął się proces stapiania się, budowania, tworzenia określonego wspomnienia, znów zaczęło rosnać i kłębić się zielsko w rogu podwórza, a ruda Christina Forsmann, którą poznałem cieleśnie w 1915 roku, znów dotykała dywanu Tatara, a piasek leciał, a ja nie byłem w stanie dociec, gdzie jest rdzeń, wokół którego wszystko to się pojawiło, gdzie jest zarodek, źródło tego wszystkiego – i nagle spojrzałem na karafkę martwej wody, a ona

powiedziała: „ciepło” – jak podczas zabawy, kiedy chowa się przedmioty, i zapewne w końcu znalazłbym drobiazg, który nieświadomie przeze mnie dostrzeżony, niezwłocznie uruchomił mechanizm pamięci (a może bym go i nie znalazł, może po prostu, bez żadnej literatury, wszystko w tym prowincjonalnym pokoju hotelowym, nawet widok z okna, w mętnej i obrzydliwie zdeformowanej formie przypominało coś ujrzanego dawno, dawno temu w Rosji), gdybym nie pomyślał o czekającym mnie spotkaniu; myśl ta kazała mi włożyć rękawiczki i pośpiesznie wyjść.

Skręciłem w szeroką aleję, minąłem pocztę. Dał silny wiatr, brutalny prześladowca liści – zmykajcie, kaleki! – za którymi pędził na drugą stronę ulicy. Mimo rozpierającej mnie niecierpliwości byłem równie spostrzegawczy jak zawsze, odnotowywałem w pamięci twarze i spodnie przechodniów, tramwaje, które w porównaniu z berlińskimi wydawały się zabaweczkami, sklepy, gigantyczny cylinder wymalowany na odrapanym murze, szyldy, nazwisko właściciela sklepu z rybami, Carla Spiessa, przypominające mi o Carlu Spiessie, którego poznałem w owej nadwołżańskiej wioszczynie, gdzie siedziałem dawno temu, i który także sprzedawał smażone węgorze.

Gdy zbliżyłem się wreszcie do końca alei, dostrzegłem konia z brązu, który stawał dęba, wspierając się na ogonie, jak dziecko; gdyby dosiadający go książę z większą energią wyciągał rękę, całość mogłaby w słabym wieczornym świetle ujść za pomnik Piotra Wielkiego w mieście, które założył. Na jednej z ławek jakiś staruszek jadł winogrona, które wyciągał z papierowej torby, na innej siedziały dwie starsze panie – ich rozmowie przysłuchiwała się z okrągłymi z ciekawości oczami ogromna starucha, na wpół leżąca w swoim wózku inwalidzkim. Dwukrotnie, trzykrotnie obszedłem pomnik, zauważywszy przy tym węża wijącego się pod kopytem tylnej nogi, łaciński napis, botfort z czarną gwiazdą ostrogi. Proszę mi wybaczyć, węża w istocie nie było, to tylko moja wyobraźnia pożyczyła go sobie z pomnika cara Piotra, który zresztą ma na nim buty sznurowane.

Usiadłem na pustej ławce (było ich w sumie pół tuzina) i spojrzałem na zegarek. Trzy minuty po piątej. Po trawniku skakały wróble. Na groteskowo zakrzywionym kwietniku rosły najobrzydliwsze kwiaty świata – astry. Minęło dziesięć minut. Nie, moje podniecenie nie pozwalało mi siedzieć. W dodatku nie miałem papierosów, a wściekle chciało mi się palić.

Skręciłem w boczną ulicę, mijając czarny zbór protestancki próbujący wywołać atmosferę ogromnej dawności, i wyszedłem sklepik z tytoniem. Automatyczny dzwonek dzwonił nadal po moim wejściu, bo nie domknąłem drzwi: – Pan będzie łaskaw... – powiedziała kobieta w okularach siedząca za kontuarem; cofnąłem się i zatrzasnąłem je. Wisiała nad nimi jedna z martwych natur Ardaliona: fajka na zielonym obrusie i dwie róże.

– Skąd się to u pani...? – spytałem ze śmiechem.

Początkowo nie zrozumiała, a zrozumiawszy odpowiedziała:

– Namalowała to moja siostrzenica, która niedawno umarła.

„A to dopiero! – pomyślałem. – Czyż nie widziałem czegoś bardzo podobnego, jeśli nie identycznego, wśród obrazów Ardaliona? A to dopiero!”

– Ach, tak – powiedziałem na głos. – Czy ma pani... – wymieniałem papierosy, które zwykle palę, zapłaciłem i wyszedłem.

Dwadzieścia po piątej.

Nie mając odwagi wrócić na umówione miejsce (dawałem w ten sposób losowi możliwość zmiany planów) i ciągle nie czując nic – ani irytacji, ani ulgi, dość długo szedłem boczną uliczką, która oddalała mnie od pomnika, co chwila zatrzymywałem się, próbując zapalić papierosa, ale wiatr stale porywał mi ogień; wreszcie schowałem się przed nim w jakiejś bramie, szukaj teraz wiatru w polu, wietrze – co za kalambur! Stałem w bramie i przyglądałem się dwu dziewczynkom grającym w kulki – to jedna, to druga rzucała

tęczowo mieniającą się kulę, pochylała się i popychała ją grzbietem palca, ścisnęła między stopami i podskakując wypuszczała, a wszystko po to, żeby wtoczyła się ona do dołka pod brzozą z rozdwojonym pniem; stojąc i patrząc na tę skupioną, milczącą i drobniawo dokładną zabawę, złapałem się na myśli, że Feliks nie mógł przyjść, bo po prostu zrodziła go moja wyobraźnia, łaknąca odbić, powtórzeń, masek, i że moja obecność w tym zapadłym miasteczku jest czymś absurdalnym, a nawet potwornym.

Wspominam to miasteczko i czuję się dziwnie zakłopotany: czy mam dalej przytaczać przykłady szczegółów, które stanowiły okropnie nieprzyjemne echo rzeczy widzianych przeze mnie na długo przedtem? Teraz wydaje mi się wręcz, że miasteczko to składało się z rozmaitych odpadków mojej przeszłości, gdyż odkrywałem w nim rzeczy nadzwyczajnie i przerażająco dobrze mi znajome: niski bladoniebieski budynek, którego dokładny duplikat widziałem na przedmieściu Petersburga, sklep z używaną odzieżą, gdzie wisiły garnitury należące do moich zmarłych znajomych, latarnię uliczną o numerze (zawsze zwykłem zwracać uwagę na numery latarni) znanym mi z latarni przed moskiewskim domem, w którym mieszkałem, i niemal taką samą nagą brzozę z tym samym rozszczepionym pniem w stalowym gorsecie (ach, to dlatego popatrzyłem na numer latarni). Gdybym chciał, mógłbym podać znacznie więcej tego rodzaju przykładów, niektóre z nich są tak subtelne, tak... jak mam to ująć?... tak abstrakcyjnie osobiste, że byłyby niezrozumiałe dla czytelnika, o którego troszczyć się i staram jak oddana niańka. Poza tym nie jestem całkowicie przekonany o wyjątkowym charakterze tych zjawisk. Każdy człowiek obdarzony bystrym wzrokiem zna owe anonimowe powtórzenia fragmentów jego wcześniejszego życia: rzekomo niewinne kombinacje szczegółów, które obrzydliwie trącą plagiatem. Zostawmy je sumieniu losu i z zamierającym sercem i tępą niechęcią wracajmy do pomnika na końcu alei.

Staruszek skończył jeść swoje winogrona i poszedł sobie, umierającą na puchlinę kobietę odwieziono, nie było w pobliżu nikogo prócz jednego człowieka, który usiadł na tej samej ławce, na której ja przed chwilą siedziałem. Lekko pochylony do przodu, z rozsuniętymi kolanami drobił chleb dla wróbli. Jego laska, którą koło lewego biodra oparł niedbale o oparcie, powoli poruszyła się w chwili gdy ją zauważyłem: zaczęła się zsuwać i spadła na żwir. Wróble zerwały się do lotu, zatoczyły łuk i usiadły na niedalekich krzakach. Zdałem sobie sprawę z faktu, że mężczyzna obrócił się do mnie. Zgadłeś, mój inteligentny czytelniku.

## ROZDZIAŁ V

Wbijając wzrok w ziemię, uściśnałem jego prawicę swoją lewą ręką, jednocześnie podniosłem leżącą na żwirze laskę i siadłem przy nim na ławce.

– Spóźniłeś się – powiedziałem, nie patrząc na niego. Zaśmiał się. Wciąż na niego nie patrząc, rozpiąłem płaszcz, zdjąłem kapelusz i przesunąłem dłonią po włosach. Było mi gorąco. Wiatr zdechł w domu wariatów.

– Poznałem pana od razu – powiedział Feliks przypochlebnym i idiotycznie konspiracyjnym tonem.

Patrzyłem na laskę, którą trzymałem teraz w dłoniach. Była gruba i ogorzała, na lipowym drzewie, z którego ją zrobiono, było w jednym miejscu nacięcie, a na nim widniało starannie wypalone imię i nazwisko właściciela: „Feliks taki a taki”, a poniżej jeszcze data i nazwa jego wioski. Odłożyłem ją z powrotem na ławkę i przemknęło mi przez myśl, że ten drań przyszedł piechotą.

W końcu zebrałem siły i obróciłem się do niego. Nie od razu jednak spojrzałem mu w twarz, zacząłem od jego stóp, przesuwać się ku górze, jak to bywa na ekranie, kiedy operator stara się podrażnić widza. Najpierw pojawiły się duże, zakurzone buty i grube skarpety niestarannie otaczające kostki, potem błyszczące niebieskie spodnie (tamte sztruksowe pewnie już zgniły) i ręka trzymająca kromkę suchego chleba. Dalej niebieska marynarka narzucona na ciemnoszary sweter. Jeszcze wyżej miękki kołnierzyk, który już znałem (teraz jednak był stosunkowo czysty). Tu się zatrzymałem. Czy powinienem zostawić go bez głowy, czy budować dalej? Zakrywszy twarz dłonią, pomiędzy palcami spojrzałem na jego oblicze.



Przez chwilę miałem wrażenie, że wszystko było złudzeniem, halucynacją, że to nie żaden mój sobowtór, ten głupek, unoszący brwi, łypiący na mnie z wyczekiwaniem, nie wiedzący jeszcze za dobrze, jaki wyraz twarzy ma przybrać – i właśnie dlatego unoszący te brwi, na wszelki wypadek. Przez chwilę, jak mówiłem, wydawał mi się równie podobny do mnie, jak ktokolwiek inny. Później jednak wróciły uspokojone wróble, jeden z nich zaczął skakać całkiem niedaleko i to odciągnęło uwagę Feliksa, jego rysy powróciły na swoje miejsce i znów ujrzałem cud, który zafrapował mnie pięć miesięcy wcześniej.

Rzucił wróblom garść okruszków. Najbliższy gwałtownie uderzył dziobem, okruszek odskoczył, złapał go inny wróbel i natychmiast z nim odleciał. Feliks znowu obrócił się do mnie z tym samym wyczekiwaniem i płaszczącą się służalczością.

– Temu nic się nie dostało – powiedziałem, wskazując malca, który stał z boku i bezradnie kłapał dziobem.

– Młodziak – stwierdził Feliks. – Widzi pan, prawie nie ma jeszcze ogona. Lubię ptaszki – dodał, szczerząc zęby w ckliwym uśmiechu,

– Byłeś na wojnie? – spytałem i kilka razy odchrząknąłem, bo zachryplęm.

– Tak – odpowiedział. – Dwa lata. A bo co?

– Nic takiego. Strasznie się człowiek boi, że go zabiją, prawda?

Mrugnął i powiedział wymijająco i tajemniczo: – Każda mysz ma swoją norę, ale nie każda wychodzi nie w porę,

Po niemiecku także się rymowało. Już wcześniej zauważyłem jego zamiłowanie do głupawych powiedzonek, nie miało sensu dociekać, o co mu chodzi.

– To wszystko. Nie ma dla was nic więcej – mimochodem powiedział do wróbli. – Lubię też wiewiórki (znowu mrugnięcie).

Przyjemnie, kiedy w lesie jest dużo wiewiórek. Lubię je, bo są przeciw obszarnikom. I krety też.

– A wróble? – spytałem łagodnie. – Czy one też są, jak to ująłeś „przeciw”?

– Wróbel to ptasi żebrak, prawdziwy żebrak uliczny. Żebrak – powtórzył jeszcze raz, opierając się teraz obiema rękami na lasce i lekko się kołysząc. Było oczywiste, że uważa się za wyjątkowo przebiegłego dyskutanta. Nie, nie był po prostu durniem, był durniem-melancholikiem. Nawet uśmiechał się ponuro, niedobrze się człowiekowi robiło, kiedy na to patrzył. A mimo to chciwie mu się przyglądałem. Ogromnie zajmowało mnie obserwowanie, jak jego miny niszczą niezwykłą bliskość wyglądu naszych twarzy. Gdyby miał dożyć starości – pomyślałem – jego uśmiechy i grymasy stopniowo wytrawiłyby całkowicie nasze podobieństwo, które teraz jest tak doskonałe, kiedy jego oblicze zamiera.

Hermann (figlarnie): – Jak widzę, jesteś filozofem.

To, jak się zdaje, trochę go dotknęło.

– Filozofia to wymysł bogaczy – zaproponował z głębokim przekonaniem. – I cała reszta to też wymysły: religia, poezja... ach, dziewczę, jakże cierpieć muszę, ach, moje biedne serce!... Nie wierzę w miłość. Przyjaźń – to zupełnie inna sprawa. Przyjaźń i muzyka.

– Powiem panu coś – ciągnął, odkładając laskę i zwracając się do mnie z niejakim żarem – chciałbym mieć przyjaciela, który zawsze byłby gotów podzielić się ze mną kromką chleba i który zapisałby mi w testamencie kawełek gruntu, domek. Tak, chciałbym mieć prawdziwego przyjaciela. Pracowałbym dla niego jako ogrodnik, a potem jego ogród przeszedłby na mnie, a ja zawsze wspominałbym mojego zmarłego towarzysza ze łzami wdzięczności w oczach. Gralibyśmy razem na skrzypcach, albo, powiedzmy, on na flecie, a ja na mandolinie. Ale kobiety... no nie, czy mógłby pan wymienić chociaż jedną, która nie zdradza męża?

– Głęboka prawda! Tak, tak, głęboka prawda. Przyjemnie się z tobą rozmawia. Chodziłeś kiedyś do szkoły?

– Krótko. Czego można się nauczyć w szkole? Niczego. Jak gość ma olej w głowie, to na co mu lekcje? Najważniejsza jest natura. Do polityki na przykład mnie nie ciągnie. A tak w ogóle... świat, wie pan, to *brud*.

– Absolutnie logiczny wniosek – powiedziałem. – Tak, twoja logika jest nienaganna. To zdumiewające. No, mądralo, oddaj mi teraz mój ołówek, ale migiem.

Aż przysiadł. Wprowadziłem go w ten sposób w nastrój, o który mi chodziło.

– Zapomniał go pan w trawie – wymamrotał, zbity z tropu. – Nie wiedziałem, czy jeszcze kiedyś pana zobaczę.

– Ukradłeś go i sprzedałeś – wrzasnąłem, tupnąłem nawet nogą.

Jego reakcja była niezwykła: najpierw pokręcił głową, zaprzeczając kradzieży, a zaraz potem kiwnął głową, potwierdzając transakcję. Zebrał się w nim, jak sędzę, pełny bukiet ludzkiej głupoty.

– No, niech cię diabli – powiedziałem – następnym razem bądź ostrożniejszy. Już dobrze... Bierz papierosa.

Odetchnął z ulgą i rozpromienił się, widząc, że mój gniew minął. Zaczął dziękować:

– Dzięki, wielkie dzięki. Rzeczywiście, ale jesteśmy do siebie podobni, niesamowicie! Można by pomyśleć, że mój ojciec zgrzeszył z pana mamą. – I roześmiał się przymilnie, bardzo zadowolony ze swojego żartu.

– Do rzeczy – powiedziałem, udając nagły przyływ powagi. – Zaprosiłem cię tutaj nie tylko dla zwiewnych rozkoszy pogawędki. Wspomniałem w liście o pomocy, której chcę ci udzielić, o pracy,

którą dla ciebie znalazłem. Przede wszystkim jednak pozwól, że zadam ci pytanie. Twoja odpowiedź musi być szczerą i dokładną. Powiedz mi, kim twoim zdaniem jestem.

Feliks zmierzył mnie wzrokiem, potem odwrócił głowę i wzruszył ramionami.

– Nie zadaję ci żadnych zagadek – ciągnąłem cierpliwie. – Doskonale rozumiem, że nie możesz wiedzieć, z kim właściwie masz do czynienia. W każdym razie dajmy spokój możliwości, o której dowcipnie wspomniałeś. Nie płynie w nas ta sama krew, Feliksie. Nie, mój drogi, nie płynie. Urodziłem się ponad tysiąc kilometrów od twojej kołyski, a honor moich rodziców – podobnie jak, mam nadzieję, twoich – jest niesplamiony. Jesteś jedynakiem, ja także. Ani więc u mnie, ani u ciebie nie może się pojawić owa tajemnicza istota, utracony przed laty brat, którego ukradli kiedyś Cyganie. Nie łączą nas żadne więzy, nie mam wobec ciebie zobowiązań, zakarbuy to sobie, żadnych zobowiązań. Jeśli chcę ci pomóc, to jest to jedynie świadectwo mojej dobrej woli. Nie zapominaj o tym, z łaski swojej. A teraz pozwól, że zapytam cię jeszcze raz: kim według ciebie jestem? Jaką wytworzyłeś sobie o mnie opinię? Bo musiałeś sobie wytworzyć jakąś opinię, prawda?

– Może jest pan aktorem – powiedział Feliks niepewnie.

– Jeśli dobrze cię rozumiem, mój przyjacielu, pomyślałeś sobie przy naszym pierwszym spotkaniu jakoś tak: „Aha, to pewnie jeden z tych cudaków z teatru, dobrze ubranych gości z fantazją i zabawnymi gębami, może nawet sławny”. Mam rację?

Feliks gapił się na czubek swojego buta, którym prasował żwir, na jego twarzy pojawiło się napięcie.

– Niczego sobie nie pomyślałem – powiedział z irytacją – Widziałem po prostu... no, że pan się mną jakby interesuje i tak dalej. A dużo wam, aktorom, płacą?

Małeńki przypisik: pomysł, który mi podsunął, wydał mi się zabawny, zatoczył szczególny łuk i połączył się z moim zasadniczym planem.

– Zgadłeś – zawołałem – zgadłeś. Tak jest, jestem aktorem.

Ściślej mówiąc aktorem filmowym. Tak, masz słuszość. Brawo, trafiłeś w dziesiątkę! Co jeszcze możesz o mnie powiedzieć?

W tym momencie zauważyłem, że humor mu się popsuł. Jak się zdawało, mój zawód go rozczarował. Siedział z markotną miną, trzymając na wpół wypalony papieros pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Nagle uniósł głowę, zamrugał oczami.

– A jaką właściwie pracę chce mi pan zaproponować? – spytał bez wcześniejszej przymilnej słodczy.

– Powoli, powoli. Wszystko we właściwym czasie. Pytałem, co jeszcze pomyślałeś sobie o mnie. Odpowiedz z łaski swojej.

– No, zaraz... wiem, że lubi pan podróżować, to chyba wszystko.

Tymczasem zbliżała się noc, wróble dawno zniknęły, jeździec pociemniał i zdawał się jakiś większy. Zza czarnego drzewa bezgłośnie wyłonił się ponury, tłusty księżyc. Przepływająca chmura nałożyła mu maskę, widać było teraz tylko jego pełny podbródek.

– No coż, Feliksie, robi się tu ciemno i nieprzyjemnie. Założę się, że jesteś głodny. Chodź, przekąsimy coś i pogadamy sobie dalej nad kufelkiem piwa. Dobrze?

– Jasne – powiedział Feliks, trochę bardziej ożywiony, i dodał sentencjonalnie: – Słowami nikt się nie naje (przekładam tu byle jak jego powiedzonko, po niemiecku mu się to rymowało).

Podnieśliśmy się z ławki i ruszyliśmy ku żółtym światłom alei. W mroku nocy prawie nie odczuwałem naszego podobieństwa. Wlókł się obok mnie, niby to pogrążony w myślach, jego chód był równie tępy, jak on sam.

Spytałem:

– Byłeś już kiedyś w Tarnitz?

– Nie – odpowiedział. – Nie lubię miast. Takich, jak ja, miasto męczy.

Szydł karczmy. W oknie beczułka, strzeżona z obu stron przez dwu brodatych krasnoludków z terakoty. Ani lepsza, ani gorsza od innych. Weszliśmy i siedliśmy przy stoliku w rogu. Zdejmując rękawiczkę, badawczym wzrokiem obrzuciłem otoczenie. Było tylko trzech gości, którzy nie zwracali na nas najmniejszej uwagi. Podszedł kelner, niski, blady człowieczek w pince-nez (nie pierwszy raz widziałem kelnera w pince-nez, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie już takiego spotkałem). Czekał na zamówienie, patrzył to na mnie, to na Feliksa. Dzięki moim wąsom nasze podobieństwo oczywiście nie rzuciło się w oczy, w istocie zapuściłem wąsy właśnie po to, by będąc z Feliksem nie wzbudzać nadmiernego zaciekawienia. Zdaje się, że gdzieś u Pascala jest mądra myśl, że dwie podobne do siebie osoby nie są szczególnie interesujące pojedynczo, ale budzą poruszenie, kiedy pojawiają się razem. Nigdy nie czytałem Pascala i nie pamiętam, skąd wytrzasnąłem ten cytat. W młodości chętnie uciekałem się do tego rodzaju sztuczek! Niestety, nie tylko ja popisywałem się zwędzonymi gdzieś maksymami. Kiedyś w Petersburgu na przyjęciu stwierdziłem: „Są uczucia, jak mówi Turgieniew, które wyrazić może jedynie muzyka”. Kilka minut później zjawił się jeszcze jeden gość, który podczas rozmowy wypowiedział to samo zdanie, zaczerpnięte z programu koncertu, na którym widziałem go, jak zmierza za kulisy. Ma się rozumieć, to on zrobił z siebie durnia, nie ja, mimo to jednak poczułem się niezręcznie (trochę poprawiłem sobie humor, chytrze go pytając, jak mu się podobała wielka Wiabranowa) i postanowiłem skończyć z udawaniem intelektualisty. To wszystko to dygresja, a nie ucieczka – zdecydowanie nie ucieczka, albowiem nie boję się niczego i powiem wszystko. Trzeba przyznać, że wspaniale panuję

nie tylko nad sobą, lecz także nad swoim stylem pisarskim. Ileż to powieści napisałem w młodości – ot, tak sobie, mimochodem, bez najmniejszego zamiaru ich opublikowania. Oto jeszcze jedna sentencja: opublikowany rękopis – powiada Swift – można porównać do kurwy. Kiedyś (jeszcze w Rosji) dałem Lidii do przeczytania swój manuskrypt, mówiąc, że to utwór jednego ze znajomych. Uznała, że jest nudny i nie dokończyła lektury. Do dziś dnia praktycznie nie zna mojego charakteru pisma. Mam dokładnie dwadzieścia pięć jego rodzajów, najlepsze z nich (tzn. te, które stosuję najchętniej) to: drobne zaokrąglone, z przyjemną pulchnością zakrzywień, dzięki której każde słowo wygląda jak świeżo upieczone ciastko o fantazyjnych kształtach, dalej szybka kursywa, ostra i nieładna, gorączkowe gryzmoły garbusa, pełne uproszczeń i skrótów, następnie pismo samobójcy, w którym każda litera jest stryczkiem, a każdy przecinek cynglem, wreszcie typ, który cenię szczególnie wysoko – litery są tu duże, czytelne, solidne i absolutnie bezosobowe, mogłaby się nim posługiwać abstrakcyjna ręka w swym nadludzkim mankiecie, taka, jaką widuje się na drogowskazach i w podręcznikach fizyki. Tym charakterem pisma zacząłem pisać książkę, którą pozwalałem sobie zaproponować czytelnikowi, wkrótce jednak moje pióro dostało amoku: niniejsze dzieło pisane jest wszystkimi moimi dwudziestu pięcioma charakterami pisma, pomieszanymi ze sobą, toteż składacz czy jakaś nieznana mi maszynistka, czy wreszcie konkretny wybrany przeze mnie człowiek, pisarz rosyjski, któremu w odpowiednim czasie przekazany zostanie mój manuskrypt, może pomyśleć, że w pisaniu książki brało udział wiele osób; jest też rzeczą zupełnie możliwą, że jakiś chytry ekspercik o szczurzej twarzy odkryje w tej kakograficznej orgii niezawodny symptom odstępstwa od normy psychicznej. Tym lepiej.

A więc... wspomniałem o tobie, mój pierwszy czytelniku, o tobie, słynnym autorze powieści psychologicznych. Czytałem je i uznałem za bardzo sztuczne, jakkolwiek nieźle skonstruowane. Co też będziesz czuł, czytelniku-pisarzu, kiedy weźmiesz się do lektury

mojej historii? Zachwyty? Zazdrość? A może... kto wie... skorzystasz z mojej bezterminowej nieobecności i przedstawiś mój tekst jako swój, jako owoc swojej pomysłowej... owszem, muszę ci to przyznać... pomysłowej i doświadczonej fantazji, a ja zostanę na lodzie? Nie byłoby mi trudno z góry powziąć odpowiednich kroków i wystąpić przeciwko takiemu zuchwalstwu. Czy istotnie je powezmę, to już inna sprawa. A jeśli pochlebiłoby mi, gdybyś przywłaszczył sobie moją własność? Kradzież to największy hołd, jaki złożyć można danej rzeczy. A wiesz, co jest najzabawniejsze? To, że zdecydowawszy się na ten miły dla mnie rabunek, usuniesz kompromitujący fragment, to znaczy ten właśnie fragment, który teraz piszę, a być może dostosujesz także parę innych urywków do swoich gustów (a to już mniej przyjemna perspektywa), tak jak złodziej aut przemalowuje ukradziony samochód. W związku z tym pozwolę sobie opowiedzieć pewną historyjkę, niewątpliwie najzabawniejszą, jaką w ogóle znam.

Przed jakimiś dziesięcioma dniami, około 10 marca 1931 roku (ni stąd, ni zowąd minęło pół roku – nagle zapadnięcie się we śnie, oczko na pończosze czasu) jakiś człowiek (czy grupa ludzi) przechodzący przez szosę lub może idący przez las (to, jak sądzę, jeszcze się wyjaśni) zauważył na jego skraju i bezprawnie sobie przywłaszczył nieduży niebieski samochód takiej a takiej marki o takiej a takiej mocy silnika (pomijam szczegóły techniczne). Prawdę powiedziawszy, to już wszystko.

Nie twierdzę, że ta anegdota rozbawi każdego: jej sedno nie jest oczywiste. Ja ryczałem ze śmiechu – ponieważ znam tło tej historii. Dodam, że od nikogo jej nie usłyszałem ani nigdzie nie przeczytałem; opierając się na logicznym rozumowaniu wydedukowałem ją wyłącznie z faktu zniknięcia samochodu, faktu absolutnie fałszywie interpretowanego w gazetach. Wracajmy, czasie!

– Umiesz prowadzić? – to, pamiętam, było pytanie, jakie nagle zadałem Feliksowi, kiedy kelner, nie zauważywszy w nas niczego



szczególnego, postawił przede mną szklanę lemoniady, a przed Feliksem kufliśko piwa, w którego obfitą pianę mój zamazany sobowtór chciwie zanurzył górną wargę.

– Co? – spytał z błogim chrząknięciem.

– Pytałem, czy umiesz prowadzić samochód.

– A jakże! Miałem kumpla szofera, który pracował w zamku koło mojej wsi. Pewnego pięknego dnia wpadliśmy na maciore. Boże, jak ona kwiczała!

Kelner przyniósł nam ogromne porcje gulaszu z pływającym w sosie puree ziemniaczanym. Gdzie u diabła widziałem już pince-nez na nosie kelnera? Ach, przypominam sobie (dopiero teraz, kiedy piszę te słowa!): w parszywej rosyjskiej restauracyjce w Berlinie; i tamten kelner bardzo przypominał tego – ten sam typ ponurego, płowowłosego człowieczka, tyle że był lepiej urodzony.

– No dobrze, Feliksie. Podjedliśmy sobie, popili, teraz porozmawiajmy. Miałeś co do mnie pewne przypuszczenia, które okazały się słuszne. Zanim bliżej zajmiemy się naszymi sprawami, chciałbym nakreślić ci w ogólnych zarysach swoją sylwetkę i swoje życie, wkrótce zrozumiesz, dlaczego jest to niezbędne. Tak więc...

Wypiłem łyk lemoniady i kontynuowałem:

– Tak więc urodziłem się w bogatej rodzinie. Mieliśmy dom i ogród – ach, Feliksie, co za ogród! Wyobraź sobie nie tylko krzewy róż, ale różową gęstwinię, wszelkie rodzaje róż, a każda odmiana oznaczona była tabliczką: wiesz, różom nadaje się równie dźwięczne imiona, jak koniom wyścigowym. Oprócz róż rosło w naszym ogrodzie mnóstwo innych kwiatów i kiedy rano cały teren błyszczał od rosy, widok, Feliksie, był jak ze snu. Jako dziecko lubiłem zajmować się naszym ogrodem i dobrze się na tym znałem: miałem małą konewkę, Feliksie, i małą motykę, rodzice często siedzieli w cieniu starej wiśni, zasadzonej przez mojego dziadka, i z rozrzewnieniem patrzyli na mnie, małego pracusia (wyobraź sobie,

wyobraź sobie ten widok), zajętego zdejmowaniem z róż i rozgniataaniem gąsienic, które wyglądały jak ciernie. Mieliśmy na podwórku dużo zwierząt, na przykład króliki, najbardziej owalne stworzenia ze wszystkich, jakie istnieją, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, i choleryczne indyki z karbunkułowatymi koralami (wydałem z siebie gulgot) i urocze kózki i wiele, wiele innych.

Potem rodzice stracili majątek i umarli, cudowny ogród zniknął. Dopiero teraz szczęście, jak się zdaje, powraca: udało mi się ostatnio kupić kawałek ziemi na brzegu jeziora, tam powstanie nowy ogród, jeszcze wspanialszy niż tamten. Moja bujna młodość cała przeniknęła zapachem wszystkich tych kwiatów i owoców, a okoliczny las, potężny i gęsty, rzucał na moją duszę cień romantycznej melancholii.

Zawsze byłem samotny, Feliksie, i nadal jestem. Kobiety... Nie ma co mówić o tych wietrznych i lubieżnych istotach. Sporo podróżowałem; tak jak i ty lubię włóczyć się z plecakiem na ramionach, chociaż oczywiście z pewnych powodów (które zdecydowanie potępiam) moje podróże były przyjemniejsze od twoich. To naprawdę ciekawe – czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałeś? – dwu mężczyzn, jednakowo biednych, żyje zgoła niejednakowo; jeden, powiedzmy, tak jak ty, otwarcie i beznadziejnie wie o egzystencję nędzarza, a drugi, równie ubogi, ma zupełnie inne życie: beztroski, syty, obraca się pośród wesołych bogaczy...

Czemu tak jest? Ponieważ, Feliksie, należą oni do różnych klas, a skoro mówimy o klasach, wyobraźmy sobie człowieka, który bez biletu jedzie czwartą klasą, i innego, który również nie mając biletu, jedzie pierwszą: X siedzi na twardej ławce, szanowny pan Y rozwała się w wyściełanym siedzeniu, obaj jednak mają puste portfele – czy też, by lepiej rzecz całą ująć, pan Y ma do pokazania portfel, wprawdzie pusty, ale zawsze, a X nie ma nawet tego i nie może pokazać niczego prócz dziur w podszewce swojej kieszeni.

Mówiąc to staram się uzmysłwić ci różnicę między nami: jestem aktorem, żyjącym na ogół powietrzem, ale zawsze mam elastyczne nadzieje na przyszłość, takie nadzieje mogą być rozciągnięte do ostatnich granic i nie pęknąć. Ty nawet tego jesteś pozbawiony i na zawsze pozostałbyś żebrakiem, gdyby nie wydarzył się cud; ten cud to nasze spotkanie.

Nie ma, Feliksie, takiej rzeczy, której nie dałoby się wykorzystać. Ba, nie ma takiej rzeczy, której nie można by wykorzystywać przez długi czas i to z wielkim pożytkiem. Być może w najbardziej zuchwałych snach widziałeś dwucyfrową liczbę – granicę swoich aspiracji. Teraz jednak sen nie tylko staje się rzeczywistością, ale od razu przybywa trzecia cyfra. Niełatwo ci to ogarnąć wyobraźnią, prawda, bo czyż nie czuleś, że zbliżasz się do trudno wyobrażalnej nieskończoności, licząc do dziesięciu? A teraz oto skręcamy za róg tej nieskończoności, a za nim lśni setka, a zza jej ramienia – następna, i kto wie, Feliksie, być może gdzieś dojrzewa już czwarta cyfra. Tak, kręci się od tego w głowie, a serce wali młotem, a we wszystkich nerwach czujesz świerzbienie, a jednak to prawda. Bo widzisz, tak bardzo przyzwyczyłeś się do swego losu nędzarza, że wątpię, żebyś rozumiał, o co mi chodzi. To, co mówię, wydaje ci się ciemne i dziwne, a to, co powiem teraz, wyda ci się jeszcze ciemniejsze i dziwniejsze.

Dość długo mówiłem w tym duchu. Patrzył na mnie nieufnie, chyba zaczynał niejasno zdawać sobie sprawę z tego, że sobie z niego drwie. Tacy jak on pozostają dobroduszni tylko do pewnego momentu. Kiedy im zaświta, że próbuje się ich oszukać, cała ich dobroć wyparowuje, w oczach pojawia się im szklisty blask, zaczyna ich opanowywać potężna wściekłość.

Mówiłem niejasno, ale moim celem nie było rozzłoszczenie Feliksa. Wprost przeciwnie – chciałem się mu przypochlebić, wprawić go w zakłopotanie, ale jednocześnie zaciekawić, jednym słowem, przedstawić mu mętłą, ale nieodpartą wizję człowieka o

naturze i inklinacjach podobnych do jego własnych. Dałem się jednak ponieść fantazji, która pędziła niezbyt elegancko, z ciężką swawolą starszej, ale nadal słodziutko uśmiechniętej damy, która wypila odrobinę za dużo.

Zauważywszy, jakie wywarłem wrażenie, na chwilę zamilkłem, niemal pożałowałem, że go przestraszyłem, ale zaraz potem poczułem nagłe zadowolenie, jakie sprawia umiejętność wprowadzenia słuchacza w tak przykry stan ducha. Uśmiechnąłem się więc i przemówiłem znowu:

– Wybacz mi, Feliksie, całą tę paplaninę, widzisz, rzecz w tym, że rzadko mam okazję wziąć swoją duszę na wycieczkę. Poza tym bardzo mi spieszno pokazać siebie ze wszystkich stron, bo chciałbym ci dać wyczerpujący opis człowieka, z którym będziesz musiał pracować, tym bardziej, że praca owa będzie się ściśle wiązać z naszym podobieństwem. Powiedz mi, czy wiesz, co to takiego dubler?

Pokręcił głową, dolna warga mu obwisła, już dawno zauważyłem, że woli oddychać przez usta – widać nos miał zapchany, w każdym razie coś mu przeszkadzało.

– Skoro nie wiesz, pozwól, że ci wyjaśnię. Wyobraź sobie, że dyrektor wytwórni filmowej... byłeś kiedyś w kinie, co?

– No, byłem...

– Świetnie. Więc wyobraź sobie, że dyrektor albo reżyser... O przepraszam, mój drogi, zdaje się, że chcesz coś powiedzieć.

– Chodzi o to, że nie bywałem w kinie często. Jak chcę wydać forszę, to wydaję ją na coś lepszego niż filmy.

– Zgadza się, są jednak ludzie, którzy myślą inaczej – gdyby ich nie było, nie istniałby mój zawód, prawda? Tak więc, jak mówiłem, reżyser zaproponował mi za niewielkie wynagrodzenie – coś koło tysiąca dolarów, to oczywiście śmieszna suma, byle co, ale

honoraria ostatnio są mniejsze – bym zagrał w filmie, którego bohater jest muzykiem. To mi bardzo odpowiada, bo w prawdziwym życiu kocham muzykę i gram na kilku instrumentach. Letnimi wieczorami biorę czasem swoje skrzypce do najbliższego gaju... ale wracając do rzeczy... dubler, Feliksie, to ktoś, kto w razie konieczności może zastąpić danego aktora.

Aktor odgrywa swoją rolę, kamera go filmuje. Pozostaje do nakręcenia jakaś nic nie znacząca scenka, na przykład bohater ma przejechać którąś samochodem, ale nie może, bo właśnie przeziębził się nie na żarty i leży w łóżku. Nie ma czasu do stracenia – i tu przychodzi kolej na dublera, który spokojnie wali przed kamerą samochodem bohatera (doskonale, że radzisz sobie z samochodami), a kiedy film jest już wyświetlany, ani jeden widz nie orientuje się w podmiance. Im większe podobieństwo, tym więcej za nie płacą. Istnieją nawet specjalne agencje, które zajmują się wyłącznie dostarczaniem dublerów gwiazdom filmowym. Życie dublera warte jest pozazdroszczenia, bo facet pobiera ustaloną pensję, a pracuje tylko od czasu do czasu, a poza tym, co to za praca – trzeba jedynie włożyć ubranie, które nosi bohater, i w jego zastępstwie przemknąć przed kamerą eleganckim wozem, nic więcej! Ma się rozumieć, dubler nie powinien na lewo i prawo paplać o swojej pracy, zrobiłby się straszny raban, gdyby jakiś dziennikarz zwietrzył podstęp i gdyby publiczność dowiedziała się, że kawałek roli jej ulubieńca to fałszerstwo. Teraz rozumiesz, dlaczego byłem taki zachwycony i podniecony, kiedy stwierdziłem, że jesteś moją dokładną kopią. To zawsze było jedno z moich największych marzeń. Pomyśl tylko, ile to dla mnie znaczy – zwłaszcza teraz, kiedy zaczęto zdjęcia, a ja, człowiek delikatnego zdrowia, mam grać główną rolę. Jeśli cokolwiek mi się przydarzy, natychmiast do ciebie dzwonią, przyjeżdżasz...

– Nikt do mnie nie dzwoni i nigdzie nie przyjeżdżam – przerwał mi Feliks.

– Czemu mówisz takie rzeczy, stary? – spytałem z odcieniem lekkiego wyrzutu w głosie.

– Ponieważ – powiedział Feliks – to nieładnie z pańskiej strony nabijać się z biedaka. Z początku panu wierzyłem. Myślałem, że chce mi pan zaproponować jakąś uczciwą robotę. Musiałem przejść kawał drogi, żeby się tu znaleźć. Niech pan spojrzy, jak wyglądają moje podeszwy... a teraz zamiast roboty... nie, to mi nie odpowiada.

– Obawiam się, że zaszło jakieś drobne nieporozumienie – powiedziałem łagodnie. – To, co ci proponuję, nie jest ani poniżające, ani przesadnie skomplikowane. Podpiszemy umowę... Będziesz dostawał ode mnie sto marek miesięcznie. Pozwól, że powtórzę: praca jest śmiesznie łatwa, to wręcz dziecinna zabawa – dzieci nieraz przebierają się i udają żołnierzy, duchy, lotników. Pomyśl tylko, będziesz dostawał co miesiąc pensję wysokości stu marek wyłącznie za wkładanie – bardzo rzadko, może raz na rok – dokładnie takiego samego ubrania jak to, które teraz mam na sobie. Wiesz co, ustalmy datę spotkania i wtedy spróbujemy odegrać jakąś krótką scenkę, żeby zobaczyć, co nam z tego wyjdzie...

– Nie znam się na takich sprawach i znać się nie chcę – zaproponował Feliks dosyć szorstko. – Ale, jak pan chce wiedzieć, moja ciotka miała syna, który robił z siebie pajaca na jarmarkach, pijak i dziwkarz, ciotka miała przez niego złamane serce do dnia, kiedy, dzięki Bogu, rozwalił sobie łeb na amen, bo nie zdołał się chwycić trapezu ani rąk żony. Wszystkie te kinematografy i cyrki...

Czy naprawdę tak to wyglądało? Czy wiernie podążam za swoją pamięcią, czy może moje pióro zmyliło krok i swawolnie sobie płąsa? Jest coś nazbyt literackiego w tej naszej rozmowie, coś zalatującego dialogami-torturami w owych teatralnych knajpach, w których tak dobrze czuje się Dostojewski; jeszcze trochę i usłyszymy świszczący szept pseudopokory, urywany oddech, powtórzenia magicznych przysłówków, a potem pojawi się cała reszta: mistyczne ozdóbki, które tak uwielbiają czytelnicy rosyjskich dreszczowców.

Na swój sposób mnie to dręczy, a właściwie nie tyle dręczy, co zupełnie, zupełnie nie pozwala mi rozumować; gubi mnie wręcz – śmiem twierdzić – myśl, że nazbyt byłem zadufany w sobie, nazbyt wierzyłem w możliwości swego pióra – poznajecie modulacje tej frazy? Poznajecie. Co do mnie, jestem przekonany, że doskonale pamiętam tę rozmowę, ze wszystkimi niuansami, jej *wsiu podnogotnuju*, „całą podpaznokciowość”, wszystkie tajemnice spod paznokcia (by użyć języka sali tortur, gdzie wyrываło się paznokcie, i zarazem ulubionego terminu – podkreślanego kursywą – naszego narodowego eksperta od duchowej gorączki i aberracji godności ludzkiej). Tak, pamiętam tę rozmowę, ale nie jestem w stanie zapisać jej ściśle i dokładnie, coś mi przeszkadza, coś rozpalonego i wstrętnego, bezgranicznie nieznośnego, czego nie mogę się pozbyć, jest bowiem kleiste jak lep na muchy, na który nadziewasz się w pokoju, nagi, idąc po omacku w nieprzeniknionych ciemnościach. W dodatku nie możesz znaleźć kontaktu.

Nie, nasza rozmowa nie była taka, jak ją tu przytoczyłem, to znaczy same słowa być może były identyczne (znowu dech zaparło), ale nie zdołałem lub nie odważyłem się oddać szczególnych towarzyszących im dźwięków – dawały się słyszeć jakieś osobliwe zamierania i zgruzłowacenia wymowy, a potem znowu to mamrotanie, te szepty i nagle drewniany głos, który oznajmia wyraźnie:

– No, Feliks, jeszcze po jednym.

Brazowe kwiaty na tapetach, napis z rozdrażnieniem wyjaśniający, że zakład nie odpowiada za rzeczy zaginione, tekturowe podstawki pod kufle (z pośpiesznie nagryzmołonym ołówkiem rachunkiem na jednej z nich) i oddalony szynkwias, przy którym w oparach dymu, zwinąwszy nogi w czarny precel, pił jakiś mężczyzna – wszystko to stanowiło komentarz do naszej rozmowy, równie jednak bezsensowny, jak komentarze na marginesach szmirowatych książek Lidii.

Gdyby ci trzej siedzący daleko od nas, pod krwawoczerwoną zasłoną okienną, gdyby spojrzeli na nas ci trzej cisi i posepni hulacy, co by zobaczyli – brata, któremu sprzyja szczęście, i brata pechowca, brata z niewielkim wąsikiem i przylizanymi włosami i brata gładko wygolonego, ale z dawno nie strzyżoną czupryną (ta widmowa grzywa na jego chudym karku), patrzących na siebie, siedzących w takiej samej pozie – z łokciami na blacie i wspartymi na pięściach policzkami. Takich odbijało nas zamglone i – wszystko zdawało się na to wskazywać – nie całkiem zdrowe na umyśle lustro, dziwacznie, obłąkańczo zakrzywione, lustro, które z pewnością natychmiast by pękło, gdyby odbiło się w nim przypadkiem chociaż jedno prawdziwie ludzkie oblicze.

Tak siedzieliśmy, jednostajne brzęczenie mojego głosu nadal usiłowało przekonać Feliksa. Nie jestem dobrym mówcą, perora, którą usiłowałam zanotować tu słowo, nie płynęła tak gładko, jak teraz na papierze. W istocie jest rzeczą niemożliwą zapisanie mojej chaotycznej mowy, ciężkich podskoków i podrygów słów, zagubienia zdań pobocznych, które utraciwszy swoich panów błądziły gdzieś po manowcach, i całego zbędnego mamrotania, podpierającego słowa lub otwierającego przed nimi wąskie przejścia w murze. Mój umysł pracował jednak tak rytmicznie i, tropiąc zwierzyńę, posuwał się tak równym krokiem, że wrażenie, jakie zostawił mi ciąg moich słów, jest jak najdalsze od poczucia pogmatwania i bałaganu. Cel mój wciąż mi się jednak wymykał. Opór faceta, typowy dla ludzi ograniczonych i bojaźliwych, trzeba było w jakiś sposób przełamać. Urzeczony wytworną naturalnością tematu, nie pomyślałem o tym, że może on być dla niego nieprzyjemny, a nawet go przerazić z tą samą oczywistością, z jaką przyciągnął moją wyobraźnię.

Nie chcę przez to powiedzieć, że miałem w życiu jakiegokolwiek związku z ekranem czy sceną. W istocie występowałem jedynie dwadzieścia lat temu w amatorskim spektakliku przygotowanym w letniej siedzibie naszego ziemianina (majątkiem tym zarządzał mój



ojciec). Mój tekst składał się zaledwie z kilku słów: „Książę kazał mi oznajmić, że będzie tu za chwilę. Otóż i on!” Zamiast nich, przepełniony subtelną rozkoszą, drżąc na całym ciele z radości, powiedziałem: „Książę nie może przybyć; zarznął się właśnie brzytwą”, a gdy to mówiłem, jegomość grający księcia już wchodził, z promiennym uśmiechem na wspaniale uszmkowanej twarzy. Wszystko uległo zawieszeniu, cały świat na chwilę znieruchomiał – do dziś dnia pamiętam, jak głęboko oddychałem boskim ozonem potwornych burz i katastrof. Chociaż jednak nigdy nie byłem aktorem w ścisłym tego słowa znaczeniu, w prawdziwym życiu zawsze nosiłem ze sobą maleńki składany teatrzyk i występowałem w niejedynej roli, a moje aktorstwo zawsze było znakomite; a jeśli myślicie, że mój sufler nazywał się Zysk, to potężnie się mylicie. To wszystko nie jest takie proste, drodzy panowie.

W tym przypadku wszelako mój występ okazał się stratą czasu, bo nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli będę ciągnął cały ten monolog o filmie, Feliks wstanie i wyjdzie, zwracając dziesięć marek, które mu posłałem (nie, pomyślawszy chwilę dochodzę do wniosku, że by ich nie oddał – nie, nigdy!). Ciężkie niemieckie słowo oznaczające „pieniądze” (po niemiecku pieniądze to złoto, po francusku – srebro, po rosyjsku – miedź) wypowiadał z wyjątkowym szacunkiem, który, co osobliwe, zmieniał się w brutalną żądzę. Z pewnością jednak poszedł by sobie i to w dodatku z obrażoną miną mówiącą „w żadnym razie”!

Bogiem a prawdą nie bardzo rozumiem, dlaczego wszystko, co wiązało się z teatrem lub kinem, wydawało mu się takie wyjątkowo odpychające; dziwne, obce – tak, ale... odpychające? Spróbujmy wyjaśnić to zacofaniem niemieckiego plebejusza. Niemiecki wieśniak jest staromodny i pruderyjny; spróbujcie tylko przejść któregoś dnia przez wieś jedynie w spodenkach kąpielowych. Ja próbowałem, toteż wiem, co się wtedy dzieje: mężczyźni stają jak wryci, kobiety chichoczą, zakrywając twarze, zupełnie jak pokojówki w staroświeckich komediach.

Umilkłem. Feliks także milczał i rysował palcem po stole. Spodziewał się chyba, że zaproponuję mu pracę ogrodnika albo szofera, i był teraz rozczarowany i nadsany. Zawołałem kelnera i zapłaciłem. Znowu szliśmy ulicami. Noc była przejmująco ponura. Lśniący płaski księżyc to wyslizgiwał się zza małych chmur, wełnistych jak karakulę, to znów za nie chował.

– Słuchaj, Feliks. Nasza rozmowa nie jest skończona. Nie możemy tego tak zostawić. Zarezerwowałem pokój w hotelu, chodź, przenocujesz u mnie.

Przyjął to jak coś, co mu się w oczywisty sposób należało. Mimo swojej tępoty rozumiał, że go potrzebuję i że byłoby rzeczą nierozsądną zerwać nasze stosunki, nie doszedłszy do ostatecznych konkluzji. Jeszcze raz przeszliśmy koło kopii jeźdźca miedzianego. Na szerokiej alei nie spotkaliśmy żywej duszy. W domach wszędzie było ciemno, gdybym zobaczył gdzieś oświetlone okno, musiałbym pomyśleć, że ktoś się tam powiesił, zostawiając zapaloną lampę – tak zbyteczne i nieusprawiedliwione wydawało się światło. Doszliśmy do hotelu w milczeniu. Wpuścił nas lunatyk bez kołnierzyka. Wchodząc do pokoju, znów miałem wrażenie powtarzania się czegoś, co dobrze znam, ale inne sprawy przyciągnęły moją uwagę.

– Siadaj.

Uczył to z pięściami opuszczonymi na kolana i na wpół otwartymi ustami. Zdjąłem płaszcz, włożyłem ręce do kieszeni spodni i, pobrzękując drobnymi monetami, które tam znalazłem, zacząłem chodzić tam i z powrotem. Miałem, nawiasem mówiąc, liliowy krawat w czarne kropki, który lekko unosił się, kiedy odwracałem się na obcasie. Trwało to przez pewien czas: milczenie, moje kroki, wywołany ruchem wietrzyk.

Ni stąd, ni zowąd Feliks, jakby śmiertelnie trafiony kulą, opuścił głowę i zaczął rozwiązywać sznurowadła. Patrzyłem na jego bezbronny kark, na melancholijny wyraz kręgów szyjnych i poczułem się jakoś dziwnie, pomyślawszy, że oto będę spał w

jednym pokoju ze swoim sobowtórem, niemal pod jednym kocem, jako że bliźniacze łóżka stały tuż przy sobie. Nagle przeszła mnie straszliwa obawa, że jego ciało może być splamione szkarłatnymi wypryskami choroby skórnej albo jakimś ordynarnym tatuażem. Żądałem od jego ciała minimum podobieństwa do mojego; co się tyczy jego twarzy, nie było z tym problemów.

– Właśnie, rozbierz się – powiedziałem, nadal maszerując i co chwila zmieniając kierunek.

Podniósł głowę, w ręku trzymał but nieokreślonego fasonu.

– Dawno nie spałem w łóżku – powiedział z uśmiechem (nie pokazuj dziąseł, durniu). – W prawdziwym łóżku.

– Dalej, zdejmij z siebie wszystko – powiedziałem z niecierpliwością. – Na pewno jesteś brudny, pokryty kurzem. Dam ci koszulę, będziesz w niej spać. Ale najpierw się umyj.

Uśmiechając się i chrząkając, troszkę chyba skrępowany moją obecnością, rozebrał się do naga i zaczął się myć pod pachami, nachylony nad miską podobnej do kredensu umywalki. Przelotnymi spojrzeniami chciwie oglądałem zupełnie nagiego człowieka. Plecy miał mniej więcej tak samo umięśnione jak moje, kość ogonową – bardziej różową, pośladki – brzydsze. Kiedy się odwrócił, nie mogłem nie skrzywić się na widok jego wielkiego wypukłego pępka – ale mój to też nie żadne чудо. Wątpię, czy choć raz w życiu mył intymne części swego ciała; na pierwszy rzut oka wyglądały całkiem przyzwoicie, ale nie zachęcały do dokładniejszej kontroli. Paznokcie u jego nóg były o wiele mniej odrażające niż oczekiwałem. Był chudy i biały, znacznie bielszy od swojej twarzy, toteż miało się wrażenie, że do jego tułowia przyczepiono moją twarz, która wciąż jeszcze zachowała letnią opaleniznę. Można było nawet dostrzec wokół jego szyi linię, gdzie przymocowano głowę. Oględziny dostarczyły mi głębokiej przyjemności, ulżyło mi, nie piętnowały go żadne znaki szczególne.

Kiedy, włożywszy czystą koszulę, którą wyfasowałem mu z walizki, położył się, usiadłem w nogach łóżka i z jawnym szyderstwem zmierzyłem go wzrokiem. Nie wiem, co sobie pomyślał, ale czystość, do której nie przywykł, rozmiękczyła go wyraźnie i nieśmiałym, odrażająco sentymentalnym, w gruncie rzeczy czułym gestem pogładził mnie po rękę i powiedział (tłumacząc dosłownie):

– Dobry z ciebie chłopak.

Z zaciśniętymi zębami za trząsałem się od śmiechu; coś musiało go uderzyć w wyrazie mojej twarzy, bo brwi mu się uniosły i zadarł głowę. Nie tłumiąc już wesołości, wepchnąłem mu w usta papierosa. Omal się nie udławił.

– Ty ośle! – zawołałem. – Czy naprawdę nie domyśliłeś się, że sprowadziłem cię tutaj z powodu ważnej, okropnie ważnej sprawy? – i wyjąwszy z portfela banknot tysiącmarkowy i ciągle dygocząc z rozbawienia, podsunąłem go durniowi pod nos.

– To dla mnie? – spytał i upuścił zapalonego papierosa, wyglądało to tak, jakby jego palce machinalnie się rozwarły, gotowe chwycić pieniądze.

– Wypalisz dziurę w prześcieradle – powiedziałem (śmiejąc się i śmiejąc). – Albo w swojej bezcennej skórze! Widzę, że cię ruszyło. Tak, te pieniądze będą twoje, dostaniesz je nawet z góry, jeśli zgodzisz się na pewną moją propozycję. Jak mogłeś nie zauważyć, że plotę trzy po trzy o filmie tylko po to, żeby cię wypróbować, i że nie jestem żadnym aktorem, tylko przebiegłym i twardym człowiekiem interesu? Oto w czym, ujmując rzecz krótko, tkwi sedno sprawy. Mam zamiar przeprowadzić pewną operację i jest niewielka możliwość, że się potem do mnie dobiorą. Wszelkie podejrzenia zostaną jednak całkowicie rozproszone, jeśli przedstawię niezbity dowód na to, że w chwili przeprowadzania owej operacji byłem w miejscu bardzo odległym od tego, gdzie się dokonywała.

– Kradzież? – spytał Feliks i wyraz osobliwego zadowolenia przemknął mu przez twarz.

– Widzę, że nie jesteś taki głupi, jak myślałem – ciągnąłem, zniżając głos do szeptu. – Najwyraźniej od dawna czułeś, że jest w tym wszystkim coś podejrzanego. A teraz cieszysz się, że się nie pomyliłeś, tak jak cieszy się każdy, kiedy potwierdza się trafność jego domysłów. Obaj mamy słabość do przedmiotów ze srebra – tak właśnie pomyślałeś, co? Lub może ucieszyłeś się przede wszystkim z tego, że, jak się okazuje, wcale nie jestem żadnym żartownisiem ani lekko trzepniętym marzycielem, tylko człowiekiem, który myśli o interesach?

– Kradzież? – spytał Feliks znowu, z ożywieniem w oczach.

– W każdym razie działanie niezbyt legalne. Szczegóły poznasz we właściwym czasie. Najpierw pozwól, że wyjaśnię, czego oczekuję od ciebie. Mam samochód. W moim ubraniu siądziesz za jego kierownicą i pojedziesz pewną drogą. To wszystko. Dostaniesz tysiąc marek albo, jeśli wolisz, dwieście pięćdziesiąt dolarów za miłą przejażdżkę.

– Tysiąc? – powtórzył za mną, głuchy na czar obcej waluty. – A kiedy mi je pan da?

– Stanie się to w sposób całkiem naturalny, przyjacielu. Włożywszy moją marynarkę, znajdziesz w kieszeni mój portfel, a w portfelu pieniądze.

– Co mam zrobić potem?

– Już ci mówiłem: pojechać na przejażdżkę. Ja zniknę, ciebie ludzie zobaczą, wezmą za mnie; wrócisz i... ja wrócę także, osiągnąwszy swój cel. Chcesz, żebym wyjaśnił to dokładniej? Dobra. O ściśle określonej porze przejedziesz przez wieś, gdzie moja twarz jest dobrze znana, nie musisz z nikim rozmawiać, to wszystko potrwa parę minut. Ale zapłacę za tych parę minut całkiem nieźle,

ponieważ dadzą mi one cudowną możliwość przebywania w dwu miejscach jednocześnie.

– Złapią pana z towarem – powiedział Feliks – a potem policja dobierze się do mnie, skończy się to procesem, a w sądzie zaczniesz pan śpiewać.

Zaśmiałem się:

– Wiesz co, bracie, podoba mi się, że od razu pogodziłeś się z myślą, że ze mnie krętacz.

Zaoponował: nie przepada za więzieniami, więzienie zabija młodość, a w ogóle nie ma to jak wolność i śpiew ptaków. Mówił to bez przekonania i bez cienia niechęci do mnie. Po chwili zadumał się, wsparty łokciem na poduszce. W pokoju panowały teraz zaduch i cisza. Tylko kilka kroków albo jeden skok oddzielały jego łóżko od mojego. Ziewnąłem i nie zdejmując ubrania położyłem się – na sposób rosyjski, nie pod pierzyną, tylko na niej. Rozweseliło mnie zabawne myślatko: w nocy Feliks może mnie zabić i obrabować. Wyciągnąwszy w bok nogę, szorując butem po ścianie, znalazłem kontakt, stopa ześliznęła mi się, naprężyłem się mocniej i obcasem wykopałem światło z pokoju.

– A jeśli to wszystko to kłamstwo? – dobiegł mnie jego tępy głos. – A jeśli panu nie wierzę?

Nie poruszyłem się.

– Kłamstwo – powtórzył chwilę później.

Nie poruszyłem się, zaraz potem zacząłem oddychać w beznamiętym rytmie snu.

Nasłuchiwał. Bez wątpienia. Nasłuchiwałem jego nasłuchiwania. On nasłuchiwał mojego nasłuchiwania jego nasłuchiwania. Coś gdzieś trzasnęło. Zdałem sobie sprawę, że wcale nie myślę o tym, o czym myślałem, że myślę, spróbowałem złapać swoją świadomość na błędzie, ale całkiem się zaplątałem.

Przyśnił mi się wstrętny sen, potrójny koszmar. Najpierw pojawił się mały piesek, ale nie zwykły mały piesek, tylko mały niby-piesek, bardzo mały, z malutkimi czarnymi oczkami larwy żuka, cały bielutki i zimny. Ciało? Nie, nie ciało, raczej tłuszcz albo galareta czy też może mięso białego robaka, w dodatku pokrytego karbami i wyżłobieniami, jak rosyjski wielkanocny baranek z masła – obrzydliwa mimikra. Zimnokrwista istota, którą natura upodobniła do małego pieska – ogon, łapki, wszystko na swoim miejscu. Piesek nieustannie plątał mi się pod nogami, nie mogłem się go pozbyć; a ilekroć mnie dotknął, czułem się tak, jakby złapał mnie prąd. Zbudziłem się. Koło mnie na prześcieradle leżał zwinięty jak otępiała biała larwa ten sam okropny pseudopiesek... Jęknąłem z obrzydzenia i otworzyłem oczy. Wszędzie dokoła płynęły cienie, łóżko obok było puste, jeśli nie liczyć szerokich liści łopianu, które dzięki wilgoci wyrosły z desek. Widać było na nich podejrzane śluzowate plamy; przyjrzałem im się bliżej, siedział tam, przyklejony do grubej łydygi, mały, tłustobiały, ze swymi maleńkimi oczkami jak czarne guziczki... ale wtedy wreszcie obudziłem się na dobre.

Zapomnieliśmy spuścić story. Mój zegarek stanął. Mogła być piąta, wpół do szóstej. Feliks spał, owinięty pierzyną. Odwrócony był do mnie plecami, widziałem tylko ciemny czubek jego głowy. Dziwne przebudzenie, dziwny świt. Przypomniałem sobie naszą rozmowę, pamiętałem, że nie udało mi się go przekonać. I wtedy wpadł mi do głowy nowiutki, niezwykle pociągający pomysł.

Och, czytelniku, czułem się po drzemce świeży jak nowo narodzone dziecko, moja dusza obmyła się do czysta, miałem w końcu dopiero trzydzieści pięć lat i mógłbym poświęcić szczodłą resztę żywota na coś lepszego niż nikczemne iluzje. Doprawdy, jakiż fascynujący pomysł: posłuchać rady losu i natychmiast, na nic nie czekając, opuścić ten pokój, porzucić na zawsze, zapomnieć i ocalić swego nieszczęsnego sobowtóra... Kto wie, może wcale do mnie niepodobnego – widziałem tylko czubek jego głowy, spał głębokim snem odwrócony do mnie plecami. Byłem jak dorastający chłopiec,

który kolejny raz nie oparł się samotnemu i sromotnemu występкови i mówi sobie: „Koniec z tym, od tej chwili życie w czystości, szczęście czystości” – wypowiedziawszy wszystko, z góry wszystko przeżywszy, dopełniwszy miary udręki i rozkoszy, byłem zabobonnie gotów odrzucić pokusę na zawsze.

Wszystko wydawało się takie proste: na drugim łóżku spał włóczęga, któremu przypadkiem udzieliłem schronienia, jego nędzne zakurzone buty stały noskami do siebie na podłodze, swoją wierną laskę troskliwie umieścił na siedzeniu krzesła, na którym, złożone z proletariacką schludnością, leżało też jego ubranie. Co ja u diabła robię w tym prowincjonalnym hotelu? Jaki sens siedzieć tu dłużej? I jeszcze ten solenny, ciężki zapach cudzego potu, to niebo w oknie, przypominające zsiadłe mleko, ta olbrzymia czarna mucha na karafce... wszystko mówiło mi: wstań i idź.

Czarna plama żwirowatego błota na ścianie koło kontaktu przypomniała mi o wiosennym dniu w Pradze. Och, mógłbym ją zdrapać i nie zostawić po sobie żadnego śladu, żadnego śladu, żadnego śladu! Tęskniłem za gorącą kąpielą w swoim pięknym domu – myśl o czekającej mnie przyjemności zaprawiała kroplą goryczy przypuszczenie, że Ardalion używał wanny, na co jego uprzejma kuzynka, jak podejrzewałem, pozwoliła mu już kilka razy podczas mojej nieobecności.

Spuściłem nogi na zagięty róg dywanika, kieszonkowym grzebykiem z prawdziwego szylkretu (nie z tej brudnej imitacji, z której – jak zauważyłem – był grzebień tego włóczęgi) sczesalem włosy do tyłu, bezszelestnie prześliznąłem się przez pokój, włożyłem płaszcz i kapelusz, wziąłem walizkę i wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi. Myślę, że gdybym nawet rzucił spojrzenie na twarz mojego śpiącego sobowtóra, i tak bym poszedł, ale nie miałem ochoty spojrzeć, tak jak wspomniany chłopiec nie raczy rano rzucić okiem na zdjęcie, które wielbił w łóżku.



Zamroczony lekkim zawrotem głowy, zszedłem po schodach, ręcznikiem wyczyściłem w ubikacji buty, raz jeszcze się uczesałem, zapłaciłem za pokój i odprowadzany sennym wzrokiem nocnego portiera, wyszedłem na ulicę. Pół godziny później siedziałem w wagonie; towarzyszyły mi pachnące koniakiem beknięcia, a w kącikach ust zasiedziały się słone ślady niewyszukanego, ale znakomitego omletu, który pośpiesznie zjadłem w restauracji dworcowej. Tak to, niską, przelýkową nutą kończy się ten mętny rozdział.

## ROZDZIAŁ VI

Łatwo dowieść, że Bóg nie istnieje. Nie sposób przecież na przykład przyjąć, że poważny Jahwuś, taki mądry i wszechmogący, może tracić czas na podobnie obłąkańczą namiętność, jak gra w ludzików, że – co jeszcze bardziej niedorzeczne – ujął tę grę w przepisy potwornie trywialnych praw mechaniki, chemii oraz matematyki i że nigdy – proszę zauważyć, nigdy! – nie ukazał swojej twarzy, pozwalając sobie tylko na ukradkowe spojrzenia, mętne aluzje i wstydlive szeptanie (też mi objawienie!) spornych prawd zza pleców jakiegoś nieszkodliwego histeryka.

Wszystkie te święte historie to, jak sądzę, wielkie oszustwo, za które nie należy winić księży; księża sami są jego ofiarami. Ideę Boga odkrył w początkach historii jakiś genialny nicpoń, coś zanadto idea ta zalatuje człowieczością, by można było przyjąć jej lazurowe pochodzenie. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest ona płodem krańcowej ignorancji, ten mój nicpoń nieźle znał się na niebiosach, doprawdy trudno mi powiedzieć, który wariant nieba jest najlepszy: oślepiający blask argusookich aniołów, machających skrzydłami, czy krzywe zwierciadło, w które wycofuje się, coraz to mniejszy i mniejszy, bardzo zadowolony z siebie profesor fizyki. Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę ani nie chcę uwierzyć w Boga: bajeczka o nim nie jest w istocie moją bajką, należy do innych, do wszystkich, przesycają ją cuchnące wyziewy milionów obcych dusz, które posnuły się trochę pod słońcem i pękły; mrowią się w niej pierwotne lęki, rozbrzmiewa w niej echo nieskładnego chóru niezliczonych głosów, próbujących się wzajem przekrzyczeć, słyszę w niej huk i zadyszke organów, wrzask prawosławnego diakona, zawodzenie kantora, murzyńskie lamenty, płynną elokwencję protestanckiego kaznodziei, gongi, gromy, spazmy epileptyczek; widzę, jak przeświecają przez nią blade stronic

wszystkich filozofii przypominające pianę fal, które dawno rozbiły się o brzeg, jest mi obca i wstrętna, i absolutnie niepotrzebna.

Jeśli nie jestem panem swojego życia, sułtanem swojego istnienia, to nie ma takiej ludzkiej logiki ani takich napadów ekstazy, które by zdołały chociaż w części wyperswadować mi głupotę mojego nieznośnie idiotycznego położenia, położenia bożego niewolnika, nie, nawet nie tyle niewolnika, ile po prostu zapalki, którą bez żadnej potrzeby zapala i gasi jakieś ciekawskie dziecko, postrach swych zabawek. Nie ma jednak powodu do niepokoju: Bóg nie istnieje, nie istnieje też nieśmiertelność duszy, z tym drugim straszidłem można się załatwić równie łatwo, jak z pierwszym. No bo wyobraźcie sobie, żeście umarli i nagle budzicie się w raj, gdzie promieniejąc uśmiechem witają was wasi drodzy zmarli.

Powiedzcie mi z łaski swojej, jaką macie gwarancję, że te ukochane widma są prawdziwe, że to naprawdę najdroższa nieboszczka mamusia, a nie jakiś mały demon-mistyfikator w jej masce, odgrywający ją z kunsztem i naturalnością wytrawnego artysty? W tym sęk cały, w tym zgroza cała, zwłaszcza że przedstawienie może trwać i trwać, bez końca. Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy nie będzie dusza na tamtym świecie całkiem pewna tego, że tkliwe, subtelne duchy, które gromadzą się wokół niej, nie są przebranymi diabłami i już zawsze, zawsze, zawsze dusza będzie wątpić i w każdej chwili spodziewać się jakiejś przerażającej przemiany, jakiegoś piekielnego szyderstwa, które nagle wykrzywi nachylającą się nad nią najdroższą twarz.

Oto dlaczego gotów jestem przyjąć wszystko, co się może wydarzyć, krzepkiego kata w cylindrze, a potem głuchy szum pustej wieczności, ale nie zgadzam się na torturę żywota wiecznego, na te zimne białe małe pieski. Puśćcie mnie, ostrzegam was, nie zniosę najmniejszej oznaki czułości, bo wszystko jest oszustwem, nędzną sztuczką iluzjonisty. Nie wierzę niczemu ani nikomu – kiedy najdroższa znana mi na tym świecie istota spotka mnie na tamtym i

rozpostrze znane mi ramiona, żeby mnie objąć, zawyję z przerażenia, wijąc się padnę na rajska trawę... nie wiem, co zrobię! Nie, wstęp do krainy błogosławionych winien być osobom postronnym wzbroniony.

A jednak, mimo braku wiary, nie jestem z natury posepny ani zły. Kiedy wróciłem z Tarnitz do Berlina i ustaliłem stan posiadania duszy, jak dziecko uradowałem się figurującymi w inwentarzu niewielkimi, ale pewnymi bogactwami i poczułem, że odnowiony, odświeżony, wyzwolony, wkraczam, jak zwykle się mówi, w nowy etap życia. Miałem obdarzoną wprawdzie ptasim mózdzkiem, ale atrakcyjną żonę, która mnie ubóstwiała, miłe mieszkanko, mało wymagający żołądek i niebieski samochód. Tkwił we mnie, czułem to, poeta, twórca. Niemalże też były moje zdolności handlowe, chociaż interes szedł kiepsko. Feliks, mój sobowtór, wydawał się nieszkodliwym kuriozum i być może opowiedziałbym wówczas o nim swoim przyjaciołom, gdybym ich miał. Zastanawiałem się, czy by nie rzucić w diabły czekolady i nie zająć się czymś innym, na przykład wydawaniem kosztownych luksusowych książek, poświęconych gruntownej analizie zagadnienia stosunków seksualnych – w literaturze, sztuce, nauce... krótko mówiąc, rozpierała mnie dzika energia, nie wiedziałem tylko, jak ją wykorzystać.

Szczególnie utrwalił mi się w pamięci pewien listopadowy wieczór: wróciwszy z pracy stwierdziłem, że mojej żony nie ma w domu – zostawiła mi liścik informujący, że poszła do kina. Nie wiedząc, co ze sobą począć, przechadzałem się po pokojach i strzelałem palcami, potem usiadłem przy biurku, zamierzając napisać parę stron znakomitej prozy, ale zdołałem tylko oślinić pióro i narysować kilka zakatarzonych nosów. Wstałem więc i wyszedłem, gwałtownie bowiem potrzebowałem jakichkolwiek kontaktów ze światem, własne towarzystwo ciążyło mi nieznośnie, bo nazbyt mnie podniecało i to zupełnie bez potrzeby. Udałem się do Ardaliona, tego godnego pogardy szarlatana z gorącą krwią. Kiedy mnie w końcu wpuścił (zamknął się w pokoju w obawie przed wierzycielami), zacząłem się zastanawiać, po co do niego przyszedłem.

– Jest u mnie Lidia – powiedział, żując coś zawzięcie (gumę, jak okazało się później) – Madame źle się czuje. Proszę się rozplaszczyc.

Na łóżku Ardaliona leżała i paliła papierosa Lidia, była na wpół rozebrana – bosa, w zmiętej zielonej halce.

– Och, Hermann – powiedziała – cudownie, że wpadłeś na to, żeby tu przyjść, coś niedobrze z moim brzuszkiem. Siadź przy mnie. Już mi lepiej, ale w kinie czułam się strasznie.

– Wyszliśmy w połowie kapitalnego filmu – poskarżył się Ardalion, dłubiąc w fajce i rozrzucając jej czarną zawartość po podłodze. – Leży taka rozwalona już od pół godziny. KobiECE kaprysy, nic więcej. Zdrowa jak krowa.

– Każ mu się zamknąć – powiedziała Lidia.

– Proszę sobie przypomnieć – zwróciłem się do Ardaliona – na pewno się nie mylę, namalował pan przecież taki obraz: fajka z korzenia wrzośca i dwie róże.

Wydał z siebie dźwięk, który niewybredni powieściopisarze oddają jako „Hm”.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział – za dużo ostatnio pracujesz, łaskawco.

– Zgadnij – powiedziała Lidia, leżąc na łóżku z przymkniętymi oczami – pierwsze to papuga, drugie to także zwierzę, ale drapieżne i w dodatku po francusku, a całość to też drapieżnik albo pacykarz.

– Proszę nie zwracać na nią uwagi – powiedział Ardalion – a co do tej fajki i róż... nie, nie mogę sobie przypomnieć, zresztą, niech pan sam zobaczy.

Jego bohomyzy wisiały na ścianach, kłębiły się na stole, piętrzyły w rogu pokoju. Wszystko pokryte tu było kurzem. Przyjrzałem się brudnym fioletowym plamom jego akwarel, ostrożnie przesunąłem palcem po kilku tłustych pastelach leżących na rozchwierutany krześle...

– Po pierwsze – powiedział Ardalion do swej ślicznej kuzynki, strasznej dokucznicy – powinnaś się nauczyć wymawiać właściwie moje imię, papuga to ara, nie arda.

Wyszedłem z pokoju i udałem się do jadalni gospodyni. Wiekowa dama, przypominająca sowę, siedziała w gotyckim fotelu na niewielkim podwyższeniu przy oknie i na drewnianym grzybie cerowała pończochę.

– Obejrzeć obrazy – powiedziałem.

– Proszę bardzo – odparła łaskawie.

Po prawej stronie kredensu znalazłem to, czego szukałem, okazało się jednak, że to niezupełnie róże i niezupełnie fajka, tylko dwie duże brzoskwinie i szklana popielniczka.

Wróciłem mocno rozdrażniony.

– No co – spytał Ardalion – znalazł pan?

Pokręciłem głową. Lidia tymczasem ubrała się, włożyła buty i właśnie szczotką Ardaliona przyglądała przed lustrem włosy.

– Zabawne, musiałam coś zjeść – powiedziała, jak zwykle zwężając nozdrza.

– Wiatry, nic więcej – zauważył Ardalion. – Zaczekajcie, łaskawi państwo. Idę z wami. Ubiorę się raz-dwa. Odwróć się, Lidusza.

Miał na sobie poplamiony, upačkany farbami fartuch malarza pokojowego, sięgający mu niemal do pięt. Zdjął go. Pod spodem nie było niczego oprócz srebrnego krzyża i symetrycznych kępek włosów. Nie znoszę niechlujstwa i brudu. Daję słowo, Feliks był w jakiś sposób czystszy od niego. Lidia patrzyła przez okno i fatalnie wymawiając niemieckie słowa nuciła jakąś piosenkę, która dawno już wyszła z mody. Ardalion łaził po pokoju, ubierając się w miarę jak znajdował w najmniej spodziewanych miejscach różne części garderoby.

– Boże mój! – zawołał nagle. – Cóż może być banalniejszego niż artysta bez grosza przy duszy? Gdyby mi jakiś dobry człowiek pomógł zorganizować wystawę, od razu stałbym się sławny i bogaty.

Zjadł z nami kolację, potem grał z Lidia w karty, wyszedł po północy. Podaję to wszystko jako przykład wesoło i pożytecznie spędzonego wieczora. Tak, wszystko było w porządku, wszystko było doskonałe, czułem się jak nowo narodzony, odświeżony, odnowiony, wyzwolony (mieszkanie, żona, miły, przenikający do kości chłód ostrej berlińskiej zimy) i tak dalej. Nie mogę się powstrzymać od zaprezentowania przykładu ówczesnych moich literackich zabaw – było to chyba coś w rodzaju podświadomego treningu przed moimi obecnymi zmaganiem z tą wyczerpującą opowieścią. Nieśmiałe próby napisane tej zimy zniszczyłem, ale jedna z nich została mi w pamięci... Przypomina mi się jeden z poematów prozą Turgieniewa... „Jakie piękne, jakie świeże były róże” – z akompaniamentem na pianinie. Niech mi wolno będzie poprosić o trochę muzyki.

Pewnego razu żył sobie słaby, ospały, ale bogaty człowiek, niejaki Iks Igrek. Kochał się w czarującej młodej damie, która niestety nie zwracała na niego uwagi. Któregoś dnia, podróżując, ten blady, nudny człowiek zauważył na morskim wybrzeżu młodego rybaka imieniem Mario, wesołego, opalonego silnego chłopaka, który w dodatku był doń niewiarygodnie, zadziwiająco podobny. Bohaterowi przyszedł do głowy sprytny pomysł: zaprosił młodą damę na wycieczkę nad morze. Mieszkali w dwu różnych hotelach. Już pierwszego dnia wybrała się na spacer i ze szczytu urwiska zobaczyła – kogo? Czy to naprawdę pan Iks Igrek? No, no, nie przypuszczałam! Stał na dole na piasku – wesoły, opalony, w pasiastym swetrze bez rękawów, widać było jego nagie silne ramiona (był to Mario!). Panna wróciła do hotelu i rozdygotana czekała, czekała! Minuty zdawały się jej wiekami...

Tymczasem prawdziwy Iks Igrek, który przedtem zza krzewu laurowego obserwował, jak młoda dama patrzy na jego sobowtóra,

Maria (a teraz czekał, żeby jej serce ostatecznie dojrzało), niespokojnie spacerował po wsi ubrany w miejskie ubranie z liliowym krawatem. Niespodziewanie jakaś śniada rybaczka w szkarłatnej spódniczce z romańskim gestem zdumienia zawołała do niego z progu chaty:

– Jak pięknie jesteś ubrany, Mario! Zawsze myślałam, że jesteś prostym, ordynarnym rybakim, jak wszyscy chłopcy tutaj, i nie kochałam cię, ale teraz, teraz... – i wciągnęła go do środka. Szepczące wargi, zmieszane zapachy ryb i płynu do włosów, płomienne pieścizoty. Tak mijają godziny...

W końcu pan Iks Igrek otworzył oczy i poszedł do hotelu, gdzie rozgorączkowana czekała nań jego najdroższa, jego jedyna.

– Byłam ślepa – zawołała, kiedy wszedł. – Ale teraz przejrzałam na oczy, widząc twą brązową nagość na całowanej promieniami słońca plaży. Tak, kocham cię. Rób ze mną, co chcesz. – Szepczące wargi? Płomienne pieścizoty? Błyskawicznie mijające godziny? Nie, niestety nie – wcale nie. Tylko zapach ryb, który przylgnął do skóry. Biedaczysko był całkowicie wyczerpany swoimi niedawnymi wyczynami, toteż siedział bardzo przygnębiony i posepny, rozmyślając nad tym, jakim jest głupcem, że tak zdradził i obrócił wniwecz swój wspaniały plan.

Słabiutki, dobrze o tym wiem. Podczas pisania miałem wrażenie, że tworzę coś piekielnie dowcipnego i inteligentnego; podobnie zdarza się czasami w snach – śni się człowiekowi, że przygotowuje wyjątkowo błyskotliwą mowę, ale kiedy przypomni ją sobie rano, wydaje się idiotyczna: „Poza tym milczałem nie tylko przed herbata, milczę również przed oczami zwierzęcych i zwyrodniałych zwierciadeł”, itd.

Z drugiej strony ta historyjka w stylu Oscara Wilde'a doskonale pasowałyby do gazet, których redaktorzy, zwłaszcza niemieccy, chętnie podsuwają czytelnikom takie właśnie opowiadanka – śliczne i troszeczkę pieprzne, jakieś czterdzieści linijek z elegancką pointą i



upstrzone tym, co ignoranci nazywają paradoksami („Jego rozmowa skrzyła się od paradoksów”). Tak, jest to głupstwo, fikolek pióra, ale jakże będziecie zdumieni, jeśli zdradzę wam, że napisałem tę ckliwą bzdurkę w męce i przerażeniu, zgrzytając zębami, z zapamiętaniem szukając ulgi, będąc zarazem w pełni świadomy, że żadnej ulgi nie znajdę, tylko wyrafinowane samoudręczenie, i że nigdy w ten sposób nie uwolnię swojej mrocznej, mroźnej duszy, tylko jeszcze wszystko pogorszę.

Mniej więcej w tym stanie ducha witałem Nowy Rok. Pamiętam czarne ścierwo nocy sylwestrowej, szalonej wiedźmy, z zapartym tchem czekającej, aż wybije sakramentalna godzina. Spójrzmy, przy stole: Lidia, Ardalion, Orlovius i ja, cisi i sztywni jak na tarczy herbowej. Lidia wspiera się łokciem na stole, czujnie wznosi palec wskazujący, ramiona ma nagie, ubrana jest w suknię mieniącą się barwami jak odwrotna strona karty do gry; Ardalion owinał się pledem (drzwi na balkon są otwarte), na jego tłustej lwiej twarzy igra czerwony odblask; Orlovius ma na sobie czarny surdut, jego okulary połyskują, wykładany kołnierz połknął końce wążutkiego czarnego krawata; a ja, żywa błyskawica rozświetlam tę scenę.

Dobrze, możecie się już poruszyć, pośpieszcie się z tą butelką, zegar zaraz wybije północ. Ardalion odkorkował szampana i znowu znieruchomieliśmy. Spode łba, ponad okularami Orlovius spoglądał na swój duży srebrny zegarek kieszonkowy, który położył na obrusie, zostały jeszcze dwie minuty. Na ulicy ktoś nie mógł już wytrzymać, trzasnął i huknął, a potem zapanowała znowu ta pełna napięcia cisza. Wpatrując się w zegarek, Orlovius powoli wyciągnął do kieliszka swoją starczą dłoń z pazurami gryfa.

Nagle noc puściła i zaczęła się pruć, z ulicy dobiegły toasty, wyszliśmy ze swoimi kieliszkami szampana na balkon – jak królowie. Fajerwerki ze świstem wzbijały się nad ulicą w niebo i z hukiem wybuchały jaskrawym płaczem, a we wszystkich oknach i na wszystkich balkonach w obramowaniu klinów i kwadratów

świętecznego blasku stali ludzie i bez końca wykrzykiwali wciąż te same idiotyczne życzenia.

Nasza czwórka trąciła się kieliszkami, pociągnąłem z mojego łyk.

– Za co pije Hermann? – spytała Lidia Ardaliona.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – odpowiedział zapytany.  
– Cokolwiek by to było, i tak zostanie w tym roku ścięty. Za ukrywanie dochodów.

– Pfuj, cóż za szkaradne słowa! – powiedział Orlovius. – Piję za ogólne zdrowie.

– Jasne – zauważyłem.

Parę dni później, w niedzielny poranek, kiedy właśnie zamierzałem wejść do wanny, zapukała do drzwi służąca, mówiła coś, ale z powodu lejącej się wody nie mogłem jej zrozumieć: „O co chodzi? – wrzasnąłem. – Czego pani chce?” – ale mój głos i szum wody zagłuszyły słowa Elsie; za każdym razem, kiedy zaczynała mówić, ja znowu wrzeszczałem – podobnie dwie osoby, ustępując sobie wzajem z drogi, nie mogą się wyminąć na szerokim, zupełnie pustym chodniku. Po chwili jednak postanowiłem zakręcić kran, przyskoczyłem do drzwi i w nagłej ciszy dziecinny głos Elsie oznajmił:

– Przyszedł jakiś człowiek, chce się z panem widzieć.

– Jakiś człowiek? – spytałem i otworzyłem drzwi.

– Jakiś człowiek – powtórzyła Elsie, jak gdyby reagując tym na moją nagość.

– Czego chce? – spytałem i nie tylko poczułem, że się pocę, ale wręcz ujrzałem siebie od stóp do głów zroszonego drobnymi kropelkami.

– Mówi, że chodzi o interesy i że pan wszystko wie o sprawie.

– Jak wygląda? – spytałem z wysiłkiem.

– Czeka w przedpokoju – powiedziała Elsie, z całkowitym brakiem zainteresowania przyglądając się mojemu perlistemu pancerzowi.

– Na kogo wygląda?

– Na biedaka i ma plecak.

– Każ mu iść do diabła! – ryknąłem. – Niech się natychmiast wynosi, nie ma mnie w domu, nie ma mnie w mieście, nie ma mnie na świecie.

Zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem się w środku. Zdawało się, że serce wyskoczy mi zaraz z hukiem przez gardło. Minęło jakieś pół minuty. Nie wiem, co mnie napadło, ale zacząłem krzyczeć już szarpiąc zasuwkę, otworzyłem drzwi i, ciągle goły, wyskoczyłem z łazienki. W korytarzu wpadłem na Elsie, która wracała do kuchni.

– Zatrzymaj go – krzyknąłem. – Gdzie on jest? Zatrzymaj go.

– Poszedł sobie – powiedziała, grzecznie wyplątując się z moich mimowolnych objęć.

– Dlaczegoś go do cholery... – zacząłem, ale nie skończywszy zdania, rzuciłem się do pokoju, włożyłem buty, spodnie i marynarkę, zbiegłem po schodach i wypadłem na ulicę. Nikogo. Doszedłem do rogu, postąłem tam przez chwilę, rozglądając się na wszystkie strony, i wreszcie wróciłem do domu. Byłem sam, gdyż Lidia wyszła wcześniej rano – do jakiejś swojej przyjaciółki. Kiedy wróciła, oznajmiłem jej, że źle się czuję i nie pójdę z nią do kawiarni, jak umówiliśmy się.

– Biedaczysko – powiedziała. – Powinieneś się położyć i coś zażyć, jest tu gdzieś aspiryna. No dobrze. Pójdę do kawiarni sama.

Wyszła. Służącej także nie było. Udręczony do ostatnich granic nasłuchiwałem, czy nie dzwoni dzwonek.

– Co za idiota – powtarzałem – co za niewiarygodny idiota!

Znajdowałem się w strasznym stanie wręcz chorobliwego rozdrażnienia. Nie wiedziałem, co robić, byłem gotów modlić się do nieistniejącego Boga, błagać o dźwięk dzwonka do drzwi. Zapadł zmrok, a ja nie włączyłem światła, dalej leżałem na kanapie i słuchałem, słuchałem. Na pewno przyjdzie przed zamknięciem na noc frontowych drzwi, a jeśli nie, to jutro albo pojutrze, bez wątplenia, bez najmniejszej wątpliwości. Umrę, jeśli nie przyjdzie – musi, musi przyjść... W końcu około ósmej rozległ się dzwonek. Pobiegnę do drzwi.

– Hu, ale jestem zmęczona! – po domowemu powiedziała Lidia, wchodząc zdejmowała kapelusz i wstrząsała włosami.

Towarzyszył jej Ardalion. Poszedł ze mną do salonu, moja żona zajęła się kuchnią.

– Chłodno wędrowcom i głodno! – powiedział Ardalion, grzejąc dłonie przy kaloryferze i błędnie cytując Niekrasowa.

Cisza.

– Mów sobie, co chcesz – ciągnął, wpatrując się w mój portret – ale jest podobieństwo, wielkie podobieństwo. Wiem, że ze mnie zarozumialec, ale nie mogę się powstrzymać i nie podziwiać go za każdym razem, kiedy go widzę. I dobrze pan zrobił, mój drogi, zgoliwszy znowu wąsy.

– Kolacja na stole – zaintonowała czule Lidia w jadalni.

Nie mogłem jeść, co i rusz wysyłałem ucho na przespiegi do drzwi wejściowych, chociaż było już zdecydowanie zbyt późno.

– Mam dwa wielkie marzenia – powiedział Ardalion, zawijając plasterki szynki jakby to były naleśniki i przeżuując je ze smakiem.  
– Dwa niebiańskie marzenia: wystawa i podróż do Włoch.

– Ten człowiek już ponad miesiąc nie tknął wódki – powiedziała Lidia tonem wyjaśnienia.

– A propos wódki – powiedział Ardalion – czy Pieriebrodow był u pana?

Lidia przycisnęła dłoń do ust.

– Wyleciao mi to z gowy – powiedziała skroś palce. – Cakiem wyleciao.

– Co za gęś, jeszcze takiej nie widziałem. Rzecz w tym, że prosiłem ją, żeby panu powiedziała... Chodzi o mego kolegę, biednego artystę, nazywa się Pieriebrodow, to mój stary kumpel i w ogóle. Przyszedł piechotą z Gdańska, w każdym razie tak mówi. Sprzedaje ręcznie malowane papierośnice, więc dałem mu wasz adres – Lidia myślała, że zechce mu pan pomóc.

– A, tak, był tu – odpowiedziałem – a jakże, był. Kazałem mu się oczywiście wynosić do wszystkich diabłów. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby nie przysyłał mi pan więcej wszelkiego rodzaju naciągaczy. Może pan powiedzieć swojemu przyjacielowi, żeby się nie trudził i już tu nie wracał. Doprawdy, to już przesada. Można by pomyśleć, że jestem zawodowym filantropem. Idź pan w cholere z pańskim jakże mu tam – nie będę...

– Spokojnie, spokojnie, Hermann – miękko wpadła mi w słowo Lidia.

Ardalion głośno wypuścił powietrze przez odęte wargi.

– Smutna historia – stwierdził.

Wściekałem się jeszcze przez pewien czas, nie pamiętam dokładnie, jakich słów użyłem, ale to nieważne.

– Rzeczywiście – powiedział Ardalion, patrząc zezem na Lidie – wygląda na to, że strzeliłem gafę. Przepraszam.

Nagle zamilkłem, siedziałem pogrążony w myślach, mieszając herbatę, w której cukier już dawno w najlepsze się rozpuścił. Po chwili powiedziałem na głos:

– Ale ze mnie osioł.

– Och, niech pan da spokój, po co zaraz tak przesadzać – powiedział dobrodusznie Ardalion.

Rozweseliła mnie własna głupota. Jakże u diabła mogło mi nie przyjść do głowy, że gdyby nawet rzeczywiście zjawił się u nas Feliks (co już samo w sobie zakrawałoby na cud, zważywszy na to, że nie znał nawet mojego nazwiska), to zdumienie służącej nie miałyby granic, bo stanąłby przed nią przecież mój skończony sobowtór?!

Teraz, kiedy o tym pomyślałem, wyobraźnia wyczarowała z całą wyrazistością krzyk dziewczyny – przybiegłaby, nie mogąc złapać tchu i tuliłaby się do mnie, bełkocząc coś o niesamowitym podobieństwie. Wyjaśniłbym jej, że to mój brat niespodziewanie przyjechał z Rosji. A tak, przez długi dzień niepotrzebnie się męczyłem – zamiast być zaskoczonym samym faktem jego wizyty, starałem się zdecydować, co będzie dalej: czy poszedł sobie na dobre, czy też jeszcze wróci, i co mógł wymyślić, i czy jego pojawienie się nie uniemożliwi realizacji mojego ciągle nie całkiem zarzuconego, dzikiego, cudownego marzenia; inaczej mówiąc, czy nie widziało go już na ulicy ze dwadzieścia osób znających moją twarz, co musiałoby oznaczać koniec moich planów.

Podumawszy nad niedostatkami swego umysłu i tak łatwo odwróconym niebezpieczeństwem, poczułem – jak już wspomniałem – przyływ wesołości i dobrej woli.

– Jestem dzisiaj trochę zdenerwowany. Proszę o wybaczenie. Szczerze mówiąc, po prostu nie widziałem pańskiego sympatycznego przyjaciela. Przyszedł w złym momencie. Kąpałem się, a Elsie powiedziała mu, że mnie nie ma. O, proszę: niech pan da mu te trzy marki, kiedy go pan zobaczy – czym chata bogata, tym rada – i proszę mu powiedzieć, że na więcej mnie nie stać, więc niech się raczej zwróci do kogoś innego, na przykład do Władimira Isakowicza Dawydowa.

– To jest myśl – powiedział Ardalion – sam tam wymierzę strzałę. Nawiasem mówiąc, pije jak smok – poczciwy stary Pieriebrodow. Niech pan spyta mojej ciotki, tej, co wyszła za francuskiego farmera – opowiadałem panu o niej – pełna życia pani, ale węża ma w kieszeni niewiarygodnego. Miała mająteczek na Krymie, w 1920 podczas walk w tamtych stronach Pieriebrodow i ja wypiliśmy jej całą piwniczkę.

– A co się tyczy podróży do Włoch... no cóż, zobaczymy – powiedziałem z uśmiechem – tak, zobaczymy.

– Hermann ma złote serce – stwierdziła Lidia.

– Podaj mi kiełbasy, kochanie – powiedziałem z tym samym uśmiechem.

Nie całkiem wtedy rozumiałem, co się ze mną dzieje, teraz jednak już wiem, co to było: ze stłumioną, ale wspaniałą gwałtownością, która wkrótce miała wymknąć się spod kontroli, znów wzbierała we mnie namiętność do mego sobowtóra. Przede wszystkim uświadomiłem sobie, że w Berlinie pojawił się pewien niejasny punkt, wokół którego jakaś mglista siła kazała mi zataczać coraz ciaśniejsze kręgi. Kobaltowoniebieskie skrzynki na listy, żółte samochody z grubymi oponami i symbolicznym czarnopiórym orłem pod zakratowanym okienkiem, idący ulicą (z ową szczególną nasyconą powolnością znamionującą doświadczonego pracownika) listonosz z torbą na brzuchu, automat ze znaczkami na stacji metra czy nawet jakiś sklepik filatelistyczny, gdzie w kopertach z okienkiem roily się apetycznie pomieszane znaczki ze wszystkich stron świata, krótko mówiąc – wszystko, co wiązało się z pocztą, zaczęło wywierać na mnie osobliwą presję, bezwzględny wpływ.

Pamiętam, że któregoś dnia coś graniczącego z somnambulizmem zaprowadziło mnie w znany mi dobrze zaułek – zbliżałem się w ten sposób do owego magnetycznego punktu, który stał się osią mojego istnienia; nagle jednak wzdrygnąłem się, ochłonałem i uciekłem; niebawem wszakże – po kilku minutach, a może po kilku

dniach – zauważyłem, że znowu skręcam w ten zaułek. Był to czas rozdzielania listów i oto szli mi naprzeciw... niespiesznym krokiem zbliżało się ku mnie kilkunastu niebieskich listonoszy; niespiesznie rozeszli się na rogu w różne strony. Odwróciłem się, pokazując im figę, pokręciłem głową, ciągle się opierałem. A przez cały czas wiedziałem – mówił mi o tym szalony dreszcz nieomyślnej intuicji – że list tam jest, że czeka aż się zgłoszę i że prędzej czy później ulegnę pokusie.



## ROZDZIAŁ VII

Przede wszystkim – motto, ale nie do tego rozdziału, tylko tak, w ogóle: Literatura to miłość. A teraz kontynuujmy.

Na poczcie było ciemno, przy każdym okienku stało kilka osób, głównie kobiet, w obramowaniach okragłych otworów jak matowe portrety widniały twarze urzędników. Szukałem numeru dziewiątego... Nie od razu zdecydowałem się podejść... Na środku pomieszczenia znajdowały się pulpity do pisania, strawiłem więc chwilę przy jednym z nich, udając przed samym sobą, że muszę coś napisać: na odwrocie starego rachunku, który znalazłem w kieszeni, zacząłem skrobać pierwsze słowa, jakie przyszły mi do głowy. Państwowe pióro skrzeczało i grzechotało, kilka razy wtykałem je do kałamarza, zanurzałem w znajdującej się w nim czarnej plwocinie. Błada bibuła, na której wsparłem łokieć, cała była pokryta krzyżującymi się odciskami nieczytelnych linijek. Te irracjonalne litery, jak gdyby poprzedzone znakiem minus, przypominają mi zawsze lustra: minus przez minus daje plus. Przyszło mi do głowy, że być może Feliks to jakiś „minus-ja”, zdumiewająco ważna koncepcja, szkoda, wielka szkoda, że nie przemyślałem jej gruntownie.

Tymczasem suchotnicze pióro w mojej dłoni pluło słowami: nie mogę przestać, przestać, przekłuć, kły, kłapa, kłapie, piekło. Zmiałem kawałek papieru w dłoni. Niecierpliwa gruba dama wcisnęła się na moje miejsce i złapała oswobodzone pióro, odpychając mnie wiercącym się zadem swego futra z fok.

Niespodziewanie znalazłem się przy okienku dziewiątym. Szeroka twarz z piaskowymi wąsami spoglądała na mnie pytająco. Wyszeptałem hasło. Dłoń z czarnym pokrowcem na palcu wskazującym podała mi nie jeden, ale trzy listy. Wszystko to, jak mi

się teraz wydaje, odbyło się błyskawicznie. Już w następnej chwili szedłem ulicą z ręką przyciśniętą do serca. Jak tylko dotarłem do pierwszej ławki, usiadłem i rozerwałem koperty.

Postawcie tam jakiś pomnik – na przykład żółty drogowskaz. Niechże ta część czasu zostanie oznaczona również w przestrzeni. Byłem tam, siedziałem i czytałem, i nagle zacząłem się krztusić niespodziewanym, niepohamowanym śmiechem. O, pełen galanterii czytelniku, były to listy szantażysty! List szantażysty, którego to listu być może nikt nigdy nie otworzy, list szantażysty wysłany na poste restante, w dodatku do odebrania po podaniu umówionego szyfru, tzn. stanowiący jawne wyznanie, że nadawca nie zna ani nazwiska, ani adresu osoby, do której pisze – toż to wyjątkowo śmieszny paradoks!

W pierwszym z tych trzech listów (z połowy listopada) temat szantażu pojawiał się jedynie pod postacią napomknień. Był, list ten, bardzo na mnie obrażony, domagał się wyjaśnień, zdawał się doprawdy unosić brwi, jak zwykł to czynić jego autor, gotów zresztą po chwili uśmiechnąć się swoim wysokobrewym uśmiechem – nie rozumiał, a bardzo chciałby zrozumieć, czemu zachowałem się tak tajemniczo, czemu bez załatwienia interesów wyśliznąłem się z pokoju i zniknąłem w nocnej głuszy. Ma pewne podejrzenia, owszem, ale nie chce jeszcze odkrywać kart i gotów jest zatrzymać owe podejrzenia przy sobie, jeśli tylko postąpię tak, jak powinienem; z godnością przedstawiał swoje wątpliwości i z godnością czekał na odpowiedź. Wszystko to miało formę bardzo niegramatyczną, a jednocześnie napuszoną, które to połączenie było właściwym mu stylem.

W następnym liście – z końca grudnia, cóż za cierpliwość! – szczególny temat był już wyraźniejszy. Było teraz jasne, po co w ogóle do mnie napisał. Wspomnienie owego banknotu tysiącmarkowego, owej szaro-niebieskiej wizji, która przemknęła mu przed samym nosem, a potem zniknęła, targało mu wnętrzości; jego

zachłanność rozpalona była do białości, oblizywał spieczone wargi i nie mógł sobie wybaczyć, że pozwolił mi odejść i okraść się z tego cudownego szelestu, od którego świerzbiała w koniuszkach palców. Pisał więc, że gotów jest spotkać się ze mną znowu, że przez ten czas gruntownie wszystko przemyślał, ale że jeśli uchylę się od spotkania albo po prostu mu nie odpiszę, będzie zmuszony... w tym właśnie miejscu jak na zamówienie pojawił się rozległy kleks, który drań zrobił, chcąc mnie zaintrygować, jako że nie miał pojęcia, czym mógłby mnie postraszyć.

Wreszcie trzeci, styczniowy, list był prawdziwym arcydziełem Feliksa. Pamiętam go dokładniej niż pozostałe, ponieważ trzymałem go trochę dłużej:

*Nie otrzymawszy odpowiedzi na moje pierwsze listy zaczyna mi się wydawać że najwyższy czas podjąć pewne kroki niemniej jednak daję panu jeszcze miesiąc na przemyślenie sprawy po którym pójdę prosto w miejsce gdzie pańskie czyny zostaną w pełni osądzone tak jak na to zasługują a jeśli i tam nie znajdę życzliwości bo kto nie jest w dzisiejszych czasach chytry na pieniądze ucieknę się do kroku który zostawiam pańskiej wyobraźni bo myślę że jak władza nie chce karać oszustów jest obowiązkiem każdego uczciwego obywatela zrobić tyle krzyku i hałasu dokoła niepożądaney osoby żeby państwo chcąc nie chcąc musiało wziąć się do rzeczy ale biorąc pod uwagę pańską sytuację osobistą i ze względu na uprzejmość i chęć usłużenia gotów jestem zrezygnować ze swojego zamiaru i powstrzymać się od narobienia krzyku pod warunkiem że w bieżącym miesiącu pošle mi pan raczej sporą sumę jako wynagrodzenie za wszystkie moje strapienia której dokładną wysokość zostawiam z szacunkiem do pańskiej oceny.*

Podpisane: „Wróbel”, pod spodem adres prowincjonalnego urzędu pocztowego.

Długo rozkoszowałem się tym listem, o którego gotyckim uroku mój mdły przekład nie może dać pełnego wyobrażenia. Podobały mi się wszystkie rysy listu: ten majestatyczny słowotok, nieskrępowany żadnymi znakami przestankowymi, ta tępa ostentacja małosłownego łajdactwa u tego tak niewinnie wyglądającego indywiduum, ta dawana do zrozumienia zgoda na wszelkie moje propozycje, nawet najbardziej odrażające, byle tylko przyniosły pieniądze. Ale największą rozkosz, rozkosz tak silną i dojrzałą, że aż trudno ją było wytrzymać, sprawił mi fakt, że Feliks sam z siebie, bez żadnych nalegań z mojej strony, znowu pojawił się na horyzoncie i ofiarowywał mi swoje usługi, ba, zmuszał mnie do ich przyjęcia i w dodatku, robiąc wszystko, czego chciałem, zdejmował ze mnie wszelką odpowiedzialność za fatalne następstwo wypadków.

Siedząc na ławce, trząsałem się ze śmiechu. O, postawcie tam pomnik (żółty drogowskaz), koniecznie postawcie! Jakże on to sobie wyobrażał, ten jolop – że jego listy będą mnie telepatycznie zawiadamiać o swoim nadejściu i że w magiczny sposób zapoznawszy się z ich treścią, uwierzę w moc ich widmowych gróźb? Zabawne, że w istocie wyczulem pojawienie się listów w okienku dziewiątym i że w istocie zamierzałem na nie odpowiedzieć, innymi słowy: to, co wedle jego beczelnie głupiej wiary miało się wydarzyć, wydarzyło się naprawdę!

Kiedy tak siedziałem na ławce i trzymałem te listy w swoich płomiennych objęciach, zdałem sobie nagle sprawę z tego, że mój plan nabrał ostatecznych kształtów i że wszystko albo niemal wszystko jest już gotowe, brakowało zaledwie paru szczegółów, których dorzucenie nie mogło sprawić kłopotu. Co właściwie znaczy „kłopot” w takich kwestiach? Wszystko szło samo, wszystko waliło wartkim nurtem i zgrabnie przybierając nieuniknione kształty, płynnie zlewało się ze sobą już od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Feliksa.

Co tu mówić o kłopotach, skoro mamy do czynienia z harmonią symboli matematycznych, ruchem planet, gładziutkim działaniem praw naturalnych, bo to one w istocie są tu najważniejsze. Moja wspaniała budowla stanęła bez mojej pomocy. Tak, od samego początku wszystko toczyło się zgodnie z moimi życzeniami i kiedy zadałem sobie teraz pytanie, co mam napisać do Feliksa, nie byłem specjalnie zdziwiony, znalazłszy cały list w swoim umyśle – gotowy, jak owe telegramy gratulacyjne na ozdobnym blankiecie, które za dodatkową opłatą można wysłać nowożeńcom: pozostaje tylko wypisać na formularzu odpowiednią datę.

Zastanówmy się nad zbrodnią, zbrodnią jako sztuką, i nad sztuczkami karcianymi. Jestem w tej chwili bardzo podniecony. Ach, Conan Doyle! Jakże cudownie mogłeś zwieńczyć swoje dzieło, kiedy twoi dwaj bohaterowie zaczęli cię nudzić! Jakaż okazję, jakież temat zmarnowałeś! Mogłeś napisać ostatnią opowieść kończąca epopeję Sherlocka Holmesa, ostatni epizod, będący wspaniałą ozdobą całości: mordercą w tym dziele powinien się okazać nie jednonogi buchalter ani nie Chińczyk Ching, kobieta w czerwieni także nie nadaje się na ostatnią zbrodniarkę, zabójcą winien być słynny kronikarz kryminalnych historii, dr Watson we własnej osobie – chodzi o to, żeby Watson zmienił się, by tak rzec, w Łotrsona. Cóż za oszałamiające zaskoczenie dla czytelnika.

Ale czymże oni są – Conan Doyle, Dostojewski, Leblanc, Wallace, wszyscy wielcy powieściopisarze, którzy opowiadali o sprytnych przestępcach, i czym są wszyscy wielcy przestępcy, którzy nigdy nie czytali sprytnych pisarzy, czym są w porównaniu ze mną? Niezręcznymi głupcami! Podobnie jak genialnym wynalazcom, z pewnością pomógł mi przypadek (spotkanie z Feliksem), ale łut szczęścia okazał się idealnie dopasowany do miejsca, które dla niego zostawiłem; chwyciłem go pazurami i wykorzystałem, czego ktoś inny w mojej sytuacji by nie uczynił.

Moje dokonanie przypomina pasjans, z góry ułożony; najpierw w taki sposób rozłożyłem odkryte karty, żeby pasjans musiał wyjść, potem zebrałem je w odwrotnej kolejności i tak przygotowaną talię dałem innym, z całkowitą pewnością, że sukces jest gwarantowany.

Błąd moich niezliczonych prekursorów polegał na tym, że kładli zasadniczy nacisk na sam czyn i przywiązywali większe znaczenie do tego, jak usunąć później wszystkie ślady, niż do tego, jak w możliwie najbardziej naturalny sposób doprowadzić do owego aktu, który jest tylko ogniwem łańcucha, szczególnie, jedną linijką w książce i musi logicznie wynikać ze wszystkiego, co go poprzedza; jest to zresztą istotą wszelkiej sztuki. Jeśli rzecz właściwie zaplanować i wykonać, siła twórczego aktu okaże się tak ogromna, że nawet gdyby przestępca oddał się już następnego dnia w ręce policji, nikt by mu nie uwierzył, artystyczny wymysł zawiera bowiem znacznie więcej prawdy wewnętrznej niż realne życie.

Wszystko to, pamiętam, przebiegło mi przez myśl, kiedy tak siedziałem na ławce z listami na kolanach, co innego wtedy, co innego teraz. Teraz wprowadziłbym do swoich tez niewielką poprawkę, dodając, że – tak jak dzieje się to w przypadku wspaniałych dzieł sztuki, których motłoch długo nie chce zrozumieć ani zaakceptować i których urokowi się opiera – ludzie nie uznają genialności zbrodni doskonałej, nie poddają się pod jej wpływem marzeniu, nie zdumiewają się, zamiast tego robią wszystko, co tylko się da, by znaleźć coś, co można najpierw zadrasnąć, a potem rozerwać na strzępy, czym można ugodzić autora i zranić go jak najboleśniej. A kiedy zdaje im się, że znaleźli upragniony błąd, dalejże parskać śmiechem i szydzić! A to tylko oni błędzą, nie autor, brakuje im przenikliwości jego wzroku i nie widzą niczego szczególnego tam, gdzie autor dostrzegł cud prawdziwy.

Naśmiawszy się do woli, po czym spokojnie i precyzyjnie zastanowiwszy się nad swoimi następnymi krokami, włożyłem trzeci, najbardziej łajdacki list do portfela i podarłem dwa pozostałe,

ciskając skrawki w okoliczne krzaki (przyciągnęło to natychmiast kilka wróbli, które wzięły kawałki papieru za okruchy chleba). Następnie udałem się do biura, gdzie wystukałem list do Feliksa zawierający dokładne wskazówki, które instruowały go, gdzie i kiedy ma się zjawić. Dołączyłem dwadzieścia marek i wyszedłem znowu na dwór.

Zawsze było mi trudno rozewrzeć palce trzymające list nad przepastną szparą: przypomina to zanurzenie się w lodowatej wodzie albo skok z płonącego balkonu w coś, co wygląda jak wnętrze karczocha; a teraz było mi szczególnie trudno wypuścić kopertę z rąk. Ścisnęło mnie w gardle, potem w dołku i ciągle trzymając list poszedłem do następnej skrzynki pocztowej, gdzie wszystko się powtórzyło. Szedłem ciągle obładowany listem, uginając się pod potężnym białym brzemieniem, i znowu, minawszy kolejną ulicę, natknąłem się na skrzynkę. Moje niezdecydowanie robiło się nieznośne, biorąc bowiem pod uwagę stanowczość podjętej decyzji, było całkowicie pozbawione zarówno przyczyny, jak i sensu. Być może należałoby je uznać za czysto fizyczną, mechaniczną reakcję, opór nie chcących się rozluźnić mięśni lub raczej – jak by to ujął badacz marksistowski (zawsze twierdziłem, że marksizm najbliższy jest prawdy absolutnej) – za niezdecydowanie posiadacza, który nieodmiennie (to istota jego natury) niechętnie rozstaje się ze swoją własnością; warto przy tym zauważyć, że w moim przypadku własność nie ograniczała się tylko do wysyłanych pieniędzy, lecz wiązała się również z powierzona listowi częścią mojej duszy. Jakkolwiek rzeczy się miały, doszedłszy do czwartej czy piątej skrzynki, przezwyciężyłem niezdecydowanie. Wiedziałem – równie dobrze, jak teraz wiem, że zamierzam napisać niniejsze zdanie – wiedziałem, że nic mnie tym razem nie powstrzyma przed wsunięciem listu w szparę, przewidywałem nawet jaki geścik uczynię zaraz potem: przesunę jedną dłońią po drugiej, jak gdyby moja lewa rękawiczka zakurzyła się trochę od listu, który, raz wysłany, nie należy już do mnie, wobec czego również i ten kurz do

mnie już nie należy. Załatwione, skończone – takie było znaczenie gestu, który sobie wyobraziłem.

Niemniej jednak nie wrzuciłem listu, tylko stałem tak jak wcześniej, uginając się pod jego brzemieniem i spode łba przyglądając się dwu dziewczynkom, które bawiły się obok na chodniku: na zmianę toczyły tęczową kulę, celując w dołek wydrażony w ziemi tuż przy krawężniku.

Wybrałem młodszą z nich, delikatną, drobniutką, ciemnowłosą istotę, ubraną w kraciatą sukienkę (dziwne, że nie było jej zimno w ten srogi lutowy dzień) i gładząc ją po włosach, powiedziałem:

– Posłuchaj dziecko, niedowidzę i boję się, że nie trafię w otwór, wrzucić, proszę, mój list do skrzynki – o, tam.

Spojrzała na mnie, podniosła się z kucek – miała drobną przeświecającą bladą twarzyczkę rzadkiej urody – wzięła list, zatrzepotałszy długimi rzęsami, posłała mi boski uśmiech i pobiegła do skrzynki. Nie zaczekałem, żeby zobaczyć resztę, przeszedłem ulicę, mrużąc oczy (trzeba to podkreślić) jak gdybym rzeczywiście nie najlepiej widział: sztuka dla sztuki, bo nikogo obok nie było.

Na następnym rogu wszedłem do szklanej budki telefonicznej i zadzwoniłem do Ardaliona: trzeba było coś z nim zrobić, dawno już stwierdziłem, że ten wścibiński portrecista to jedyny człowiek, którego powinienem się obawiać. Niech psychologowie rozstrzygną kwestię, czy to udawana krótkowzroczność przez analogię podpowiedziała mi, że powinienem niezwłocznie uczynić to, co od dawna w odniesieniu do Ardaliona planowałem, czy też może odwrotnie: nieustanne przypominanie sobie jego niebezpiecznych oczu popchnęło mnie do udawania krótkowzroczności.

Ale nawiasem mówiąc, żeby nie zapomnieć: kiedy wyrośnie – ta dziewczynka – będzie bardzo ładna i prawdopodobnie szczęśliwa i nigdy się nie dowie, w jak niesamowitym przedsięwzięciu wzięła udział jako pośredniczka.



Jest zresztą jeszcze inna możliwość: los, który nie znosi takiego ślepego i naiwnego pośrednictwa, zawistny los ze swoim ogromnym doświadczeniem, znający tyle oszukańczych sztuczek i nienawidzący konkurencji, może za wchodzenie w jego kompetencje okrutnie ukarać tę małą, a ona będzie się dziwić: „Cóż ja takiego zrobiłam, że jestem tak bardzo nieszczęśliwa” – i nigdy, nigdy, nigdy nie zrozumie. Moje sumienie jednak jest czyste. To nie ja napisałem do Feliksa, tylko on do mnie, nie ja wysłałem mu odpowiedź, tylko anonimowe dziecko.

Kiedy dotarłem do kolejnego celu, jaki sobie wyznaczyłem, milej kawiarenki, przed którą na skwerku, letnimi wieczorami, strumieniami zmieniającej kolor wody tryskała fontanna, sprytnie podświetlona od spodu wielobarwnymi reflektorami (teraz jednak skwer był nagi i ponury, nie migotał żaden wodotrysk, a grube kotary w kawiarni cieszyły się ze zwycięstwa w walce klasowej z włóczącymi się tu i tam przeciągami... z jaką werwą piszę, co więcej – jaki jestem zimnokrwisty i spokojny, jak doskonale panuję nad sobą); kiedy, jak już mówiłem, dotarłem do kawiarni, Ardalion już tam siedział, ujrawszy mnie na rzymski sposób uniósł rękę. Zdjąłem rękawiczki, kapelusz, biały jedwabny szalik, usiadłem koło niego i rzuciłem na stolik pudełko drogich papierosów.

– Jakie to dobre nowiny dziś mamy? – spytał Ardalion, który zawsze rozmawiał ze mną w szczególny, głupkowaty sposób.

Zamówiłem kawę i zacząłem mniej więcej następująco:

– No cóż – istotnie mam dla pana nowiny. Ostatnio, przyjacielu, dręczy mnie świadomość, że schodzi pan na psy. Artysta nie może żyć bez miłosnych kaprysów ani bez cyprysów, jak gdzieś powiedział albo powinien był powiedzieć Puszkina. Z powodu niedostatku, którego pan doświadcza, i ogólnego zaduchu w pana życiu pański talent ginie, by tak rzec, usycha, nie tryska, tak jak ta kolorowa fontanna na skwerze nie tryska w zimie.

- Dzięki za porównanie - powiedział Ardalion, wyglądał przy tym na urażonego. - To okropieństwo... karmelkowa iluminacja. Wolałbym nie rozmawiać o moim talencie, bo zna się pan na sztuce, jak kastrat na... (tu następowało nieprzyzwoite porównanie, w którym nie było mowy o śpiewie).

- Rozmawialiśmy często z Lidia - ciągnąłem, nie zwracając uwagi na jego wulgarną uwagę - o pańskiej sytuacji. Myślę, że powinien pan zmienić otoczenie, odświeżyć umysł, nasiąknąć nowymi wrażeniami.

Ardalion skrzywił się.

- Co ma wspólnego otoczenie ze sztuką? - mruknął.

- Niemniej jednak to, w którym przebywa pan obecnie, wpływa na pana jak najgorzej, ma więc jednak chyba coś wspólnego. Te róże i gruszki, którymi przyozdabia pan pokój swojej gospodyni, te portrety szanowanych obywateli, do których domów stara się pan wkraść na kolację...

- Doprawdy... wkraść się!

- Może to wszystko jest świetne, nawet genialne, ale - proszę wybaczyć mi szczerść - czy nie uważa pan, że również dość monotonne i wymuszone? Powinien pan zmienić klimat na znacznie bardziej słoneczny: słońce to przyjaciel malarzy. Widzę jednak, że ten temat pana nie interesuje. Porozmawiajmy o czymś innym. Proszę mi na przykład powiedzieć, jak się przedstawia sprawa pańskiej działki.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Przysyłają mi ciągle jakieś listy po niemiecku. Poprosiłbym pana o przekład, ale śmiertelnie mnie to nudzi... A poza tym... albo je gubię, albo zaraz drę. Jeśli dobrze rozumiem, domagają się dodatkowych opłat. Następnego lata zbuduję tam domek, ot co. Ciekaw jestem, czy uda im się wyciągnąć ziemię spod niego. Ale była mowa, mój drogi, o zmianie klimatu. Wal pan dalej, słucham.

– Ach, nie ma sensu, to pana nie interesuje. Mówię rozsądnie, a pana to drażni.

– Boże broń, dlaczegoż miałoby mnie drażnić. Wprost przeciwnie...

– Nie, to nie ma sensu.

– Wspomniał pan coś o Włoszech, przyjacielu. Dalej, naprzód. Temat jest w porządku.

– Właściwie to jeszcze o nich nie wspomniałem – powiedziałem ze śmiechem. – Ale skoro pan wypowiedział to słowo... Nawiasem mówiąc, bardzo tu przytulnie, prawda? Chodzą słuchy, że przestał pan... – i uderzając się kilkakrotnie dłonią w szyję, wydałem dźwięk bulgotania płynu wylewającego się z szyjki butelki.

– Tak. Zerwałem z piciem zupełnie. Co nie znaczy, że odmówiłbym teraz jednego. Chodziłoby o obalenie flaszki z przyjacielem, jeśli wie pan, co mam na myśli. Nie, nie, tylko żartowałem...

– Tym lepiej, bo nic by z tego nie wyszło, nie sposób mnie upić. Więc tak się rzeczy mają. Uaa, ależ źle dzisiaj spałem! Uaa... och! Okropna ta bezsenność – ciągnąłem, patrząc na niego przez łyż. – Och... Przepraszam, że tak ziewam.

Ardalion, uśmiechając się w zadumie, bawił się łyżeczką. Jego tłusta twarz z lwią nasadą nosa była pochylona, powieki – czerwone brodawki zamiast rzęs – na wpół zakrywały odrażająco jasne oczy. Nagle błysnął w moim kierunku spojrzeniem i powiedział:

– Jeśli pojedę do Włoch, namaluję kilka naprawdę pysznych rzeczy. Pieniądze, które uzyskam z ich sprzedaży, pójdą natychmiast na spłacenie długu.

– Długu? Ma pan długi? – spytałem kpiąco.

– Dostyc już, Hermannie Karłowiczu – powiedział, chyba po raz pierwszy używając w rozmowie ze mną mojego imienia i otczestwa. –

Doskonale pan rozumie, do czego zmierzam. Proszę mi pożyczyć dwieście pięćdziesiąt marek, albo lepiej niech to będą dolary, a będę się modlił za pana we wszystkich kościołach Florencji.

– Na razie proszę wziąć to, na opłacenie wizy – powiedziałem, otwierając portfel. – Ma pan pewnie jeden z tych Nansen-sownych paszportów, a nie porządny niemiecki, jakim legitymują się wszyscy przyzwoici ludzie. Proszę iść po wizę natychmiast, bo inaczej przepije pan ten zadatek.

– Uściśnijmy sobie dłonie, starenia – powiedział Ardalion.

Przez chwilę obaj milczeliśmy – on, ponieważ przepelniały go uczucia, które niewiele mnie obchodziły, a ja, ponieważ sprawa była załatwiona, więc o czym tu mówić.

– Mam kapitalny pomysł – zawołał nagle Ardalion. – Czemu by pan, mój drogi, nie miał puścić ze mną Lidki, diabelnie tu nudno, taka kobietka potrzebuje atrakcji. A gdybym pojechał sam... Wie pan, to zazdrośnica... ciągle będzie się jej wydawać, że się gdzieś uchlewam. Poważnie, proszę jej pozwolić wyjechać ze mną, na miesiąc, co?

– Może dojedzie później. Może przyjedziemy oboje. Dawno, znużony rab, z myślą, by zbiec, się noszę, gdzieś do dalekiego kraju sztuki i przejrzystych winogron. Dobrze. Muszę już iść. Dwie kawy, to chyba wszystko.

## ROZDZIAŁ VIII

Następnego dnia wczesnym rankiem – nie było jeszcze dziewiątej – udałem się na jedną z głównych stacji metra i tam, u szczytu schodów zająłem pozycję strategiczną. W równych odstępach czasu z przepastnej głębi wyrywała się na powierzchnię nowa partia ludzi z teczkami, ciężko stąpali w górę, powłóczyli nogami i co chwila czubek czyjegoś buta z brzękiem uderzał w metalową reklamę, którą jakaś firma uznała za stosowne umieścić u wylotu schodów. Na drugim stopniu od góry plecami do ściany, z kapeluszem w ręku (jaki żebracki geniusz użył pierwszy kapelusza w działalności zawodowej?) stał, garbiąc się możliwie najniższej, stary oberwaniec. Wyżej zrobili sobie zbiórkę cali obwieszeni plakatami gazeciarze w błazeńskich czapeczkach. Był mroczny, brzydki dzień, mimo że włożyłem getry, stopy zdrętwiały mi z zimna. Zastanawiałem się, czy zmarzłyby mniej, gdybym nie nadał butom takiego eleganckiego blasku: przelotna myśl, powrotna myśl. Wreszcie, punktualnie za pięć dziewiąta, tak jak przypuszczałem, z głębi wynurzyła się postać Orloviusa. Natychmiast odwróciłem się i zacząłem powoli wychodzić. Orlovius wyprzedził mnie, obejrzał się i wyszczerzył piękne, ale sztuczne zęby. Nasze spotkanie, na czym mi zależało, wydawało się przypadkowe.

– Tak, w pana stronę – odpowiedziałem na jego pytanie. – Chcę wpaść do banku.

– Psia pogoda – powiedział Orlovius, człapiąc obok mnie. – Jak się czuje małżonka. Bardzo dobrze?

– Dziękuję, wszystko w porządku.

– A co u pana. Nie najlepiej? – pytał dalej uprzejmie.

– Nie, nie najlepiej. Nerwy, bezsenność. Głupstwa, które dawniej by mnie bawiły, teraz mnie drażnią.

– Niech pan je cytryny – wtrącił Orlovius.

– ...które dawniej by mnie bawiły, teraz mnie drażnią. Na przykład...

Zaśmiałem się cicho i wyjąłem portfel.

– Dostałem ten idiotyczny list – jakieś pogrożki, szantaż – i zdenerwowało mnie to. Jeśli pan chce, proszę przeczytać, bardzo dziwny.

Orlovius przystanął i przyjrzał mu się z bardzo bliskiej odległości. Kiedy czytał, patrzyłem na wystawę sklepową, przy której zatrzymaliśmy się: pompatycznie i głupio połyskiwały tu białą dwie wanny i inne sprzęty łazienkowe; na następnej wystawie widniały trumny – i tutaj wszystko wyglądało pompatycznie i kretyńsko.

– Fuu – odezwał się Orlovius. – Czy wie pan, kto to napisał?

Włożyłem list z powrotem do portfela i odpowiedziałem ze śmiechem:

– Oczywiście, że wiem. Typ spod ciemnej gwiazdy. Służył kiedyś u mojego dalekiego krewnego. Nienormalny, by nie powiedzieć po prostu: wariat. Wbił sobie do głowy, że moja rodzina pozbawiła go jakiegoś spadku, wie pan, jak to jest – idée fixe, której nic nie może zachwiać.

Orlovius wyjaśnił mi z licznymi szczegółami, jakim niebezpieczeństwem są dla społeczeństwa szaleńcy, a potem spytał, czy zamierzam zawiadomić policję.

Wzruszyłem ramionami:

– Bzdura... Nie warto o tym mówić... Co pan sądzi o przemówieniu kanclerza, czytał pan?

Nadal szliśmy obok siebie, spokojnie rozmawiając o polityce zagranicznej i wewnętrznej. Przed drzwiami jego biura zacząłem zdejmować – jak wymagają tego rosyjskie zasady dobrego wychowania – rękawiczkę z dłoni, którą miałem do niego wyciągnąć.

– Niedobrze, że jest pan taki nerwowy – powiedział Orlovius. – Bardzo proszę kłaniać się ode mnie żonie.

– Na pewno to zrobię. Tylko że, wie pan, zazdrozczę panu stanu kawalerskiego.

– Czemu?

– Tak to jest. Przykro mi o tym mówić, ale, wie pan, moje życie małżeńskie nie układa się dobrze. Moja żona serce ma niestałe i... no coż, interesuje się innym mężczyzną. Tak, zimna i płocha, tak bym powiedział, nie przypuszczam, żeby długo rozpacziała, gdybym... tego... wie pan, co mam na myśli. Proszę mi wybaczyć, że odsłaniam tak intymne kłopoty.

– Pewne rzeczy od dawna obserwuję – powiedział Orlovius, kiwając głową z głęboką zadumą i smutkiem.

Uścisnąłem jego wełnianą łapę i rozstaliśmy się. Wszystko zagrało wspaniale. Takie ptaszki, jak Orlovius, wyjątkowo łatwo dają się wodzić za dziób, jako że połączenie przyzwoitości i sentymentalizmu równa się głupocie. Gotów współczuć każdemu, nie tylko natychmiast wziął stronę szlachetnego kochającego męża, kiedy oczerniłem swoją przykładną żonę, ale nawet sam z siebie stwierdził, że jak to ujął, „od dawna obserwuje” to i owo. Dużo dałym, żeby wiedzieć, co ten ślepawy orzeł mógł wyśledzić na bezchmurnym błękanie naszego małżeństwa. Tak, wszystko zagrało wspaniale. Byłem zadowolony. A byłbym jeszcze bardziej kontent, gdyby nie pewne kłopoty ze zdobyciem włoskiej wizy.

Z pomocą Lidii Ardalion wypełnił formularze, po czym dowiedział się, że wiza może zostać przyznana najwcześniej za dwa tygodnie (do 9 marca miałem około miesiąca, w najgorszym razie

mogłem napisać do Feliksa, zmieniając datę). Wreszcie pod koniec lutego Ardalion otrzymał wizę i kupił sobie bilet. Dałem mu jeszcze tysiąc marek, powinny mu wystarczyć, miałem nadzieję, na dwa-trzy miesiące. Ustalił, że wyjedzie 1 marca, nagle jednak wyszło na jaw, że pożyczył całą sumę jakiemuś znajdującemu się w rozpaczliwej sytuacji przyjacielowi i musiał teraz czekać na zwrot pieniędzy. Dość tajemnicza historia, oględnie mówiąc. Ardalion utrzymywał, że była to „sprawa honoru”. Ja zaś zawsze miałem sceptyczny stosunek do mglistych kwestii, w które zamieszany jest honor, i to – proszę zwrócić uwagę – bynajmniej nie honor samego łachmaniarskiego pożyczkodawcy, ale zawsze honor kogoś trzeciego czy czwartego, którego imienia się nie ujawnia. Ardalion (cały czas trzymam się jego wersji) musiał pożyczyć pieniądze, zagadkowa osoba przysięgła, że odda je w ciągu trzech dni: termin powszechnie przyjęty u tych potomków feudałów. Po jego upływie Ardalion ruszył na poszukiwanie swego dłużnika i, naturalnie, nie mógł go nigdzie znaleźć. Z lodowatą wściekłością, zażądałem jego nazwiska. Ardalion najpierw próbował uchylić się od odpowiedzi, potem jednak rzekł: „Och, pamięta pan, to ten gość, co był raz u pana”. To zupełnie wyprowadziło mnie z równowagi.

Odzyskawszy spokój, prawdopodobnie znowu otworzyłbym portfel, gdyby sprawy nie komplikował niejaki niedostatek pieniędzy, było absolutnie konieczne, żebym miał pewną sumę przy sobie. Powiedziałem mu, żeby mimo wszystko jechał – z biletem i paroma markami w kieszeni. Resztę miałem mu dosłać później. Powiedział, że tak też uczyni, przesunął tylko wyjazd o kilka dni na wypadek, gdyby pieniądze można było jeszcze odzyskać. I rzeczywiście, 3 marca zadzwonił i dość zdawkowo oznajmił, że mu je oddano i że rusza następnego wieczora. 4 marca okazało się, że Lidia, której nie wiedzieć czemu Ardalion dał bilet na przechowanie, nie może sobie przypomnieć, gdzie go włożyła. Ponury Ardalion przycupnął na taborecie w przedpokoju: „Nic się nie da zrobić – powtarzał pod nosem. – Los tego nie chce”. Z sąsiednich pokoi dobiegały stuki



szuflad i gorączkowe szelesty papieru: to Lidia tropiła bilet. Godzinę później Ardalion skapitulował i poszedł do domu. Lidia usiadła na łóżku i zaczęła ryczeć. 5 marca znalazła bilet w koszu brudnej bielizny, który czekał na odniesienie do pralni, a 6 marca poszliśmy odprowadzić Ardaliona.

Pociąg odjeżdżał o 10.10. Dłuższa wskazówka zegara wystawiała zdobycz jak seter, potem rzucała się na upragnioną minutę i natychmiast zaczajała się na następną. Ardaliona ciągle nie było. Staliśmy przy wagonie z tabliczką „Mediolan”.

– Co się mogło stać – denerwowała się Lidia. – Czemu nie przychodzi? Niepokoję się.

Całe to groteskowe zamieszanie z wyjazdem Ardaliona rozdrażniło mnie do tego stopnia, że bałem się teraz rozluźnić zaciśnięte zęby, żeby nie dostać tam na miejscu, na peronie ataku szału albo czegoś podobnego. Podeszło do nas dwóch plugawo wyglądających osobników, jeden paradował w niebieskim makintoshu, drugi nosił wyglądające na rosyjskie palto ze zjedzonym przez mole karakułowym kołnierzem. Podeszli i zignorowawszy mnie, wylewnie przywitali się z Lidia.

– Czemu go nie ma? Co się stało, jak myślicie? – spytała Lidia, patrząc na nich wystraszonymi oczyma i trzymając w pewnej odległości od siebie bukietek fiołków, który uznała za stosowne kupić dla tego bydlaka. Niebieski makintosh rozłożył ręce, a futrzany kołnierz powiedział basem:

– *Nescimus*. Nie wiemy.

Poczułem, że dłużej nie jestem w stanie nad sobą panować, odwróciłem się gwałtownie i ruszyłem do wyjścia. Lidia pobiegła za mną:

– Dokąd idziesz, poczekaj, na pewno zaraz...

W tym momencie w oddali pojawił się Ardalion. Podtrzymywał go za łokieć obdartus o ponurej twarzy, niósł też jego walizkę. Ardalion był tak pijany, że ledwie trzymał się na nogach, od obdartusa także zalatywało alkoholem.

– W takim stanie nie może jechać – krzyczała Lidia.

Bardzo czerwony na twarzy, bardzo spocony, zagubiony, z płaczącymi się nogami, ale bez płaszcza (niejasne rachuby na ciepło południa), Ardalion rozpoczął rundkę śliniących się uścisków. Ledwie udało mi się wywinąć.

– Pieriebrodow, artysta – wycedził jego ponury towarzysz, z pewnością siebie, jak gdyby trzymał brudną widokówkę, wyciągając w moją stronę absolutnie nie nadającą się do uściśnięcia rękę. – Miałem przyjemność poznać pana w jaskiniach gry w Kairze.

– Hermann, zrób coś! Nie można pozwolić mu jechać w tym stanie – jęczała Lidia, ciągnąc mnie za rękaw.

Tymczasem zamykano już drzwi wagonów. Ardalion, zataczając się i wydając błagalne okrzyki rzucił się za wózkiem sprzedawcy kanapek i alkoholi, ale powstrzymały go ramiona przyjaciół. Ni stąd, ni zowąd chwycił w objęcia Lidie i zaczął ją okrywać soczystymi pocałunkami.

– Ech, ty, napalona dziecinko – zagruchał – do widzenia, dziecinko, dzięki, dziecinko...

– Panowie – powiedziałem, zachowując całkowity spokój – czy bylibyście łaskawi pomóc mi wsadzić go do wagonu?

Pociąg ruszył i popłynął. Promieniejący i wrzeszczący coś Ardalion omal nie wypadł przez okno. Lidia, jagniątko w lamparcim futerku, biegła za wagonem prawie do samej Szwajcarii. Kiedy ostatni wagon odwrócił się do niej buforami, pochyliła się nisko, spojrzała pod uchodzące koła (ludowy przesąd) i przeżegnała się. Trzymała ciągle w dłoni bukietik fiołków.

Co za ulga... Westchnąłem głęboko i głośno wypuściłem powietrze. Przez cały dzień Lidia w milczeniu denerwowała się i niepokoiła, ale w końcu przyszedł telegram – dwa słowa: „Hej-hejhej zpodróży”. To ją uspokoiło. Musiałem teraz przystąpić do najnudniejszej części swojego zadania: porozmawiać z nią i poinstruować.

Nie pomnę, jak zacząłem: moja pamięć się włącza, kiedy rozmowa jest już w pełnym toku. Widzę Lidię siedzącą na kanapie i patrzącą na mnie w niemym zdumieniu. Widzę siebie samego siedzącego naprzeciw na krześle i od czasu do czasu jak lekarz dotykającego jej nadgarstka. Słyszę swój jednostajny głos, który mówi i mówi. Najpierw powiedziałem jej coś, czego, jak okazało się, nie mówiłem jeszcze nigdy i nikomu. Opowiedziałem jej o swoim młodszym bracie. Studiował w Niemczech, kiedy wybuchła wojna, powołano go do wojska i walczył przeciwko Rosjanom. Pamiętam go jako cichego, melancholijnego chłopaka. Rodzice mnie bili, a jego rozpieszczali, nie okazywał im jednak ani odrobiny uczucia, za to mnie darzył niewiarygodnym, więcej niż braterskim uwielbieniem, wszędzie za mną chodził, patrzył mi w oczy, kochał wszystko, co miało ze mną fizyczny kontakt, lubił wachać moją chusteczkę do nosa, wkładać jeszcze rozgrzane ciepłem mojego ciała koszule, myć zęby moją szczoteczką. Długo spaliśmy w jednym łóżku, na waleta, dopóki nie odkryto, że nie może zasnąć nie posiadawszy wielkiego palca u mojej nogi, kiedy wyszło to na jaw, posłano mi na materacu w lamusie, ale ponieważ chciał się koniecznie zamieniać ze mną na miejsca w środku nocy, nigdy nie wiedzieliśmy, nie wiedziała też tego mamusia, kto gdzie śpi. Nie była to z jego strony żadna perwersja – bynajmniej – tylko najlepszy sposób wyrażenia naszej nieopisanej jedności, byliśmy bowiem do siebie tak bardzo podobni, że nawet najbliżsi krewni mylili nas ze sobą, a w miarę upływu lat, podobieństwo to stawało się coraz pełniejsze. Pamiętam, że kiedy odprowadzałem go na pociąg do Niemiec (było to na krótko przed strzałem Gawriły Principa) biedaczysko płakał tak strasznie, jakby

przeczuwał, że nasze rozstanie będzie długie i okrutne. Ludzie na peronie gapili się na nas, na tych dwóch identycznych chłopców, którzy stali trzymając się za ręce i patrzyli sobie w oczy z jakimś smutnym zachwytem...

Potem wybuchła wojna. Schnąc w dalekiej niewoli, nie miałem żadnych wieści o bracie, ale nie wiedzieć czemu byłem przekonany, że poległ. Duszne lata, żałobne lata. Nauczyłem się o nim nie myśleć i nawet później, kiedy już się ożeniłem, nic nie powiedziałem o nim Lidii – wszystko to było zbyt przykre.

Potem, wkrótce po moim przyjeździe z żoną do Niemiec, pewien kuzyn (pojawił się tylko mimochodem, by wygłosić jedną linijkę tekstu) zawiadomił mnie, że Feliks żyje, ale moralnie zginął. Nigdy nie dowiedziałem się, jakiej właściwie katastrofie uległa jego dusza,.. Zapewne jego delikatna psychika nie wytrzymała ciśnienia wojny, a myśl, że mnie już nie ma (bo, co dziwne, on też był przekonany o śmierci brata), że nigdy już nie zobaczy swego uwielbianego sobowtóra, czy raczej najlepszego wydania swojej własnej osoby, myśl ta okaleczyła jego umysł – wydawało mu się, że stracił punkt oparcia i cel wszelkich dążeń i że wobec tego może żyć byle jak. I stoczył się. Ten człowiek o delikatnym wnętrzu jakiegoś instrumentu muzycznego stał się złodziejem i fałszerzem, brał narkotyki, a w końcu popełnił morderstwo: otruił kobietę, która go utrzymywała. Dowiedziałem się o tym od niego samego, nie był nawet podejrzany, tak sprytnie zdołał ukryć swoją zbrodnię. Co się tyczy mojego spotkania z nim... cóż, doszło do niego przypadkiem, było to niespodziewane i bardzo bolesne spotkanie (jednym z jego następstw stała się ta przemiana we mnie, to załamanie, które nawet Lidia zauważyła), natknąłem się na niego w pewnej kawiarni w Pradze: ujrzawszy mnie, pamiętam, wstał, otworzył ramiona i upadł, tracąc przytomność; w głębokim omdleniu pozostawał przez osiemnaście minut.

Tak, strasznie bolesne. Ospały, marzycielski, czuły chłopiec zmienił się w gadatliwego szaleńca o gwałtownych, konwulsyjnych ruchach. Szczęście, jakiego doznał połączywszy się znowu ze mną, kochanym starym Hermannem, który nagle, ubrany w elegancki szary garnitur wstał z martwych, nie tylko nie uśpiło jego wyrzutów, ale przeciwnie – przekonało go o absolutnej niemożności dalszego życia z morderstwem na sumieniu. Odbyliśmy budzącą przerażenie rozmowę, okrywał moje ręce pocałunkami i żegnał się ze mną. Nawet kelnerzy płakali.

Bardzo szybko zorientowałem się, że żadna ludzka siła nie jest w stanie zmienić powziętej przezeń decyzji popełnienia samobójstwa, nawet ja nie mogłem tu nic zrobić, ja, który zawsze miałem na niego taki wpływ. Przeżyłem okropne chwile. Stawiając się na jego miejscu, zdołałem zrozumieć, jaką wyrafinowaną torturę zadaje mu własna pamięć, i uświadomiłem sobie, że śmierć jest dla niego niestety jedynym wyjściem. Nie daj Bóg nikomu przechodzić taką próbę, nie daj Bóg widzieć, jak własny brat ginie i nie mieć moralnego prawa do odwrócenia straszliwego losu.

Do tego dochodzi jednak pewna komplikacja: jego dusza, w której niepoślednią rolę odgrywa pierwiastek mistyczny, pragnie jakiejś pokuty, jakiejś ofiary – niewystarczające wydaje mu się zwyczajne władowanie kuli w mózg.

– Chcę komuś zrobić ze swojej śmierci podarunek – powiedział nagle, a jego oczy rozbłysły diamentowym blaskiem szaleństwa. – Zrobić ze swojej śmierci podarunek. My dwaj jesteśmy jeszcze bardziej podobni do siebie niż dawniej. W naszym podobieństwie czuję Boski plan. Położyć dłonie na klawiaturze to nie to samo, co wydobyć z fortepianu muzykę, a ja pragnę muzyki. Powiedz mi, czy gdybym zniknął z powierzchni ziemi, mogłoby ci to przynieść jakąś korzyść?

W pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na jego pytanie: zdawało mi się, że Feliks bredzi, a cygańska orkiestra w kawiarni

zagłuszała niektóre jego słowa; to, co mówił dalej, dowodziło jednak, że ułożył sobie pewien plan. Tak jest! Z jednej strony otchłań cierpiącej męki duszy, z drugiej – perspektywy handlowe. W niesamowitym świetle jego tragicznego losu i spóźnionego bohaterstwa część jego planu, odnosząca się do mnie, mojej korzyści, mojego dobrobytu, wydawała się tak głupia i pozbawiona wyobraźni, jak – powiedzmy – otwarcie linii kolejowej podczas trzęsienia ziemi.

Doszedłszy do tego punktu opowieści, zamilkłem, oparłem się o oparcie krzesła, złożyłem ręce i bacznie wpatrywałem się w Lidie. Zsunęła się jak gdyby z kanapy na dywan, przyczołgała na kolanach do mnie, przycisnęła mi głowę do uda i stłumionym głosem zaczęła mnie pocieszać:

– Jakiś ty biedny – mamrotała. – Tak mi żal ciebie i twojego brata... Boże mój, jakże nieszczęśliwi ludzie są na świecie! On nie może umrzeć, każdego można ocalić.

– Jego ocalić się nie da – powiedziałem z tym, co, jak sądzę, nazywa się gorzkim uśmiechem. – Zdecydowany jest umrzeć w dniu swoich urodzin, 9 marca, to znaczy pojutrze i nawet sam prezydent nie mógłby mu w tym przeszkodzić. Samobójstwo jest najgorszą postacią pobłażania samemu sobie. Można jedynie zgodzić się na kaprys męczennika i rozjaśnić jego ostatnie chwile, pozwalając mu wierzyć, że spełnia dobry uczynek i że umierając przynosi pożytek – wprawdzie ordynarny pożytek materialny, ale zawsze pożytek; nic więcej zrobić się nie da.

Lidia objęła moją nogę i spojrzała na mnie.

– Ma następujący plan – ciągnąłem łagodnym głosem – jestem ubezpieczony na życie, mam polisę na, powiedzmy, pół miliona. Gdzieś, w jakimś lesie zostaje znalezione moje ciało. Wdowa po mnie, to znaczy ty...

– Och, nie mów takich strasznych rzeczy – zawołała Lidia, gramoląc się z dywanu. – Czytałam właśnie gdzieś taką historię. Proszę cię, przestań...

– ...Wdowa po mnie, to znaczy ty, podejmuje pieniądze. Potem wyjeżdża, znajduje sobie jakieś zaciszne miejsce za granicą. Po jakimś czasie pod fałszywym nazwiskiem przyłączam się do niej i może nawet się z nią żenię, jeśli jest grzeczna. Bo widzisz, moje prawdziwe nazwisko umrze razem z moim bratem. Jesteśmy do siebie podobni, nie przerywaj mi, jak dwie krople krwi, a po śmierci on będzie zupełnie taki sam, jak ja.

– Przestań, przestań! Nie wierzę, że nie można go jakoś uratować... Och, Hermann, jakie to okropne...! Gdzie on teraz jest – tu w Berlinie?

– Nie, w innej części kraju. Powtarzasz jak głupia: uratować, uratować... Zapominasz, że jest mordercą i mistykiem. Co do mnie, nie mam prawa odmówić mu drobnej przysługi, która rozjaśni i ozdobi jego śmierć. Musisz zrozumieć, że wkraczamy tutaj w jakieś wyższe, duchowe obszary. Co innego, gdybym ci powiedział: „Słuchaj, staruszek, interesy nie idą dobrze, stoję w obliczu bankructwa, a poza tym mam dosyć wszystkiego i tęsknię do odległej krainy, gdzie oddam się kontemplacji i hodowli drobiu, więc skorzystajmy z tej wyjątkowej szansy!” Ja jednak nie mówię nic takiego, jakkolwiek istotnie jestem na krawędzi ruiny i od dawna, jak dobrze wiesz, marzę o życiu na łonie natury. Mówię inaczej, mianowicie: niezależnie od tego, jakie to trudne i straszne, nie wolno odmówić własnemu bratu spełnienia jego ostatniej prośby, nie wolno przeszkadzać mu w uczynieniu czegoś dobrego – choćby to miało być pośmiertne dobro.

Lidia zatrzepotała powiekami – całkiem ją zaplułem – ale pomimo potoków mojej wymowy, przytuliła się do mnie, mocno mnie obejmując. Oboje siedzieliśmy teraz na kanapie, mówiłem dalej:

– Taka odmowa byłaby grzechem. Nie chcę tego. Nie chcę obciążać swojego sumienia tak ciężkim grzechem. Myślisz, że mu się nie sprzeciwiałem, że nie próbowałem z nim dyskutować? Myślisz, że łatwo mi przyszło przyjąć jego propozycję? Myślisz, że mogłem przez te wszystkie noce spokojnie spać? Wiedz, moja droga, że od zeszłego roku strasznie cierpię, najlepszemu przyjacielowi nie życzyłbym tego. Rzeczywiście, bardzo mi zależy na pieniądzach z ubezpieczenia! Ale jak mam odmówić, no powiedz, jak mam pozbawić go ostatniej radości – niech to diabli, o czym tu gadać?!

Odsunąłem ją, niemal zrzuciłem z kanapy i zacząłem przechadzać się po pokoju. Połykałem łzy, z gardła wyrywało mi się łkanie. Zatańczyły cienie krwawego melodramatu.

– Jesteś milion razy mądrzejszy ode mnie – na wpół wyszeptała Lidia, załamując ręce (tak, czytelniku, *dixi*, załamując ręce) – ale to wszystko jest takie straszne, takie niespodziewane, myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach... To przecież znaczy, że... och, wszystko się zmieni – całkowicie. Całe nasze życie! Przecież... Co na przykład będzie z Ardalionem?

– Do diabła z nim, do diabła! Mówimy tu o wielkiej ludzkiej tragedii, a ty wyjeżdżasz z...

– Nie, tylko tak spytałam. Oszołomiłeś mnie, aż mi się kręci w głowie. Myślę, że – nie teraz, tylko potem – będzie można się z nim zobaczyć i wszystko wyjaśnić... jak uważasz, Hermann?

– Przestań martwić się głupstwami. Przyszłość to wszystko rozwiąże. Niech mnie kule biją (mój głos nagle przeszedł w przenikliwy krzyk), straszna z ciebie idiotka!

Wybuchnęła płaczem, zrobiła się nagle ustępliwą, miękką istotą, dygoczącą na mojej piersi:

– Wybacz mi – mówiła drżącym głosem – wybacz mi, proszę. Masz rację, jestem głupia, wybacz mi! – To przez to okropne wydarzenie. Jeszcze dziś rano wszystko wydawało się takie dobre,



jasne, zwyczajne. Kochany mój, tak mi cię żal. Zrobię wszystko, co zechcesz.

– W tej chwili chcę kawy, konam z pragnienia.

– Chodźmy do kuchni – powiedziała, ocierając łzy. – Zrobię wszystko. Tylko zostań ze mną, boję się.

W kuchni, już uspokojona, chociaż ciągle trochę pociągając nosem, wrzuciła duże brązowe ziarna kawy w otwarty dziób młynka, ścisnęła go między kolanami i zaczęła obracać korbką. Początkowo szło ciężko, z trzaskiem i chrzęstem, ale po chwili nastąpiło rozluźnienie.

– Wyobraź sobie, Lidia – powiedziałem, siadając przy stole i majtając nogami – wyobraź sobie, że wszystko, co ci opowiadam, to wymysł, fikcja. Wiesz, całkiem serio wmawiałem sobie, że to wszystko wymyśliłem albo gdzieś przeczytałem, to był jedyny sposób, żeby nie zwariować ze zgrozy. Posłuchaj tylko: bohaterami są przedsiębiorczy samobójca i jego ubezpieczony na życie sobowtór. Widzisz, towarzystwo ubezpieczeniowe nie ma obowiązku płacić w przypadku samobójstwa...

– Zrobiłam bardzo mocną – powiedziała Lidia. – Będzie ci smakować. Tak, kochanie, słucham.

– ...bohater tego taniego kryminału ma następujące wymagania: cała rzecz musi być zainscenizowana w taki sposób, żeby sprawiała wrażenie zwyczajnego morderstwa. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły techniczne, ale w skrócie ma to wyglądać tak: pistolet będzie przymocowany do pnia drzewa, do cyngla przywiąże się sznurek, samobójca odwracając się pociąga za sznurek i dostaje kulę w plecy. Tak to się przedstawia w ogólnym zarysie.

– Czekaj – zawołała Lidia – coś sobie przypominam: facet przymocował jakoś pistolet do mostu... Nie, źle mówię: najpierw obwiązał sznurkiem kamień.., zaraz, jak to było? O, już mam: z jednej strony sznurka umieścił duży kamień, a z drugiej pistolet, a

potem się zastrzelił. I kamień wpadł do wody, i sznurek przez poręcz za nim, i potem pistolet – wszystko wleciało do wody. Tylko nie pamiętam, do czego to było potrzebne.

– Krótko mówiąc: gładka powierzchnia wody i trup na moście. Kawa to świetny wynalazek! Strasznie łupało mnie w głowie, teraz już dużo lepiej. Czyli jest to dla ciebie mniej więcej jasne, to znaczy, w jaki sposób się to odbędzie.

Piłem drobnymi łyżkami ognistą kawę i myślałem. Ciekawe, nawet za grosz wyobraźni. Za kilka dni życie się odmieni – wszystko stanie na głowie... no, po prostu nastąpi trzęsienie ziemi... a ona spokojnie pije kawę i opowiada mi przygodę Sherlocka Holmesa.

Pomyliłem się jednak: Lidia wzdrygnęła się i powoli odstawiając filiżankę powiedziała:

– Hermann, skoro to ma być tak szybko, to myślę, że powinniśmy zacząć się pakować. A w dodatku, ojej, w pralni jest tyle bielizny. I twój smoking jest w czyszczeniu.

– Po pierwsze, moja droga, nie zależy mi specjalnie na tym, żebym został spalony w stroju wieczorowym, a po drugie, wybij sobie z głowy pomysł, że masz jakoś specjalnie się zachowywać, coś przygotowywać i tak dalej. Nie powinnaś nic robić z tej prostej przyczyny, że o niczym nie wiesz, zupełnie o niczym – zakarbuuj to sobie. Proszę więc: żadnych tajemniczych aluzji w obecności twoich przyjaciół, żadnej krzątaniny, żadnych zakupów – dobrze to sobie zapamiętaj, mamuśka, bo inaczej wpadniemy w kłopoty. Powtarzam: na razie o niczym nie wiesz. Pojutrze twój mąż weźmie samochód, pojedzie na przejażdżkę i nie wróci. Wtedy, dopiero wtedy zaczyna się twoje zadanie. Bardzo odpowiedzialne, chociaż całkiem proste. Teraz słuchaj mnie z łaski swojej z największą uwagą. Dziesiątego rano zadzwonisz do Orloviusa i powiesz mu, że pojechałem, nie spałem w domu i dotąd nie wróciłem. Spytasz go, co masz robić. Postępuj zgodnie z jego radami. W ogóle niech weźmie sprawę w swoje ręce, niech się wszystkim zajmie, poinformowaniem policji i

tak dalej. Ciało znajdą bardzo szybko. Przede wszystkim przekonaj sama siebie, że naprawdę nie żyję. W istocie nie będzie to dalekie od prawdy, bo brat to częśćka mojej duszy.

– Zrobię wszystko – powiedziała – dla ciebie i dla niego. Tylko że strasznie się boję, wszystko miesza mi się w głowie.

– Nie pozwól, żeby się pomieszało. Najważniejsza jest naturalność twojego bólu. Nie musi ci pobielić włosów, ale musi być naturalny. Żeby ci wszystko ułatwić, napomknąłem Orloviusowi, że dawno przestałaś mnie kochać. Niech więc to będzie cichy, powściągliwy smutek. Wzdychaj i milcz. A kiedy zobaczysz moje zwłoki, to znaczy zwłoki człowieka nie do odróżnienia ode mnie, z pewnością będziesz naprawdę wstrząśnięta.

– Oj, Hermann! Nie mogę! Umrę ze strachu.

– Gorzej byłoby, gdybyś w kostnicy przypudrowywała sobie nos. W każdym razie panuj nad sobą. Nie krzycz, bo inaczej po tych krzykach trzeba będzie wzmóc twój ból o kilka stopni, a wiesz przecież, jaką jesteś kiepską aktorką. Idźmy dalej. Polisa i testament są w środkowej szufladzie biurka. Kiedy zgodnie z testamentem moje ciało zostanie spalone, kiedy załatwi się wszystkie formalności, kiedy – przez Orloviusa – dostaniesz należną ci sumę i kiedy zrobisz z pieniędzmi to, co on ci powie, wyjedziesz za granicę, do Paryża. Gdzie się zatrzymasz w Paryżu?

– Nie wiem, Hermann.

– Spróbuj przypomnieć sobie, gdzie mieszkaliśmy, kiedy byliśmy razem w Paryżu. No?

– Tak, już wiem. Hotel.

– Ale jaki hotel?

– Nic nie pamiętam, kiedy tak na mnie patrzysz, Hermann. Mówię ci, że wiem. Hotel coś tam.

– Podpowiem ci: kojarzy się z trawą. Jak jest trawa po francusku?

– Poczekaj chwilę... *herbe*. Już mam: Malherbe.

– Dla pewności, gdybyś znowu zapomniała, możesz zawsze sprawdzić na swoim czarnym kufrze. Jest tam jeszcze nalepka hotelu.

– Słuchaj, Hermann, nie jestem wcale taką straszną oferą. Ale kufer lepiej ze sobą wezmę. Czarny.

– No więc tam właśnie się zatrzymasz. A teraz rzeczy wyjątkowo ważne. Najpierw jednak powtórz to wszystko z łaski swojej.

– Będę smutna. Będę się starała nie płakać za dużo. Orlovius. Dwie czarne suknie i welon.

– Nie śpiesz się tak. Co zrobisz, jak zobaczysz moje ciało?

– Upadnę na kolana. Nie będę krzyczeć.

– Dobrze. Widzisz, jak wszystko ładnie się układa. No, co potem?

– Potem go pochowam.

– Po pierwsze, nie jego, tylko mnie. Postaraj się nie popłatać. Po drugie, to nie będzie zwykły pogrzeb, tylko kremacja. Nikt tu nie potrzebuje być ekshumowany. Orlovius opowie pastorowi o moich cnotach: moralnych, obywatelskich, małżeńskich. Pastor wygłosi w kaplicy krematorium płynącą z głębi serca mowę. Przy dźwiękach muzyki organowej moja trumna powoli zapadnie się w głębie Hadesu. To wszystko. Co potem?

– Potem – Paryż. Nie, zaraz! Najpierw najróżniejsze formalności finansowe. Wiesz, obawiam się, że Orlovius zanudzi mnie na śmierć. Potem, w Paryżu, pójdę do hotelu... wiedziałam, że tak będzie, pomyślałam, że na pewno zapomnę, i zapomniałam. Dręczysz mnie. Hotel... Hotel... O – Malherbe! Na wszelki wypadek – kufer.

– Czarny. Teraz te ważne rzeczy: jak tylko przyjedziesz do Paryża, zawiadomisz mnie o tym. Co mam zrobić, żebyś zapamiętała adres?

– Najlepiej mi go zapisz, Hermann. Mój mózg po prostu nie chce teraz pracować. Strasznie się boję, że wszystko popsuję.

– Nie, moja droga, niczego nie będę zapisywać. Już choćby z tego powodu, że wszelkie zapiski zawsze gubisz. Będiesz musiała zapamiętać ten adres, czy ci się to podoba, czy nie. Nic ma innego sposobu. Raz na zawsze zabraniam ci go zapisywać. Czy to jasne?

– Tak, Hermann, a jeśli nie będę mogła zapamiętać?

– Bzdura. Adres jest bardzo prosty, Urząd pocztowy, Pignan, Francja.

– To tam, gdzie mieszkała ciocia Aleksandra? Rzeczywiście, to łatwe. Ale ona teraz mieszka pod Niceą. Lepiej jedź do Nicei.

– Dobry pomysł, ale nie skorzystam. Teraz nazwisko. Ze względu na prostotę proponuję, żebyś napisała tak: Monsieur Malherbe.

– Jest pewnie równie gruba i pełna życia, jak zawsze. Wiesz, że Ardalion napisał do niej z prośbą o pieniądze, ale oczywiście...

– To na pewno bardzo interesujące, ale rozmawiamy teraz o interesach. Jakie nazwisko napiszesz na kopercie?

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, Hermann!

– Owszem, powiedziałem ci. Zaproponowałem, żeby to był monsieur Malherbe.

– Ale... przecież to ten hotel, nie?

– Otóż to. Właśnie dlatego. Łatwiej zapamiętasz, będzie ci się kojarzyć.

– O, Boże, na pewno zapomnę o tym skojarzeniu, Hermann. Jestem beznadziejna. Proszę, dajmy spokój skojarzeniom. Poza tym robi się strasznie późno, jestem wykończona.

– No to sama wymyśl nazwisko. Takie, które na pewno zapamiętasz. Może na przykład Ardalion?

– Świetnie, Hermann.

– No, czyli to mielibyśmy także załatwione. Monsieur Ardalion. Urząd pocztowy, Pignan. Teraz treść listu. Zaczнеш tak: „Drogi przyjacielu! Słyszałeś z pewnością o mojej bolesnej stracie” – i dalej jakoś podobnie. Wszystkiego parę linijek. List wyślesz osobiście. List wyślesz osobiście. Zapamiętałaś?

– Tak, Hermann.

– Teraz bądź łaskawa powtórzyć.

– Słuchaj, nie wytrzymam tego napięcia, zaraz zemdleję. Boże jedyny, wpół do drugiej. Nie moglibyśmy odłożyć tego do jutra?

– Jutro także będziesz musiała powtarzać. No, dalej, żebyśmy to już mieli z głowy. Słucham...

– Hotel Malherbe. Przyjeżdżam. Wysyłam ten list. Osobiście. Ardalion. Urząd pocztowy, Pignan, Francja. A jak już go napiszę, co potem?

– To już ciebie nie dotyczy. Zobaczymy. No dobrze, czy mogę być pewien, że wykonasz to wszystko tak, jak trzeba?

– Tak, Hermann. Tylko nie każ mi powtarzać jeszcze raz. Jestem śmiertelnie zmęczona.

Stojąc na środku kuchni, rozłożyła ręce, odrzuciła głowę, gwałtownie nią wstrząsnęła i kilka razy powtórzyła, mierzwiąc sobie włosy: „O, jaka jestem zmęczona, o...” – to „o” przekształciło się w ziewnięcie. W końcu poszliśmy spać. Rozebrała się, rozrzucając po pokoju sukienkę, pończochy, rozmaite kobiece drobiażdżki, zwała

się na łóżko i natychmiast odezwało się spokojne nosowe poświstywanie. Położyłem się również, zgasilem światło, ale nie mogłem zasnąć. Pamiętam, że nagle się obudziła i dotknęła mojego ramienia.

– O co chodzi? – spytałem udając senność.

– Hermann – wymamrotała – powiedz mi, Hermann, zastanawiam się, czy... nie sądzisz, że to... nieuczciwe?

– Śpij! – odpowiedziałem. – To nie na twoją głowę. Wielka tragedia... a ty wyjeżdżasz z jakimiś bzdurami... śpij!

Westchnęła błogo, przewróciła się na drugi bok i bezzwłocznie zaczęła znowu chrapać.

Ciekawa rzecz: jakkolwiek w najmniejszym stopniu nie oszukiwałem się co do możliwości swojej żony, doskonale wiedząc, jaka jest głupia, zapominalska i niezdarna, nie miałem żadnych obaw, wierzyłem bowiem twardo, że jej oddanie każe jej instynktownie obrać właściwy kurs i nie pozwoli zeń zboczyć i, co najważniejsze, nie pozwoli zdradzić mojej tajemnicy. Oczami wyobraźni widziałem, jak Orlovius będzie się przyglądał jej kiepsko udawanej żałobie i smutno kiwał swoim poważnym łbem, i (któż to wie?) być może zastanawiał się, czy to przypadkiem nie kochanek załatwił biednego męża, w stosownym czasie jednak przypomni mu się list z pogrózkami, napisany przez nieznanego szaleńca.

Cały następny dzień przesiedzieliśmy w domu, znowu, drobiazgowo i zawzięcie, szkolilem żonę, faszerowałem ją swoją wolą, tak jak gęś siłą napycha się kukurydzą, żeby powiększyć jej wątrobę. Wieczorem ledwo mogła chodzić. Byłem zadowolony z jej stanu. Czas już był, żebym i ja się zaczął przygotowywać. Pamiętam, jak dręczyłem się, godzinami rozważając, ile pieniędzy powinienem wziąć ze sobą, a ile zostawić Lidii, brakowało gotówki, bardzo brakowało... przyszło mi do głowy, że nie od rzeczy byłoby wziąć jakiś cenny przedmiot, więc powiedziałem Lidii:

– Słuchaj, daj mi swoją moskiewską broszkę.

– A, tak, broszkę – powiedziała tępo, wymknęła się z pokoju, ale zaraz wróciła, położyła się na kanapie i wybuchła takim płaczem, jak jeszcze nigdy.

– O co chodzi, nieszczęsna kobieto?

Dość długo nie odpowiadała, potem zaś, idiotycznie pochlipując i odwracając oczy, wyjaśniła, że zastawiła diamentową broszkę, dar carycy dla jej babki, żeby zdobyć pieniądze na podróż Ardaliona, ponieważ jego przyjaciel nie oddał długu.

– Dobrze, już dobrze, nie rycz – powiedziałem, chowając do kieszeni kwit z lombardu. – Diabło sprytnie się urządził. Dzięki Bogu wyjechał, zwiął, to najważniejsze.

Błyskawicznie uspokoiła się, a nawet zdobyła na jasny, rosisty uśmiech, kiedy zobaczyła, że się nie gniewam. Potem potuptała do sypialni, długo tam buszowała i wreszcie przyniosła tani pierścionek, kolczyki i staroświecką papierośnicę, która należała do jej matki... Żadnej z tych rzeczy nie wziąłem.

– Słuchaj – powiedziałem, chodząc po pokoju i obgryzając kciuk. – Słuchaj, Lidia. Kiedy spytają cię, czy miałem jakichś wrogów, kiedy będą cię wypytywać, kto mógł mnie zamordować, odpowiedz: „Nie wiem”. I jeszcze coś: biorę walizkę, ale niech to koniecznie zostanie między nami. Nie powinno wyglądać na to, że przygotowywałem się do podróży, to by wzbudziło podejrzenia. W gruncie rzeczy...

Pamiętam, że w tym momencie gwałtownie przystanąłem. Jakie to dziwne: wszystko jest wspaniale zaplanowane i przewidziane i nagle okazuje się, że wystaje jakiś drobny szczegół, jak to się dzieje przy pakowaniu, kiedy człowiek zauważa, że zapomniał o jakiejś niewielkiej, ale nieporęcznej rzeczy – istnieją takie niegodziwe przedmioty. Na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że kwestia walizki była jedynym punktem, w którym zdecydowałem się



na zmianę: wszystko inne szło dokładnie tak, jak zaplanowałem na długo, długo przedtem – może całe miesiące wcześniej, może już w chwili, kiedy zobaczyłem śpiącego na trawie włóczkę, który do złudzenia przypominał moje zwłoki. „Nie – pomyślałem – lepiej nie brać walizki, zawsze ktoś może zobaczyć, jak wychodzę z nią z domu”.

– Nie biorę jej – powiedziałem na głos i dalej spacerowałem po pokoju.

Jakże mógłbym zapomnieć poranek 9 marca? Jak to poranki, był blady i chłodny, w nocy napadało trochę śniegu i dozorczy zamiatali swoje wycinki chodnika, na którym ciągnęło się nieduże śnieżne pasmo górskie, podczas gdy asfalt był już czysty i czarny, tylko trochę śliski. Lidia spokojnie spała. Było cicho. Zacząłem się ubierać. Ubrałem się, jak następuje: dwie koszule, jedna na drugiej, wczorajsza na wierzchu, jako że była przeznaczona dla niego. Kalesony, także dwie pary, i znowu ta na wierzchu dla niego. Potem zrobiłem niewielką paczuszkę, w której znalazły się przybory do manicure, do golenia i łyżka do butów. Żeby nie zapomnieć paczuszki, od razu wsunąłem ją do kieszeni wiszącego w przedpokoju płaszcza. Następnie włożyłem dwie pary skarpetek (w jednej ze skarpetek na wierzchu – dziura), czarne buty, mysioszare kamasze – w takim stroju, tzn. elegancko obuty, ale ciągle w bieliźnie, stałem na środku pokoju i robiłem w myślach przegląd swoich dotychczasowych działań, by sprawdzić, czy wszystko zgadza się z planem. Przypomniawszy sobie, że będzie potrzebna dodatkowa para podwiązek, odgrzebałem jakieś stare i dodałem je do paczuszki, co spowodowało konieczność mojej ponownej wizyty w przedpokoju. W końcu wybrałem swój ulubiony liliowy krawat i gruby ciemnoszary garnitur, który ostatnio często nosiłem. W kieszeniach znalazły się następujące przedmioty: mój portfel (z zawartością około tysiąca pięciuset marek), paszport, jakieś karteczki z adresami i rachunkami.

„Stop, błąd” – powiedziałem do siebie, bo czyż nie postanowiłem nie brać paszportu? Subtelna sztuczka – przypadkowe karteczki zgrabniej wskażą na tożsamość osobnika. Wziąłem też klucze, papierośnicę, zapalniczkę. Włożyłem na rękę zegarek. Teraz byłem ubrany. Klepałem się po kieszeniach, lekko posapywałem. W podwójnym kokonie było mi trochę za gorąco. Pozostał jeszcze najważniejszy punkt programu. Prawdziwa ceremonia – powolne wysuwanie szuflady, gdzie znajdował się ON, dokładne sprawdzenie, oczywiście bynajmniej nie pierwsze. Tak, był wspaniale naoliwiony, miał brzuch pełniutki przewybornych rzeczy... dostałem GO w 1920 roku w Rewlu od nieznanego oficera, mówiąc dokładniej, po prostu zostawił GO u mnie i zniknął. Nie mam pojęcia, co się z tym uprzejmym porucznikiem stało później.

Tymczasem obudziła się Lidia. Otuliła się w szlafrok chorośliwie różowej barwy i siedliśmy do naszej porannej kawy. Kiedy służąca wyszła z pokoju, powiedziałem:

– No, dzień nastał! Jadę za chwilę.

Drobna dygresja natury literackiej: rytm jest obcy współczesnemu językowi, ale wyjątkowo dobrze oddaje mój epicki spokój i dramatyczne napięcie chwili.

– Hermann, proszę cię, zostań, nigdzie nie jedź... – powiedziała niskim głosem Lidia (chyba nawet złożyła ręce).

– Pamiętasz wszystko, prawda? – ciągnąłem niewzruszony.

– Hermann – powtórzyła – nie jedź. Niech robi, co chce, to jego los, nie możesz się wtrącać.

– Cieszę się, że wszystko pamiętasz – powiedziałem z uśmiechem. – Grzeczna dziewczynka. Teraz pozwól, że zjem jeszcze bułeczkę i ruszam.

Wybuchła płaczem. Potem, mocno ostatni raz dmuchnąwszy, wysiąkała nos, chciała coś powiedzieć, ale znowu zaczęła płakać.

Była to dość osobliwa scena: ja spokojnie smarowałem masłem bułkę w kształcie różka, ona siedziała naprzeciw i całym jej ciałem wstrząsało łkanie. Z pełnymi ustami powiedziałem:

– W każdym razie będziesz mogła powiedzieć, tak żeby wszyscy usłyszeli (przeżułem kęs i przełknąłem go), że miałaś złe przeczucia, chociaż często wyjeżdżałem i nigdy nie mówiłem dokąd. „A czy mąż, proszę pani, miał wrogów?” „Nie wiem, panie inspektorze”.

– Ale co będzie potem? – cicho jęknęła Lidia, powoli i bezradnie rozkładając ręce.

– No, dosyć tego, moja droga – powiedziałem zupełnie innym tonem. – Popłakałaś sobie trochę i starczy. I nie rycz mi przypadkiem dzisiaj przy Elsie.

Dotknęła oczu zmiętą chusteczką, chrząknęła smutno i znowu wykonała ten sam gest bezradnego zakłopotania, co wcześniej, teraz jednak w milczeniu, nie płacząc.

– Pamiętasz wszystko? – spytałem po raz ostatni, pilnie jej się przyglądając.

– Tak, Hermann, wszystko. Ale tak się boję...

Wstałem, ona wstała także. Powiedziałem:

– Do widzenia. Do zobaczenia w przyszłości. Muszę już iść do mojego pacjenta.

– Hermann, słuchaj, chyba nie zamierzasz być obecny...

Nie zrozumiałem, o co jej chodzi.

– Obecny? Przy czym?

– No, wiesz przecież, o czym mówię. Kiedy on... och, wiesz przecież... z tym sznurkiem.

– Głuptas z ciebie – powiedziałem – a czego się spodziewałaś? Ktoś tam być musi, żeby wszystko potem uporządkować. Nie myśl

już z łaski swojej o tych sprawach. Idź wieczorem do kina. Do widzenia, głuptasie.

Nigdy nie całowałem jej w usta: nie znoszę brei pocałunków. Podobno dawni Słowianie także, nawet w chwilach podniecenia seksualnego, nigdy nie całowali swoich kobiet – uważali za rzecz cudaczną, a nawet nieco odrażającą dotykanie nagimi wargami czyjegoś nabłonka. Wtedy jednak ten jeden raz poczułem chęć pocałowania żony, ale ona nie była na to gotowa, więc jakoś nic z tego nie wyszło, musnąłem tylko ustami jej włosy. Nie ponowiłem już próby, strzeliłem jedynie obcasami i uścisnąłem jej oklapłą rękę. Potem szybko włożyłem w przedpokoju płaszcz, porwałem rękawiczki i upewniłem się, czy mam paczuszkę; kiedy już zbliżałem się do drzwi, z jadalni dobiegło mnie jej wołanie – niski, płaczliwy głos. Nie zwróciłem jednak na to specjalnej uwagi, chciałem bowiem jak najszybciej wyjść.

Przeszedłem przez podwórze, kierując się do dużego garażu, pełnego samochodów. Powitały mnie tam miłe uśmiechy. Wsiadłem i zapaliłem silnik. Wyasfaltowana powierzchnia podwórza znajdowała się troszeczkę ponad poziomem ulicy, toteż wjeżdżając do niskiego nachylonego tunelu, łączącego podwórze z jezdnią, mój samochód, powstrzymywany hamulcami, dał lekkiego i bezdźwięcznego nura.

## ROZDZIAŁ IX

Prawdę powiedziawszy, czuję się dosyć zmęczony. Piszę od południa do świtu, rozdział dziennie, albo i więcej. Jaka wielką, potężną rzeczą jest sztuka! W mojej sytuacji powinienem przecież denerwować się, uciekać, kluczyć... Nie grozi mi oczywiście żadne bezpośrednio niebezpieczeństwo i śmiem twierdzić, że nigdy grozić nie będzie, ale mimo to wydaje się osobliwe siedzieć tak i pisać, pisać, pisać albo długo, długo rozmyślać, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi. A im dłużej piszę, tym oczywistsze się staje, że tak tego nie zostawię, że będę zawzięcie pracował, póki nie osiągnę tego, co najważniejsze, a wtedy bez wątpienia podejmę ryzyko opublikowania swojego dzieła – nie takie znowu zresztą duże, bo jak tylko wyślę rękopis, zniknę, świat jest wystarczająco wielki, by spokojny mężczyzna z brodą znalazł na nim schronienie.

Tego postanowienia nie podjąłem bynajmniej spontanicznie, mówię tu o postanowieniu wysłania swego dzieła do wnikliwego powieściopisarza, o którym – jak mi się zdaje – już tu wspomniałem i do którego bodaj nawet bezpośrednio zwracam się w swojej opowieści.

Mogę się zresztą mylić, jako że dawno przestałem czytać to, co napisałem – nie ma na to czasu, a poza tym robi mi się przy tym niedobrze.

Początkowo bawiłem się myślą wysłania tej pracy prosto do jakiegoś wydawcy – niemieckiego, francuskiego albo amerykańskiego – ale napisana jest przecież po rosyjsku i nie wszystko daje się przełożyć, a poza tym, no cóż, szczerze mówiąc, dosyć mi zależy na swej literackiej koloraturze i mocno wierzę w to, że strata jakiegoś odcienia czy zakrzywienia beznadziejnie zepsułaby całość. Myślałem także o posłaniu książki do ZSRR, ale nie mam

odpowiednich adresów ani nie wiem, jak to właściwie zrobić, i czy mój rękopis zostałby przeczytany, przez przyzwyczajenie posługuję się bowiem ortografią stosowaną w minionym okresie, a przepisanie całości byłoby ponad moje siły. Czy powiedziałem „przepisanie”? No cóż, nie wiem nawet, czy wytrzymam napięcie i w ogóle doprowadzę rzecz do końca. Zdecydowaawszy się wreszcie przekazać rękopis człowiekowi, któremu się on z pewnością spodoba i który zrobi wszystko, żeby go opublikować, jestem w pełni świadom tego, że mój wybrany (ty, mój pierwszy czytelniku) to powieściopisarz emigracyjny, którego utwory nie mogą ukazywać się w ZSRR. Być może jednak dla tej książki zrobiony zostanie wyjątek, zważywszy na fakt, że w istocie to wcale nie ty ją napisałeś. O, jakże droga jest mi nadzieja, że mimo twej emigracyjnej sygnatury (której przejrzysty fałsz nikogo nie zwiedzie) moja książka może znaleźć zbyt w ZSRR! Jako że bynajmniej nie jestem przeciwnikiem władzy radzieckiej, wierzę, że nieświadomie wyraziłem w swej książce pewne zapatrywania, które doskonale odpowiadają dialektycznym wymaganiom chwili obecnej. Czasem wydaje mi się nawet, że mój zasadniczy temat, podobieństwo dwóch osób, ma głęboką treść alegoryczną. To niezwykle podobieństwo fizyczne prawdopodobnie pociągało mnie (podświadomie!) jako zapowiedź idealnej identyczności, która zjednoczy ludzi w bezklasowym społeczeństwie przyszłości. Starając się wykorzystać izolowany przypadek, spełniałem – mimo że nadal nie w pełni uświadomiony społecznie – pewne społeczne zadanie. I jeszcze coś: fakt, że nie osiągnąłem całkowitego sukcesu, wykorzystując w praktyce owo podobieństwo, można wyjaśnić czysto socjalno-ekonomicznymi przyczynami, a mianowicie tym, że Feliks i ja należeliśmy do odmiennych, wyraźnie określonych klas, których nikt nie zdołał stopić na własną rękę, zwłaszcza dzisiaj, kiedy konflikty klasowe osiągnęły etap, w którym kompromis nie wchodzi w rachubę. Inna sprawa, że moja matka była nisko urodzona, a dziadek ze strony ojca pasał w młodości gęsi, toteż nietrudno wyjaśnić, skąd właściwie w człowieku mego pokroju i usposobienia wzięła się owa silna, choć nie w pełni przejawiająca się dążność do

autentycznej świadomości. Oczami wyobraźni widzę nowy świat, w którym każdy będzie przypominał każdego, tak jak Hermann – Feliksa, świat Heliksów i Fermannów, świat, gdzie robotnika, który padł trupem u stóp swej maszyny, natychmiast z pogodnym uśmiechem rozwiniętego socjalizmu zastąpi jego doskonały sobowtór. Sądzę przeto, że dzisiejsza młodzież radziecka może z niemałą korzyścią studiować moją książkę pod kierunkiem doświadczonych marksistów, którzy pomogą jej śledzić zawarte w niej rudymen tarne konwulsje treści społecznych. Niech również inne narody przetłumaczą ją na swoje języki, by Amerykanie mogli zaspokoić żądę krwawych dreszczy, Francuzi – dostrzec w mej słabości do wagabundy miraże sodomii, a Niemcy – rozkoszować się kapryśnym aspektem mojej na wpół słowiańskiej duszy. Czytajcie ją, czytajcie ją jak najliczniej, panie i panowie! Witam was wszystkich jako moich czytelników.

Ale pisać tę książkę niełatwo. Teraz, kiedy dochodzę do części traktującej o, by tak rzec, decydującym działaniu, uzmysławiam sobie całą trudność swojego zadania – i oto kluczę i mruczę o rzeczach, które pasują raczej do przedmowy, a nie do tego, co czytelnik może uważać za najbardziej istotny rozdział. Próbowałem już jednak wyjaśnić, że niezależnie od tego, jak pomysłowe i rozważne może się wydać podejście autora, nie pisze tutaj racjonalna częśćka mojej osobowości, ale wyłącznie moja pamięć, moja niepojęta pamięć. Albowiem, widzicie, wtedy, tzn. dokładnie w godzinie i minucie, na których zatrzymały się wskazówki mojej opowieści, zatrzymałem się także i ja sam, marudziłem, tak samo jak marudzę teraz, zajmowałem się poplątanym rozumowaniem podobnego rodzaju jak teraz, rozumowaniem nie mającym nic wspólnego ze sprawą, której ustalony termin stale się przybliżał. Ruszyłem w drogę rano, chociaż spotkanie z Feliksem wyznaczone było na piątą po południu – po prostu nie mogłem usiedzieć w domu – toteż zastanawiałem się teraz, jak pozbyć się tej mętnej białawej masy czasu, która mnie od tego spotkania dzieliła. Siedziałem

wygodnie, nawet sennie, jednym palcem kierując samochodem, który powoli jechał przez Berlin, spokojnymi, chłodnymi, szepczącymi ulicami – i tak ciągle, coraz dalej i dalej, aż zauważyłem, że zostawiłem miasto za sobą. Paleta barwna dnia zredukowana była do dwu kolorów: czarnego (deseń nagich drzew, asfalt) i białawego (niebo, łąty śniegu). Moje senne przemieszczanie się ciągnęło się bez ustanku. Przez jakiś czas przed oczami dyndała mi duża, obrzydliwa szmata, jedna z tych, które ciężarówka wioząca coś długiego i cienkiego obowiązana jest mieć na sterującym tylnym końcu, ale potem znikła, zapewne gdzieś skręciła. Nie dodałem jednak gazu. Z bocznej ulicy wypadła przede mną taksówka, z piskiem zahamowała, a ponieważ było dosyć ślisko, groteskowo zakręciła się wokół własnej osi. Spokojnie przepłynąłem obok, jak gdyby dryfując z prądem. Kawalek dalej przechodziła na ukos ulicę kobieta w głębokiej żałobie, była praktycznie odwrócona do mnie plecami, nie nacisnąłem klaksonu ani nie zmieniłem prędkości swego spokojnego gładkiego przesuwu – prześliznąłem się o kilka centymetrów od brzeżka jej welonu. Nawet mnie nie zauważyła – bezgłośnie widmo. Wyprzedzały mnie wszelkiego rodzaju pojazdy, przez dłuższą chwilę pełził w jednym rzędzie ze mną powolny tramwaj, kątem oka widziałem pasażerów, idiotycznie siedzących naprzeciwko siebie. Raz czy dwa trafiałem na kiepsko wybrukowane odcinki, pojawiały się też już kury: rozkładając krótkie skrzydła i wyciągając długie szyje, przebiegały przez drogę. Potem jechałem ciągnącą się w nieskończoność szosą, mijałem pokryte miejscami śniegiem ścierniska; w całkiem bezludnej okolicy mój samochód jak gdyby uciał sobie drzemkę, zdawało się, że z niebieskiego zmienił się w gołębioszary – stopniowo zwalniał, zatrzymał się, i oparłem głowę na kierownicy w przyływie niejasnej zadumy. O czym mogłem myśleć? O niczym albo o nic nie znaczących rzeczach, wszystko to było bardzo pogmatwane, a ja niemal spałem i na w pół nieprzytomny sam ze sobą roztrząsałem jakieś głupstwo, przypominałem sobie jakąś dyskusję, którą prowadziłem z kimś kiedyś na peronie dworcowym, chodziło o to, czy można we śnie



zobaczyć słońce, i nagle odniosłem wrażenie, że dokoła jest mnóstwo ludzi, wszyscy mówią jednocześnie, a potem milkną i dają sobie jakieś niejasne polecenia, i bez słowa się rozchodzą. Po pewnym czasie ruszyłem znowu i w południe, sunąc wolno przez jakąś wieś, postanowiłem zatrzymać się, jako że nawet przy tej sennej szybkości musiałem dotrzeć do Koenigsdorfu za jakąś godzinę, czyli stanowczo za wcześnie. Mitrężyłem więc czas w mrocznej i ponurej piwiarni, gdzie siedziałem samotnie w tylnej sali, przy dużym stole, na ścianie wisiała stara fotografia, na której widniała grupa mężczyzn w surdutach, z zakreconymi wąsiskami, kilku z nich z nonszalanckim wyrazem twarzy klęczało w pierwszym rzędzie na jednym kolanie, a po bokach dwu wyciągnęło się nawet jak foki – przypominało mi to podobne grupy studentów rosyjskich. Wypiłem sporo wody z cytryną i ruszyłem w dalszą drogę w tym samym sennym nastroju, wręcz nieprzyzwoicie sennym. Pamiętam, że zatrzymałem się na jakimś moście: staruszka w niebieskich wełnianych spodniach, z plecakiem na ramionach starała się naprawić jakieś uszkodzenie w rowerze. Nie wysiadając z samochodu, dałem jej kilka rad, całkiem nieproszonych i niepotrzebnych. Potem milczałem i podpierając pięścią policzek długo gapiłem się na nią: krzątała się i krzątała, ale w końcu powieki mi zamrugały i proszę – nie było żadnej staruszki: dawno już się gdzieś potoczyła. Pojechałem dalej, próbując pomnożyć w pamięci jedną niezgrabną liczbę przez inną, równie ciężką i nieporęczną. Nie wiedziałem, co znaczą i skąd się wynurzyły, ale skoro już tu były, uznałem, że trzeba poszczuć je na siebie – szczepiły się ze sobą i rozplynęły. Nagle wydało mi się, że jadę z szaloną szybkością, że samochód wręcz pożera drogę, jak iluzjonista łykający metry wstążki, spojrzałem jednak na wskazówkę szybkościomierza, drżała na pięćdziesięciu kilometrach na godzinę, a obok wolno przepływały – sosny, sosny, sosny. Pamiętam też, że spotkałem dwu małych bladych uczniów, książki mieli związane rzemykiem, pogadałem sobie z nimi. Obaj mieli nieprzyjemne ptasie rysy twarzy, kojarzące się z młodymi wronami. Odniosłem wrażenie, że trochę się mnie boją i kiedy odjechałem, długo patrzyli za mną,

szeroko otwierając czarne gęby – jeden był wyższy, drugi niższy. I wtedy, wzdrygnawszy się, zauważyłem, że dojechałem do Koenigsdorfu, spojrzałem na zegarek, była prawie piąta. Kiedy mijalem czerwony budynek dworca kolejowego, pomyślałem, że może Feliks się spóźnił i jeszcze nie zszedł po schodkach, tam, koło jaskrawego straganu z czekoladą, i że nie sposób wydedukować z zewnętrznego wyglądu tego przysadzistego ceglanego budynku, czy przechodził tędy, czy nie. Cokolwiek by powiedzieć, pociąg, którym kazano mu przybyć do Koenigsdorfu, przyjeżdżał o 2.55, więc jeśli się na niego nie spóźnił...

O, mój czytelniku! Miał polecenie wysiąść w Koenigsdorfie i iść na północ szosą aż do dziesiątego kilometra, oznaczonego żółtym drogowskazem. A teraz ja prulem tą samą drogą: niezapomniane chwile! Wokół żywej duszy. Zimą autobus kursował tędy tylko dwa razy dziennie – rano i w południe; na całym dziesięciokilometrowym odcinku spotkałem tylko ciągniętą przez gniadosza furmankę. Wreszcie w oddali, jak żółty palec, pojawił się znajomy drogowskaz, urósł, osiągnął naturalną wielkość; nosił krymkę śniegu. Zatrzymałem się i rozejrzałem. Nikogo. Żółty drogowskaz rzeczywiście był bardzo żółty. Po mojej prawej stronie, za polem, namalowany był szary płaski las na tle bladego nieba. Nikogo. Wysiadłem z samochodu i zatrzasnąłem drzwiczki z hukiem głośniejszym niż wszelki możliwy strzał. I nagle dostrzegłem, że spoza splełanych gałęzi rosnącego w rowie krzaka przygląda mi się różowy jak figura woskowa, ozdobiony figlarnym wąsikiem i doprawdy bardzo rozweselony...

Postawiwszy jedną nogę na stopniu auta, jak rozzłoszczony tenor uderzając się po dłoni zdjętą rękawiczką, wbiłem wzrok w Feliksa. Niepewnie szczerząc zęby, wyszedł z rowu.

– Ty łajdaku – powiedziałem przez zęby z niezwykłą operową siłą. – Łajdaku i krętaczu – powtórzyłem tym razem pełnym głosem, uderzając się rękawiczką z jeszcze większą wściekłością. (Orkiestra

dudniła i grzmiała pomiędzy moimi wokalnymi wybuchami). – Jak śmiałeś wszystko wypaplać, ty kundlu? Jak śmiałeś, jak śmiałeś prosić innych o radę, chwalić się, żeś postawił na swoim, że tego a tego dnia w takim a takim miejscu... Ha, zastrzelić cię to mało! (Potężniejący zgiełk, dzwonki i znowu mój głos). – Dużoś przez to osiągnął, głupcze! Gra skończona, pokpiłeś sprawę, nie zobaczysz złamanego grosza, małpo! (Brzęk czyneli).

– Tak to na niego pomstowałem, chciwie, ale zupełnie na zimno obserwując przez chwilę wyraz jego twarzy. Był całkiem oszołomiony i szczerze dotknięty. Przyciskając rękę do piersi, kręcił głową. Fragment operowy dobiegł końca i spiker radiowy przemówił swoim normalnym głosem:

– No, już dobrze... zbeształem cię tylko pro forma, na wszelki wypadek... Mój drogi, wyglądasz komicznie, zupełnie jak ucharakteryzowany!

Na moje polecenie zapuścił wasy, chyba je nawet nawoskował. Poza tym, już na własny rachunek pozwolił sobie na dwa falujące kotleciki z włosów po obu stronach twarzy. Ten pretensjonalny zarost bardzo mnie rozbawił.

– Dotarłeś tu oczywiście dokładnie tak, jak ci kazałem? – spytałem z uśmiechem.

– Tak – odpowiedział – tak, jak pan kazał. A co do paplania... sam pan wie, że jestem samotnym człowiekiem i nie nadaję się do gadania z ludźmi.

– Wiem i wzdycham razem z tobą. A czy spotkałeś kogoś na drodze?

– Jak widziałem, że jedzie furmanka czy coś innego, chowałem się w rowie, tak, jak pan kazał.

– Wspaniale. Twoja twarz i tak jest dobrze ukryta. No dobra, nie ma co tu bąków zbijać. Włóż do samochodu. Nie, nie, zostaw to... potem zabierzesz swój plecak. Pośpiesz się, musimy jechać.

– Dokąd? – spytał

– Do tego lasu.

– Tam? – spytał i wskazał kierunek lasą.

– Tak, właśnie tam. Wsiadasz czy nie, do cholery?

Z zadowoleniem obejrzał samochód. Wgramolił się bez pośpiechu i usiadł koło mnie.

Samochód powoli ruszył, przekręciłem kierownicę. Uch. I jeszcze raz: uch. (Zjechaliśmy z drogi na pole). Cienki śnieg i martwa trawa trzaskały pod oponami. Samochód podskakiwał na nierównościach terenu, my podskakiwaliśmy także. Feliks mówił:

– Świetnie dam sobie radę z tym wozem (hop). Dobry Boże, ale to będzie jazda (hop). Nie ma strachu (hop-hop), nie zepsuję!

– Tak, samochód będzie twój. Przez parę chwil (hop) twój. Teraz, bracie, uwaga, rozejrzyj się dokoła. Nie ma nikogo na drodze?

Obejrzał się i pokręcił głową. Wjechaliśmy czy raczej wpełzaliśmy po dosyć gładkim nachyleniu do lasu. Zatrzymaliśmy się pośród pierwszych sosen i wysiedliśmy. Feliks dalej podziwiał błyszczącego niebieskiego ikara, teraz już nie z tęsknotą zalotnego ubóstwa, ale z cichą satysfakcją właściciela. W jego oczach pojawiło się rozmarzenie. Bardzo możliwe (proszę z łaski swojej zauważyć, że niczego tu nie stwierdzam, mówię jedynie: „bardzo możliwe”), a więc bardzo możliwe, że jego myśli biegły następującym torem: „A co by było, gdybym tak prysnął tym cackiem? Forse dostanę z góry, więc z tym wszystko jest w porządku. Będę udawał, że zrobię to, co chce, a naprawdę zwieję, gdzieś daleko. Na policję iść nie może, będzie trzymał język za zębami. A ja w swoim aucie...”

Przerwałem tok tych miłych rozmyślań.

– No, Feliks, nadeszła wielka chwila. Przebierzesz się teraz i zostaniesz w lesie sam – w samochodzie. Za pół godziny zaczną się ściemniać, nie grozi ci niczyje natręctwo. Przenocujesz tutaj, będziesz miał mój płaszcz – popatrz tylko, jaki dobry materiał i jaki gruby, niezłe, co? – poza tym w samochodzie jest ciepło, będziesz spać jak suseł; a kiedy tylko zaczną świtać... Ale to omówimy później, najpierw trzeba ci nadać odpowiedni wygląd, bo nie zdążymy przed zmierzchem. Przede wszystkim musisz się ogolić.

– Ogolić? – powtórzył za mną Feliks, głupio zaskoczony. – Jak to? Nie mam przy sobie brzytwy, a naprawdę nie wiem, czym można by się golić w lesie, kamieniami?

– Jakimi tam kamieniami? Takiego jołopa jak ty należałoby ogolić siekierą. Ale ja pomyślałem o wszystkim, wziąłem narzędzie i sam wszystkim się zajmę.

– To strasznie śmieszne – zachichotał. – Ciekaw jestem, co z tego wyjdzie. Tylko niech mi pan czasem gardła nie poderżnie tą swoją brzytwą.

– Nie bój się, głupcze, jest niegroźna. Tak więc bądź łaskaw... Tak, usiądź gdzieś sobie. Może tutaj, na tym stopniu.

Zrzucił plecak i usiadł. Wyjąłem paczuszkę i położyłem przybory do golenia na stopniu. Trzeba się było śpieszyć: dzień był jakiś blady i wychudzony, powietrze robiło się coraz bardziej mętne. Ależ spokój... Cisza wydawała się nieodłączna od tego miejsca, od tych nieruchomych gałęzi, tych prostych pni, tych matowych łąt śniegu rozrzuconych to tu, to tam.

Zdjąłem płaszcz, żeby operować z większą swobodą. Feliks z ciekawością przyglądał się błyszczącym ząbkom brzytwy i jej srebrnemu uchwyтови. Potem obejrzał pędzel, przesunął nim po policzku, żeby sprawdzić miękkość, a był on doprawdy rozkosznie puszysty: zapłaciłem zań siedemnaście marek. Ogromnie zainteresował się tubką drogiego kremu do golenia.

– No, zaczynamy – powiedziałem. – Golono, strzyżono. Siadź z łaski swojej troszeczkę bokiem, bo inaczej nie będę się miał jak ustawić.

Nabrałem ręką śniegu, wycisnąłem nań wijącego się mydlanego robaka, rozmieszałem pędzlem i nałożyłem lodowatą pianę na jego baczki i wąsy. Robił miny, łypał na mnie okiem; lamowanie piany weszło mu do jednego z nozdrzy: marszczył nos, bo go to lechtało.

– Głowa do tyłu – powiedziałem – jeszcze trochę.

Dość niezgrabnie wspierając kolano na stopniu, zacząłem golić mu baczki; włosy trzaskały i było coś odrażającego w tym, jak mieszały się z pianą. Zaciałem go lekko i maź zabarwiła się krwią. Kiedy natarłem na jego wąsy, zmrużył oczy, ale dzielnie nie wydał żadnego dźwięku, jakkolwiek na pewno nie było to przyjemne: pracowałem pośpiesznie, jego zarost był twardy, brzytwa szarpała włosy.

– Masz chusteczkę? – spytałem.

Wyciągnął z kieszeni jakąś szmatę. Wziąłem ją i bardzo starannie starłem mu z twarzy krew, śnieg i pianę. Jego policzki błyszczały teraz jak nowe. Był wspaniale ogolony, tylko w jednym miejscu koło ucha widniało lekkie czerwone zadraśnięcie z czerniejącą już rubinową kropelką w rogu. Przesunął ręką po ogolonych miejscach.

– Chwileczkę – powiedziałem – to jeszcze nie wszystko. Trzeba poprawić ci brwi: są trochę gęstsze niż moje.

Wyjąłem nożyczki i zgrabnie uciałem kilka włosków.

– Teraz wygląda to wspaniale. Co do twoich włosów, wyszczotkuję je, kiedy zmienisz koszulę.

– Da mi pan swoją? – spytał i z rozmysłem dotknął jedwabnego kołnierzyka.

– Oho, twoje paznokcie nie są najczystsze! – zawołałem wesoło.

Nieraz robiłem manicure Lidii – umiałem to robić dobrze, toteż teraz bez specjalnych trudności doprowadziłem do porządku tych dziesięć ordynarnych paznokci, porównując przy tym ze sobą nasze dłonie: jego były większe i ciemniejsze, ale cóż to szkodzi, pomyślałem, stopniowo zbledną. Ponieważ nigdy nie nosiłem obrączki, musiałem dodać do tej ręki jedynie swój zegarek. Przebierał palcami i kręcił dłonią we wszystkie strony, najwyraźniej bardzo rad.

– No, a teraz szybko, przebierzmy się. Ściągaj z siebie wszystko, przyjacielu, do ostatniej nitki.

– Aj – chrząknął Feliks – będzie mi zimno.

– Nie szkodzi. Zabierze to nam minutkę. Pośpiesz się, proszę.

Zdjął starą brązową marynarkę, ściągnął przez głowę ciemny, puszysty sweter. Koszula pod spodem miała mętnozielony kolor, krawat był z tego samego materiału. Potem zdjął swoje bezkształtne buciory, ściągnął skarpety (cerowane męską ręką) i radośnie czknął dotknawszy bosym paluchem zimnej gleby. Wasz prostaczek lubi chodzić na bosaka: w lecie, na wesołej trawie, natychmiast zdejmuje buty i skarpetki, ale i w zimie to nie miała przyjemność – przypomina sobie być może dzieciństwo czy coś w tym rodzaju.

Stałem z boku, rozwiązywałem krawat i uważnie obserwowałem Feliksa.

– No dalej, dalej – zawołałem, zauważywszy, że trochę zwolnił.

Nie bez odrobiny zakłopotania spuścił z białych pozbawionych włosów ud spodnie. Na końcu zdjął koszulę. W zimnym lesie stał oto przede mną nagi mężczyzna.

Rozebrałem się niewiarygodnie szybko, z lekkością i werwą jakiegoś Fregolego, i rzuciłem mu zewnętrzną powłokę koszuli i spodni; podczas gdy mozolnie wkładał je na siebie, z garnitur, który zrzuciłem wcześniej, zgrabnie wyciągnąłem parę rzeczy –

pieniądze, papierośnicę, broszkę, pistolet – i wpakowałem je do kieszeni bardziej obcisłych spodni, które wciągnąłem z szybkością wirtuoza *varieté*. Jakkolwiek jego sweter okazał się dosyć ciepły, nie zdjąłem szalika; ponieważ ostatnimi czasy straciłem na wadze, jego marynarka leżała na mnie prawie jak ulał. Czy powinienem poczęstować go papierosem? Nie, to traciłoby złym smakiem.

Tymczasem Feliks ubrał się w moją koszulę i kalesony, ale stopy miał nadal nagie. Dałem mu skarpetki i podwiązki, ale nagle stwierdziłem, że palce u jego nóg także wymagają pewnych starań... Umieścił nogę na stopniu samochodu i zajęliśmy się odrobiną pośpiesznego pedicure. Trzaskały głośno i daleko leciały – te obrzydliwe czarne skrawki; ostatnio śnią mi się po nocach, widzę na ziemi ich plamki stanowczo zanadto rzucające się w oczy. Obawiam się, że kiedy tak stał w samej tylko koszuli, zdążył się, biedak, przeziębic. Umył potem stopy śniegiem, jak pewien nie nawykły się kąpać hulaka u Maupassanta, i naciągnął skarpetki, nie zauważywszy dziury na pięcie.

– Szybciej, szybciej – powtarzałem. – Zaraz będzie ciemno, muszę iść. Popatrz, ja już jestem ubrany. Boże, ależ wielkie buciory! A gdzie twoja czapka? A, widzę, dziękuję.

Zapiął pasek od spodni. Z wydatną pomocą łyżki wbił się w moje czarne buty z kozłej skóry. Pomogłem mu poradzić sobie z getrami i liliowym krawatem. Wreszcie, ostrożnie ujmując jego grzebień, z czoła i skroni szesałem do tyłu jego tłuste włosy.

Był teraz gotów. Stał oto przede mną – mój sobowtór w moim spokojnym ciemnoszarym garniturze. Przyglądał się sobie z głupawym uśmiechem. Zbadał zawartość kieszeni. Ucieszyła go zapalniczka. Wszystkie drobiazgi schował z powrotem, ale portfel otworzył. Był pusty.

– Obiecał mi pan pieniądze z góry – powiedział przymilnie.



– Tak, to prawda – odpowiedziałem, wyjmując zaciśniętą rękę z kieszeni, otwarłem pięść i pokazałem mu plik banknotów. – Otóż i one. Odliczę to, co ci się należy i za chwilę ci dam. Jak tam buty, cisną?

– Tak – powiedział Feliks. – Strasznie cisną, ale jakoś wytrzymam. Chyba zdejmę je na noc. A dokąd mam jutro pojechać?

– Zaraz, zaraz... Wszystko ci wytłumaczę. Słuchaj, trzeba tu trochę posprzątać... Rozrzuciłeś swoje szmaty... Co masz w plecaku?

– Jestem jak ślimak, noszę na plecach dom – powiedział Feliks. – Bierze pan plecak ze sobą? Mam tam połówkę kiełbasy. Chce pan kawałek?

– Później. Spakuj te wszystkie rzeczy, dobrze? Łyżkę do butów także. I nożyczki. Świetnie. Teraz włóż mój płaszcz i ostatni raz sprawdzimy, czy można cię wziąć za mnie.

– Nie zapomni pan o pieniążkach? – spytał.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie? Nie bądź osłem. Zaraz się rozliczymy. Forsa jest tutaj, w mojej kieszeni – ściśle mówiąc, w twojej kieszeni, dawniej twojej. A teraz pośpiesz się z łaski swojej.

Włożył mój twarzowy płaszcz z wielbłądziej sierści i (szczególnie starannie) mój elegancki kapelusz. Potem nadszedł czas na ostatnie pociągnięcie pędzla: żółte rękawiczki.

– Świetnie. Przejdź się trochę. Zobaczmy, jak to wszystko na tobie leży.

Podszedł do mnie, to wsuwając ręce do kieszeni, to znów je z nich wyjmując.

Kiedy był całkiem blisko, wyprostował ramiona, udawał, że się popisuje, małpował modnisią.

– Czy to wszystko, czy to wszystko? – powtarzałem na głos. – Czekaj, daj mi porządnie... Tak, to chyba wszystko... Teraz się odwróć, chcę zobaczyć, jak to wygląda z tyłu...

Odwrócił się, strzeliłem mu w plecy.

Pamiętam różne szczegóły: jak w powietrzu zawisł dymek, jak pojawiła się w nim przezroczysta fałda i jak powoli się rozwiął, pamiętam sposób, w jaki Feliks upadł, bo nie upadł od razu, najpierw dokończył ruch, ciągle jeszcze odnoszący się do życia, a mianowicie niemal pełny obrót, chciał chyba dla śmiechu okręcić się przede mną, jak przed lustrem, tak więc siłą inercji kończąc ten żalony żarcik, przebity już na wskroś, spojrział na mnie, powoli rozłożył ręce, jak gdyby pytając: „A to co ma znaczyć?” – i nie otrzymawszy odpowiedzi, powoli osunął się padając do tyłu. Tak, pamiętam to wszystko, pamiętam też skrzypienie śniegu, kiedy zaczął się prostować i wiercić, jak gdyby niewygodnie mu było w nowym ubraniu; po chwili znieruchomiał i wtedy nagle można było poczuć, jak Ziemia się obraca, i tylko jego kapelusz przesunął się cicho, oderwał od włosów i spadł obok, z szeroko otwartymi ustami, jak gdyby w zastępstwie swego właściciela mówił: „Do widzenia” (przywodził też na myśl wyświechtaną frazę: „Wszyscy obecni obnażyli głowy”). Tak, pamiętam to wszystko, ale moja pamięć nie zachowała jednego: huku wystrzału. Za to w uszach został mi uporczywy śpiew. Przywarł do mnie, pełził po mnie, drżał na moich ustach. Rozchylając welon tego dźwięku, podszedłem do trupa i chciwie mu się przyglądałem.

Istnieją chwile sekretne, tajemnicze – to była jedna z nich. Jak autor, czytający swoje dzieło tysiąc razy, próbujący i sprawdzający każdą sylabę, ostatecznie nie jest w stanie stwierdzić, czy ta gmatwanina słów jest dobra, czy nie, tak i ja, tak i ja... Jest jednak jeszcze coś takiego, jak sekretna pewność twórcy, pewność nieomylna. W chwili kiedy wszystkie potrzebne rysy znieruchomiały i zastygły, nasze podobieństwo okazało się tak ogromne, że nie

wiedziałem, kto właściwie został zabity – ja czy on. Gdy tak patrzyłem, w rozwibrowanym lesie ściemniło się, patrzyłem na powoli zanikającą twarz, wibrującą coraz to słabiej i słabiej, i zdawało mi się, że widzę własne odbicie w nieruchomej wodzie jeziora.

Obawiając się pobrudzić, nie dotknąłem trupa, nie sprawdziłem, czy był całkiem, zupełnie martwy. Instynktownie wiedziałem, że tak jest, że moja kula z doskonałą precyzją prześliznęła się wzdłuż krótkiej koleiny powietrza, którą wyżłobiły wola i oko. Pośpiech rzeczą jest wskazaną – wołał stary pan Iwanow, kiedy wkładał, niezbyt modnie, na ramiona swoje spodnie. Nie będziemy go naśladować. Rozejrzałem się szybko, bystro. Wszystko oprócz pistoletu Feliks włożył do plecaka sam, byłem jednak wystarczająco opanowany, by sprawdzić, czy czegoś nie upuścił, posunąłem się nawet do tego, że oczyściłem stopień, na którym obcinałem mu paznokcie i wyciągnąłem z ziemi jego grzebień, który przedtem w nią wdeptałem, teraz jednak postanowiłem wyrzucić gdzieś dalej. Następnie zrobiłem coś, co dawno planowałem: odwróciłem samochód i umieściłem go na zalesionym gruncie, lekko nachylonym w kierunku drogi, po czym potoczyłem swojego małego ikara parę metrów do przodu, żeby widać go było rankiem z szosy, co doprowadzi do odkrycia moich zwłok.

Szybko nadpływała noc. Szum w moich uszach bynajmniej nie umilkł. Zanurzyłem się w las, przechodząc raz jeszcze niedaleko od trupa, ale nie przystanąłem już – tylko wziąłem plecak i ze stoickim spokojem, zgrabnym krokiem, jak gdybym nie miał na nogach ciężkich jak kamienie buciorów, obszedłem jezioro, nie wychodząc ani na chwilę spośród drzew, dalej i dalej, otoczony widmowym zmierzchem, widmowym śniegiem... Jakże dobrze znałem kierunek – tak dokładnie, tak wyraziście wyobrażałem sobie to wszystko, kiedy jeszcze latem studiowałem ścieżki wiodące do Eichenbergu!

Dotarłem do stacji na czas. Dziesięć minut później z usłużnością zjawy nadjechał pociąg, na który czekałem. Połowę nocy spędziłem w łoskoczącym, kołyszącym się wagonie trzeciej klasy, na twardej ławce; obok mnie dwu starszych mężczyzn grało w karty, a karty, którymi grali były niezwykle: duże, zielono-czerwone, z żółdziejami i ulami. Po północy miałem przesiadkę, parę godzin później jechałem już na zachód, rano przesiadłem się znowu, tym razem na pociąg pośpieszny. Dopiero wtedy, w samotności ustępu, zbadałem zawartość plecaka. Oprócz rzeczy wepchniętych doń ostatnio (w tym poplamionej krwią chusteczki do nosa) znalazłem w nim kilka koszul, kawałek kiełbasy, dwa duże jabłka, skórzaną podeszwę, pięć marek w damskiej portmonetce, paszport i moje listy do Feliksa. Jabłka i kiełbasę zjadłem natychmiast, w ubikacji, listy schowałem do kieszeni, paszportowi przyjrzałem się z najwyższym zainteresowaniem. Był w dobrym stanie. Feliks odwiedził Mons i Metz. Co dosyć dziwne, jego twarz na fotografii nie była znów tak bardzo podobna do mojej, oczywiście zdjęcie z łatwością mogło ująć za moje – a jednak wywarło na mnie dziwne wrażenie i pomyślałem, pamiętam, że znam już prawdziwą przyczynę, dla której w tak niewielkim stopniu dostrzegał nasze podobieństwo: widywał siebie w lustrze, to znaczy, by tak rzec, z prawa na lewo, a nie zgodnie z ruchem słońca, jak w rzeczywistości. Ludzką tępotę, niefrasobliwość, niedbalstwo zmysłów – wszystko to zdradzał fakt, że nawet oficjalne określenia na krótkiej liście cech osobowych niezupełnie odpowiadały epitetom w moim paszporcie (zostawionym w domu). Drobnostka, ma się rozumieć, ale charakterystyczna.

A w rubryce „zawód” ten jołop, który z pewnością grał na skrzypcach z równym kunsztem, z jakim w Rosji afektowani lokaje brzdąkali letnimi wieczorami na gitarach, nazwany był „muzykiem”, co niezwłocznie i mnie zmieniło w muzyka. Tego samego dnia, trochę później, kupiłem w małym miasteczku granicznym walizkę, płaszcz i tak dalej, po czym pozbyłem się zarówno plecaka, jak i rewolweru... nie, nie powiem, co z nimi zrobiłem: milczcie, fale Renu! I oto

nieogolony jegomość w tanim czarnym płaszczu był już po  
bezpieczniejszej stronie granicy i zmierzał na południe.

## ROZDZIAŁ X

Od dziecka kochałem fiołki i muzykę. Urodziłem się w Zwickau. Mój ojciec był szewcem, moja matka była praczką. Kiedy się złościła, syczała na mnie po czesku. Miałem chmurne, pozbawione radości dzieciństwo. Ledwie trochę dojrzałem, ruszyłem na włóczęgę. Grałem na skrzypcach. Jestem mańkutem. Twarz – owalna. Kawaler: pokażcie mi chociaż jedną wierną żonę. Wojna była straszna, ale minęła, jak wszystko mija. Każda mysz ma swoją norę... Lubię wiewiórki i wróble. W Czechach piwo jest tańsze. Ach, gdybyż człowiek mógł się podkuć u kowala, co za oszczędność! Wszyscy ministrowie są przekupni, a poezja to brednie. Kiedyś na jarmarku widziałem bliźniaków, obiecywali nagrodę każdemu, kto znajdzie różnicę, więc Fritz Marchwiszcze walnął jednego z bliźniaków w ucho, a ono poczerwieniało – no i była różnica! Aleśmy się wtedy uśmiali! Bicie, kradzież, rzeź – wszystko jest złe albo dobre, zależnie od okoliczności.

Przywłaszczałem sobie forszę, jeśli tylko wpadała mi w ręce; co weźmiesz, to twoje, nie istnieją pieniądze tego czy owego, na monecie nie jest napisane: własność Müllera. Lubię forszę. Zawsze chciałem znaleźć wiernego przyjaciela, muzykowałibyśmy razem, zapisałby mi dom i sad. Pieniądze, kochane pieniądze. Kochane małe pieniądze. Kochane duże pieniądze. Włóczyłem się tu i tam, tu i tam znajdowałem robotę. Kiedyś spotkałem szykownego gościa, który twierdził, że jest do mnie podobny. Bzdura, wcale nie był podobny. Ale nie kłóciłem się z nim, był bogaty, a kto zadaje się z bogatymi, sam może się wzbogacić. Chciał, żebym się zamiast niego przejechał samochodem, a on miał w tym czasie załatwić jakiś lewy interes. Kropnąłem tego szachraja i obrabowałem. Leży w lesie, dokoła śnieg, kraczą wrony, skaczą wiewiórki. Lubię wiewiórki. Leży nieszczęśnik w swoim pierwszorzędnym płaszczu, niedaleko od swojego auta.

Umiem prowadzić samochód. Kocham fiołki i muzykę. Urodziłem się w Zwickau. Mój ojciec był łysym szewcem w okularach, moja matka była praczką o czerwonych rękach. Kiedy się złościła...

I jeszcze raz od początku, z nowymi idiotycznymi szczegółami... Tak oto odbicie ostro się stawia, wysuwa swoje żądania. To nie ja szukałem schronienia za granicą, nie ja zapuściłem brodę, tylko Feliks, mój zabójca. Ach, gdybym znał go dobrze, gdybym obcował z nim przez lata, być może uznałbym za zabawną przeprowadzkę do duszy, którą odziedziczyłem. Znałbym w niej każdy zakamarek, wszystkie korytarze jej przeszłości, mógłbym z radością korzystać ze wszystkich jej wygod. Poznałem jednak duszę Feliksa bardzo powierzchownie, wszystko, co sobie z niej przyswoiłem, to nagi szkielet jego osobowości, kilka przypadkowych cech. Czy powinienem ćwiczyć posługiwanie się głównie lewą ręką?

Z tymi doznaniem, jakkolwiek bardzo nieprzyjemnymi, można było jeszcze jakoś się uporać – w mniejszym lub większym stopniu. Trudno było na przykład zapomnieć, jak krańcowo podatna była ta wypchana czymś miękkim istota, kiedy przygotowywałem jej egzekucję. Te zimne posłuszne łapy! Zbija mnie z pantaląku wspomnienie jego zgodliwości. Paznokiec dużego palca u nogi miał tak twardy, że moje nożyczki nie mogły się początkowo do niego dobrać, zwijał się wokół jednego z ostrzy, jak blacha konserwy mięsnej wokół otwieracza. Czy rzeczywiście ludzka wola jest tak potężna, że potrafi zmienić innego człowieka w kukłę? Czy naprawdę go ogoliłem? Niesamowite! Tak, kiedy sobie to wszystko przypomniałem, najbardziej dręczyła mnie uległość Feliksa, groteskowa, bezmózga, automatyczna uległość. Ale, jak już mówiłem, dałem sobie z tym radę. O wiele gorsze było to, że nie mogłem dojść do ładu z lustrami. W gruncie rzeczy broda, którą zacząłem zapuszczać, miała mnie ukryć nie tyle przed innymi, ile przed samą sobą. Okropna jest hipertrofia wyobraźni. Nietrudno więc zrozumieć, że człowieka obdarzonego tak wielką wrażliwością, jak moja, piekielnie dręczą głupstwa w rodzaju odbicia w mrocznym lusterku czy

własnego cienia padającego trupem u jego stóp *und so weiter*. Stop, zatrzymajcie się na chwilę, panie i panowie – wznoszę olbrzymią białą dłoń jak niemiecki policjant, stop! Proszę tylko, ludkowie moi, bez westchnień współczucia! Litości – stop! Nie przyjmuję waszej sympatii, jako że znajdzie się między wami z pewnością parę dusz, które będą się nade mną litować – nade mną, nie zrozumianym poetą. „Mgła, opary, struna drży we mgle”. Nie, to nie żadne wiersze, ten kawałek jest z wielkiego dzieła starego Dostojnisa *Zbrodnia i fujara*. O, przepraszam: *Schuld und Sühne* (wydanie niemieckie). Jakakolwiek skrucha z mojej strony absolutnie nie wchodzi w żadnym razie w rachubę: artysta nie odczuwa skruchy, nawet wtedy, gdy jego utwór nie zostanie zrozumiany, nie zostanie przyjęty. Co zaś się tyczy pieniędzy z polisy...

Wiem, wiem: z punktu widzenia beletrysty to duży błąd, że w całej mojej opowieści tak mało – jeśli dobrze pamiętam – uwagi poświęca się temu, co wydaje się najważniejszym motywem mojego działania: pragnieniu zysku. Jak to się stało, że tak powściągliwie i mętnie wypowiadam się o celu, do którego dążyłem, przygotowując się do uśmiercenia sobowtóra? Rodzą się jednak we mnie osobliwe wątpliwości: czy istotnie tak bardzo zależało mi na zysku materialnym, czy naprawdę wydawała mi się tak upragniona owa dwuznaczna suma (wartość człowieka w przeliczeniu na pieniądze, rozsądne wynagrodzenie za jego zniknięcie), czy może wyglądało to zgoła odmiennie i pisząca za mnie pamięć nie mogła, będąc całkowicie prawdomówna, postąpić inaczej i przywiązywać jakieś szczególne znaczenie do rozmowy w gabinecie Orloviusa (czy ja opisałem ten gabinet?)?

Jest jeszcze coś, co chciałbym powiedzieć o swoich pośmiertnych nastrojach: jakkolwiek w mojej duszy dusz nie kryją się wątpliwości dotyczące w pełni doskonałego charakteru mego dzieła, wierzę bowiem, że w czarno-białym lesie leży trup przypominający mnie do złudzenia, to przecież jako nowicjusz w świecie geniuszu, jeszcze nie nawykły do kadzideł sławy, ale pełen dumy, która



towarzyszy surowym wymaganiom stawianym samemu sobie, aż do bólu pragnąłem, żeby moje arcydzieło (dokończone i podpisane 9 marca w mrocznym lesie) znalazło uznanie w oczach ludzi, czyli innymi słowy, żeby oszustwo – każde dzieło sztuki jest oszustwem – się udało; zatem honorarium, by tak rzec, wypłacone przez firmę ubezpieczeniową było dla mnie rzeczą drugorzędną. O, tak, byłem bezinteresownym artystą.

To co minie, miłe będzie – jak śpiewa poeta. Pewnego pięknego dnia przyjechała wreszcie do mnie za granicę Lidia. Zadzwoiłem do niej do hotelu. „Spokojnie – powiedziałem surowym i ostrzegawczym tonem, kiedy chciała rzucić mi się w ramiona. – Pamiętaj, że na imię mam Feliks i że jestem jedynie twoim znajomym”. W żałobie było jej bardzo do twarzy, podobnie jak mnie z czarną artystyczną kokardą i zgrabnie przystrzyżoną bródką. Zaczęła opowiadać... tak, wszystko przebiegło, jak przewidywałem, całkiem gładko. Okazało się, że w czasie ceremonii w krematorium płakała całkiem szczerze, kiedy pastor, tłumiąc profesjonalne łkanie, mówił o mnie drżącym głosem: „...i ten człowiek, ten szlachetny człowiek, który...” Powiedziałem jej o swoich dalszych planach i bardzo szybko zacząłem się do niej zalecać.

Jesteśmy teraz małżeństwem – ja i wdówka po mnie. Mieszkamy we własnym domku w cichym, malowniczym miejscu. Długie, leniwe godziny spędzamy w mirtowym ogródku z widokiem na błękitną zatokę daleko w dole, bardzo często rozmawiamy o moim biednym bracie nieboszczyku. Opowiadam ciągle nowe epizody z jego życia.

– Przeznaczenie, kismet – mówi Lidia i wzdycha. – Przynajmniej teraz, w niebie, jego duszę pociesza nasze szczęście.

Tak, Lidia jest ze mną szczęśliwa, nie potrzebuje nikogo innego.

– Jakże się cieszę – mówi czasami – że raz na zawsze pozbyliśmy się Ardaliona. Bardzo mu współczułam i poświęcałam mu dużo czasu, ale tak naprawdę nigdy nie mogłam go znieść. Ciekawe,

gdzie teraz może być. Pewnie zapija się na śmierć, biedaczek. To także przeznaczenie!

Rankami czytam i piszę. Być może opublikuję wkrótce ze dwa drobiazgi pod swoim nowym nazwiskiem; mieszkający w sąsiedztwie pisarz rosyjski wysoko ceni mój styl i żywą wyobraźnię.

Od czasu do czasu Lidia dostaje parę słów od Orloviusa, który przysyła na przykład życzenia noworoczne. Nieodmiennie prosi ją, by przekazała ukłony małżonkowi, którego nie ma przyjemności znać, myśli pewnie przy tym: „Łatwo pocieszyła się, wdowa. Biedny Hermann Karłowicz!”

Czujecie smak tego epilogu? Przyrządziłem go według klasycznej receptury. Mówi się tu trochę o wszystkich postaciach książki, by zgrabnie zakończyć opowieść – a przy tym bieg ich życia przedstawiony jest tak, by dokładnie, choć sumarycznie, odpowiadał temu, co wcześniej powiedziano o ich charakterach; wprowadza się też nutę komiczną, żartując sobie trochę z konserwatyizmu życia.

Lidia jest tak samo roztargniona i nieporządna, jak zawsze...

A na samym końcu epilogu daje się, *pour la bonne bouche*, szczególnie dobroduszny fragmencik, często traktujący o jakimś pozbawionym znaczenia przedmiocie, który mignął nam gdzieś w powieści:

Na ścianie ich sypialni wciąż możecie zobaczyć ten sam pastelowy portret i jak zwykle, widząc go, Hermann śmieje się i przeklina.

Finis. Zegnaj, Turgieniu! Zegnaj, Dostojnisiu!

Marzenia, marzenia... i to dosyć trywialne. Zresztą, kogo to obchodzi?...

Wracajmy do naszej opowieści. Postarajmy się lepiej nad sobą panować. Opuśćmy niektóre szczegóły podróży. Pamiętam, że jak tylko dotarłem do Pignan, niemal na granicy hiszpańskiej, zacząłem

rozglądać się za niemieckimi gazetami. Znalazłem parę, ale nic w nich jeszcze nie było.

Wynająłem pokój w kiepskim hoteliku, duży pokój z kamienną podłogą i ścianami wyglądającymi na kartonowe, zdawało się, że namalowano na nich brunatnożółtawe drzwi, wiodące do sąsiedniego pokoju, i lustro z jednym tylko odbiciem. Było okropnie zimno, ale otwarte palenisko nedorzecznego kominka nie bardziej nadawało się do dostarczania ciepła niż sceniczna dekoracja i kiedy spłonęły przyniesione przez pokojówkę wióry, pokój wydał się jeszcze zimniejszy. Noc, którą tu spędziłem, pełna była wyjątkowo ekstrawaganckich i wyczerpujących snów; a kiedy rano, cały lepki i pokłuty, wyszedłem na wąską uliczkę, odetchnąłem mocnym cikliwym zapachem i znalazłem się w miażdżącym mnie ze wszystkich stron południowym tłumie, rozpychającym się na targowisku, zrozumiałem, że po prostu nie mogę zostać w tym mieście ani chwili dłużej.

Wzdłuż mego kręgosłupa biegły wciąż dreszcze, a głowa mi wręcz pękała, kiedy wszedłem do *syndicat d'initiative*, gdzie gadatliwy typ zaproponował mi kilkanaście ośrodków wypoczynkowych w okolicy; chciałem czegoś wygodnego i zacisznego; kiedy pod wieczór powolny autobus dowiózł mnie pod wybrany przeze mnie adres, stwierdziłem, że to dokładnie to, czego potrzebuję.

Samotny, otoczony dębami korkowymi, stał na uboczu przyzwoicie wyglądający hotelik, którego większa część była jeszcze nieczynna (sezon zaczynał się dopiero latem). Silny wiatr z Hiszpanii naprzykrzał się puszkiwom mimoz. W przypominającym kaplicę pawilonie tryskało lecznicze źródło, w rogach ciemnych rubinowych okien wisiały pajęczyny.

Gości bawiło tu niewiele. Był między nimi doktor, dusza hoteliku i suwerenny władca *table d'hôte*: siedział u szczytu stołu i perorował; był staruszek w alpakowej marynarce, z nosem

przypominającym dziób papugi: wydawał z siebie różnorakie parsknięcia i pochrząkiwania, kiedy z lekkim stukotem stopek szparka kelnerka podawała pstrąga, którego złowił w płynącym nie opodal strumieniu; była trywialna młoda para, która przyjechała do tej dziury aż z Madagaskaru; była drobna staruszka nosząca muślinowy kołnierzyk, nauczycielka; był jubiler z dużą rodziną; była wymuskana młoda osóbka, tytułowana początkowo wicehrabiną, potem hrabiną, a wreszcie (co wprowadza nas w czas, kiedy to piszę) markizą – wszystko dzięki staraniom doktora, który robi co się da, by podnieść reputację zakładu. Wymieńmy też ponurego komiwojażera z Paryża, reprezentującego patentowany gatunek szynki, oraz ordynarnego grubego księdza, który głądził ciągle o pięknie jakiegoś klasztoru w okolicy i, by wyrazić je lepiej, wyrywał sobie pocałunek z mięsistych ust ułożonych w kształt serduszka. To chyba już cała ta kolekcja osobliwości. Dyrektor hotelu z przypominającym żuka czołem stał przy drzwiach, z założonymi na plecach rękami, i patrząc spode łba, śledził ceremonialny obiad. Na zewnątrz szalał niesforny wiatr.

Nowe przeżycia wywarły na mnie błogosławiony wpływ. Jedzenie było dobre. Dostałem słoneczny pokój, ciekawie było obserwować z okna, jak wiatr grubiańsko unosi i odwraca spódniczki oliwek. W oddali na bezlitośnie błękitnym niebie rysował się fiołkoworóżowy stożek góry przypominającej Fudżijamę. Wychodziłem rzadko: przerażał mnie ten rozsadzający mi hukiem czaszkę, wyjący nieustannie, oślepiający wiatr marcowy, ten morderczy przeciąg górski. Niemniej jednak drugiego dnia pobytu pojechałem do miasta po gazety, znowu nic w nich nie było, a ponieważ napięcie rozdrażniało mnie ponad wszelką miarę, postanowiłem nie kłopotać się nimi przez kilka najbliższych dni.

Na table d'hôte wywarłem, obawiam się, wrażenie burkliwego odludka, chociaż starałem się jak mogłem odpowiadać na wszystkie skierowane do mnie pytania; na próżno jednak doktor nalegał, żebym przeszedł po obiedzie do salonu, dusznego pokoiku z

rozstrojonym pianinem, pluszowymi fotelami i okrągłym stolikiem, pełnym prospektów turystycznych. Doktor miał kozią bródkę, wodnistoniebieskie oczy i nieduży wypukły brzusek. Jadł metodycznie i bardzo nieapetycznie. Z jajkami w koszulkach radził sobie w ten sposób, że żółtko nabierał na kawałek chleba i całość przy akompaniamencie obficie napływającej śliny ładował do swoich wilgotnych, różowych ust. Tłustymi od sosu palcami zbierał kosteczki pozostałe po daniach mięsnych na talerzach gości, zawijał byle jak swoją zdobycz i wtykał do kieszeni obszernej marynarki; robiąc to najwyraźniej próbował zyskać sobie opinię ekscentryka: „*C'est pour les pauvres chiens*, dla biednych psów – mówił (i nadal mówi) – zwierzęta są często lepsze od ludzi” – stwierdzenie, które wywoływało (i nadal wywołuje) namiętne dyskusje, przy czym szczególnie złościł się księżulo. Kiedy doktor dowiedział się, że jestem Niemcem i muzykiem, wydawał się zachwycony, a z rzuconych mi spojrzeń pojąłem, że nie tyle moja twarz (znajdująca się na etapie pośrednim między przymiotnikami „nieogolona” a „brodata”) przyciągnęła jego uwagę, ile moja narodowość i mój zawód, w jednym i drugim bowiem upatrywał coś wyraźnie sprzyjającego podniesieniu prestiżu zakładu. Łapał mnie za klapę na schodach albo w jednym z długich białych korytarzy i zaczynał nie kończącą się pogawędkę, to omawiając społeczne ograniczenia przedstawiciela szynki, to znów bolejąc nad nietolerancyjnością księdza. Wszystko to działało mi trochę na nerwy, chociaż do pewnego stopnia było także nie najgorszą rozrywką.

Kiedy tylko zapadała noc i w pokoju zaczynały kołysać się cienie gałęzi, które chwyciła i wypuszczała samotna lampa na podwórzu, bezpłodny i obrzydliwy niepokój wypełniał moją obszerną, nie zamieszkałą duszę. Ależ nie, nigdy nie obawiałem się nieboszczyków, tak samo, jak nie przerażały mnie ani nie przerażają połamane zabawki. Bałem się jedynie, w tym zdradzieckim świecie odbić, że załamie się i nie dotrwam do pewnej niezwyklej, szaleńczo szczęśliwej, rozwiązującej wszystko chwili, do której koniecznie

dotrwać powinienem – do chwili artystycznego tryumfu, dumy, wyzwolenia, rozkoszy: czy mój obraz był oszałamiającym sukcesem, czy smętną klapą?

Szóstego dnia mego pobytu wiatr stał się tak gwałtowny, że hotel można było porównać do okrętu miotanego sztormem: szyby huczały, ściany trzeszczały, a ciężkie wieczne zielone listowie cofało się z szumem, by po chwili przechylić się do przodu i zaatakować budynek. Próbowałem wyjść do ogrodu, ale natychmiast zgięło mnie w pół, cudem utrzymałem kapelusz i wróciłem do pokoju. Stojąc głęboko zadumany przy oknie pośród całego tego zgiełku i rozdzwonienia, nie usłyszałem gongu i kiedy zszedłem na posiłek i zająłem miejsce przy stole, podawano już trzecie danie: mechate podroby w sosie pomidorowym – ulubione jedzenie doktora. W pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na rozmowę przy stole, którą zręcznie dyrygował doktor, ale nagle stwierdziłem, że wszyscy patrzą na mnie.

– *Et vous* – a pan – zwracał się do mnie doktor – co pan sądzi o tej sprawie?

– Jakiej sprawie? – spytałem.

– Rozmawiamy o morderstwie popełnionym *chez vous*, w Niemczech. Jakim potworem musi być człowiek – ciągnął wietrząc interesującą dyskusję – by ubezpieczyć własne życie, a odebrać je innemu...

Nie wiem, co mnie napadło, ale nagle podniosłem rękę i powiedziałem:

– Chwileczkę, wolniej – i zacisnąwszy ją w pięść uderzyłem w stół tak mocno, że pierścień podtrzymujący serwetkę wyskoczył w powietrze; krzychałem głosem, którego nie rozpoznawałem: – Wolniej, wolniej! Jak śmiecie, jakie macie prawo? Znieważać... Nie, nie pozwolę na to! Jak śmiecie... Mój kraj, mój naród... Milczeć!

Milczeć – zawołałem jeszcze głośniej. – Wy...! Jak śmiecie mówić mi w oczy, że w Niemczech... Milczeć!

Po prawdzie wszyscy milczeli już od dłuższej chwili, od chwili kiedy po uderzeniu mojej pięści zaczął się toczyć pierścień. Potoczył się aż do krawędzi stołu, tam ostrożnie zdusił go najmłodszy syn jubilera. Było to milczenie wyjątkowo dobrej jakości. Nawet wiatr, jak mi się zdaje, przestał wyć. Doktor zamarł z nożem i widelcem w powietrzu, mucha zamarła mu na czole. Ścisnęło mnie w gardle, rzuciłem serwetkę i wyszedłem z jadalni, a wszystkie twarze automatycznie obracały się za mną.

Nie zatrzymując się chwyciłem gazetę, która leżała rozłożona na stole w hallu, w pokoju opadłem na łóżko. Drżałem cały, dławiony narastającym szlochem, wstrząsany wściekłością, kłykcie miałem poplamione sosem pomidorowym. Zagłębiając się w lekturę, zdażyłem jeszcze pomyśleć, że to bzdura, zwykły zbieg okoliczności – trudno się spodziewać, żeby Francuzi słyszeli coś o tej sprawie, ale nagle zatańczyło mi przed oczami moje nazwisko, moje poprzednie nazwisko...

Nie pamiętam, czego dokładnie dowiedziałem się z tego konkretnego dziennika, później przerzuciłem całe stosy gazet i wszystkie mi się ze sobą pomieszały, leżą teraz gdzieś tutaj, ale nie mam czasu ich uporządkować. Pamiętam natomiast dobrze, że natychmiast stwierdziłem dwa fakty: po pierwsze, tożsamość mordercy jest znana, po drugie, tożsamość ofiary nie. Notatka nie pochodziła od specjalnego korespondenta, była jedynie krótkim streszczeniem tego, co zapewne pisały gazety niemieckie, było coś nonszalanckiego i bezczelnego w sposobie podania tej informacji, zamieszczonej pomiędzy wiadomościami o walkach politycznych i przypadku choroby papuziej. Wręcz niewypowiedzianie uraził mnie ton tekstu: był tak niestosowny, tak bardzo nie do przyjęcia w stosunku do mnie, że przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy przypadkiem nie odnosi się do jakiejś innej osoby noszącej to samo

nazwisko, tonem takim pisze się bowiem o jakimś półgłówku, który posiekał na kawałki całą rodzinę. Teraz rozumiem, o co chodziło. Był to zapewne fortel międzynarodowej policji, idiotyczna próba zastraszenia mnie i zbitcia z tropu, ale nie zdając sobie z tego sprawy, wpadłem w szal, plamy przesłaniały mi wzrok, błakający się pomiędzy linijkami gazetowej kolumny. Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi. Wsunąłem gazetę pod łóżko i powiedziałem:

– Proszę.

Wszedł doktor. Kończył coś przeżuwać.

– *Ecoutez* – powiedział, ledwie przekroczywszy próg – zaszło jakieś nieporozumienie. Żle pan zrozumiał moje intencje. Bardzo chciałbym...

– Precz! – ryknąłem. – Ale już!

Mina mu zrzędnęła i wyszedł nie zamykając drzwi. Skoczyłem ku nim i zatrzasnąłem je z niewiarygodnym hukiem. Potem wyciągnąłem spod łóżka gazetę, ale nie udawało mi się teraz znaleźć w niej tego, co czytałem przed chwilą. Przystudiowałem ją od początku do końca: nic! Czyżby mi się to przyśniło? Zacząłem przeglądać poszczególne strony na nowo. Przypominało to koszmar senny, w którym coś się gubi i nie tylko nie sposób tego znaleźć, ale w dodatku nie ma owych naturalnych praw, które wnoszą w poszukiwania pewną logikę – wszystko jest absurdalnie bezkształtne i samowolne. Nie, w gazecie nie było o mnie najmniejszej wzmianki. Nic a nic. Musiałem chyba być w stanie ślepego wzburzenia, ponieważ chwilę potem stwierdziłem, że trzymam stary niemiecki szmatławiec, a nie paryski dziennik, który czytałem wcześniej. Dałem znowu nura pod łóżko, odzyskałem właściwą gazetę i przeczytałem raz jeszcze trywialną, a nawet wręcz oszczerczą notkę. Wreszcie zaświtało mi, co wstrząsnęło mną najbardziej – jako obelga: nie było tu ani słowa o naszym podobieństwie. Nie tylko nie skrytykowano go (mogli przynajmniej napisać: „Owszem, nadzwyczajne podobieństwo, jednak takie a takie znaki dowodzą, że



nie są to jego zwłoki”), ale w ogóle o nim nie wspomniano, miało się więc wrażenie, że był to jakiś nieszczęśnik o powierzchowności najzupełniej różnej od mojej. Jak to, przez jedną noc nie mógł przecież ulec aż takiemu rozkładowi, wprost przeciwnie – jego twarz powinna była zmarmurowieć, cyzelując jeszcze bardziej naszą identyczność. Gdyby jednak trupa znaleziono nawet dobrych kilka dni później, co dałoby figlarnej Śmierci czas na dobranie się do niego, to poszczególne stadia rozkładu odpowiadałyby przecież moim – obawiam się, że widać cholerny pośpiech w sposobie mojego wyrażania się, ale nie jestem w nastroju do finezji. To sztuczne ignorowanie tego, co dla mnie było najcenniejsze i najważniejsze, wydało mi się wyjątkowo podłą sztuczką: niby to od samego początku wszyscy doskonale wiedzieli, że to nie ja, po prostu nikt żadną miarą nie mógł pomylić jego zwłok z moimi – tak to wyglądało. A niestaranny sposób, w jaki historię opowiedziano, zdawał się sam w sobie podkreślać mój błąd, błąd, którego bym na pewno nigdy, ale to nigdy nie popełnił – byli tam, zakrywali usta i odwracali mordy, milczący, ale cali rozdygotani, byli, zbóje, kipieli radością, tak, złą mściwą radością; tak, mściwą, szyderczą, nieznośną...

Znowu rozległo się pukanie, zerwałem się na równe nogi, ciężko łapiąc powietrze. Weszli doktor i dyrektor hotelu.

– *Voilà* – powiedział doktor głęboko urażonym głosem, zwracając się do dyrektora i wskazując na mnie. – Ten pan nie tylko obraził się o coś, czego bynajmniej nie powiedziałem, ale teraz mnie znieważa, nie chce mnie wysłuchać i zachowuje się wyjątkowo grubiańsko. Czy byłby pan łaskaw porozmawiać z nim? Nie przywykłem do takich manier.

– *Il faut s'expliquer* – powinien się pan wytłumaczyć – spozierając na mnie ponuro, powiedział dyrektor. – Jestem pewien, że pan sam...

– Wyjdźcie stąd! – zawołałem, tupiąc nogami. – To, co ze mną wyczyniacie... To przekracza... Nie wolno wam upokarzać mnie i mścić się... Żądam, słyszycie, żądam...

Doktor i dyrektor, obaj z uniesionymi dłońmi, jak nakręcone zabawki tańcząc na sztywnych nogach, coś do mnie zatrajkotali i podchodzili coraz bliżej. Nie mogłem już tego wytrzymać, atak wściekłości minął, ale za to poczułem wzbierające we mnie łyzy i nagle, pozostawiając zwycięstwo każdemu, kto był go żądny, upadłem na łóżko i wybuchnąłem gwałtownym płaczem.

– To nerwy, to wszystko nerwy – powiedział doktor, mięknąc jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Dyrektor uśmiechnął się i wyszedł z pokoju, bardzo delikatnie zamykając za sobą drzwi. Doktor nalał mi szklanke wody, zaproponował, że przyniesie środek uspokajający i poklepał mnie po ramieniu; a ja dalej płakałem, doskonale zdając sobie sprawę ze swego położenia, z chłodną drwiącą jasnością widziałem jego wstydlivość, jednocześnie zaś czułem dostojnisiowaty, biesisty i zawieszisty urok hysterii, jak również niejasną korzyść z niej wypływającą, toteż dalej dygotałem i wzdychałem ciężko, wycierając policzki dużą, brudną, śmierdzącą mięsem chusteczką, ofiarowaną mi przez doktora, który gładził mnie i kojącym tonem mamrotał:

– To tylko nieporozumienie! *Moi qui dis toujours*... Ja, który zawsze mówię, że dość już mamy wojen... Macie swoje wady, a my mamy swoje. Trzeba zapomnieć o polityce. Po prostu nie zrozumiał pan, o czym mówimy. Pytałem tylko, co pan sądzi o tym morderstwie...

– Jakim morderstwie? – spytałem chlipiąc.

– Och, *une sale affaire* – okropna historia: wymienił z kimś ubranie, a potem go zabił. Ale proszę się uspokoić, przyjacielu, nie tylko w Niemczech popełnia się morderstwa, mamy dzięki Bogu swoich Landru, nie jesteście więc osamotnieni. *Calmez-vous*, to

wszystko nerwy, tutejsza woda doskonale działa na nerwy, czy ściślej mówiąc na żołądek, *ce qui revient au même, d'ailleurs*.

Przez chwilę jeszcze trajkotał, a potem wstał. Z podziękowaniem oddałem mu chusteczkę.

– A wie pan... – powiedział, stojąc już w drzwiach. – Zawrócił pan w głowie naszej małej księżniczce. Powinien pan coś zagrać dziś wieczorem na pianinie (zamachał palcami naśladując tryl), a proszę mi wierzyć, że wskoczy panu do łóżka.

Był już właściwie na korytarzu, ale zmienił zamiar i wrócił.

– W szalonych młodych latach – powiedział – kiedyś, jak to studenci, hulaliśmy sobie, najbardziej zalał się największy bezbożnik pośród nas, kiedy był już całkiem gotów, ubraliśmy go w sutannę, wygoliliśmy mu na łbie kółko i późną nocą zastukaliśmy do bramy klasztoru, pojawiła się zaraz mniszka, a jeden z nas mówi do niej: „*Ah, ma soeur, voyez dans quel triste état s'est mis ce pauvre abbé* – proszę spojrzeć, w jakim smutnym stanie znajduje się ten ksiądz! Proszę go przyjąć, niech się wyśpi w jednej z waszych cel”. I niech pan sobie wyobrazi, zakonnice go przyjęły. Aleśmy się uśmiali! – doktor lekko przysiadł i klepnął się po udach. Nagle przyszło mi do głowy, że kto wie, może mówiąc to wszystko (przebrali go... chcieli, żeby uchodził za kogo innego...), ma jakiś sekretny plan, że może posłano go, żeby szpiegował... i znowu opanowała mnie wściekłość, ale kiedy spojrzałem na jego idiotycznie promienne zmarszczki, zdołałem się opanować i niby to się zaśmiałem; bardzo zadowolony, pomachał mi ręką i wreszcie, wreszcie zostawił mnie w spokoju.

Mimo groteskowego podobieństwa do Zwyródiona Romansowicza Raskolnikowa... Nie, źle. Usunąć. Co było dalej? A tak, postanowiłem, że przede wszystkim muszę zdobyć jak najwięcej gazet. Zbiegłem na dół. Na schodach natknąłem się na tłustego księżula, który spojrzał na mnie ze współczuciem: z jego maślanego uśmiechu wywnioskowałem, że doktor zdażył już opowiedzieć całemu światu o naszym pojednaniu.

Ledwie wyszedłem na podwórze, ogłuszył mnie wiatr, nie poddałem się jednak, lecz skwapliwie przywarłem do bramy; potem nadjechał autobus, dałem mu znak, wgramoliłem się do środka i potoczyliśmy się w dół wzgórza, a biały kurz wirował jak szalony. W mieście dostałem kilka niemieckich dzienników i skorzystałem z okazji, żeby wpaść na pocztę. Listu dla mnie nie było, ale z drugiej strony w gazetach znalazłem dużo informacji, zbyt dużo, niestety... Teraz, po tygodniu absorbującej pracy literackiej, jestem już wyleczony i czuję tylko pogardę, ale wówczas chłodny, drwiący ton prasy doprowadzał mnie niemal do obłędu.

Oto ogólny obraz, jaki ostatecznie udało mi się odtworzyć: w niedzielę 10 marca w południe fryzjer z Koenigsdorfu znalazł w lesie zwłoki. Jak to się stało, że trafił do tego lasu, którego nie odwiedzano nawet latem, i dlaczego oznajmił o swoim odkryciu dopiero wieczorem, to nadal nie rozwiązane zagadki. Z kolei następuje owa niebywale zabawna historyjka, którą już chyba przytoczyłem: samochód, specjalnie zostawiony przeze mnie na skraju lasu, zniknął. Jego ślady w kształcie powtarzającej się litery „T”, pozwoliły ustalić rodzaj opon, a jacyś mieszkańcy Koenigsdorfu, obdarzeni fenomenalną pamięcią, przypomnieli sobie, że widzieli przejeżdżającego niebieskiego ikara, mały model z kołami o drucianych szprychach. Inteligentni i mili chłopcy z warsztatu samochodowego na mojej ulicy dodali do tego informacje o mocy w koniach mechanicznych i liczbie cylindrów i podali nie tylko numer rejestracyjny, ale także numery fabryczne silnika i podwozia.

Ogólnie sądzi się, że teraz właśnie tym swoim ikarem gdzieś sobie jeżdżę, co rozśmiesza mnie do upojenia. Jest dla mnie oczywiste, że ktoś zobaczył z szosy mój samochód i bez ceregieli go sobie przywłaszczył, w pośpiechu przeoczywszy leżące niedaleko zwłoki.

Fryzjer, który znalazł trupa, utrzymuje – na odwrót – że w pobliżu nie było żadnego samochodu. Jest to postać nader

podejrzana! Wydawałoby się rzeczą jak najbardziej naturalną, by policja go capnęła – ludzi ścinano za większe drobnostki, ale możecie być pewni, że nic takiego się nie stało, nawet im się nie przyśniło dopatrzeć się w nim podejrzanego o morderstwo: nie, winę zwalono na mnie, natychmiast, bez żadnych zastrzeżeń, z zimną i gruboskórną gwałtownością, jak gdyby niecierpliwie czekali na radość skazania mnie, jak gdyby to była zemsta, jak gdybym od dawna ich obrażał, a oni od dawna gorąco pragnęli mnie ukarać. Nie tylko uznawszy z osobliwą i niczym nie uzasadnioną pewnością, że zmarły nie może być mną, nie tylko nie zauważywszy naszego podobieństwa, ale *a priori* wykluczyszy jego możliwość (bo człowiek nie widzi tego, czego nie chce widzieć), policja z błyskotliwą konsekwencją wyraziła zdziwienie, że chciałem oszukać świat, przebierając po prostu w swoje ubranie człowieka wcale mnie nie przypominającego. Głupota i jawna niesprawiedliwość tego rozumowania są nad wyraz komiczne. Następnym logicznym krokiem na tej drodze było uczynienie ze mnie niedorozwiniętego umysłowo, wysunięto nawet przypuszczenie, że nie jestem całkiem zdrowy psychicznie, a niektóre ze znających mnie osób przypuszczenie to potwierdziły, uczynił to między innymi ten osioł Orlovius (ciekaw jestem, kim są ci inni), stwierdził mianowicie, że pisywałem sam do siebie listy (dość niespodziewana rzecz).

Absolutnie zbijało policję z tropu pytanie, jak moja ofiara (słowem „ofiara” prasa szczególnie się rozkoszowała) znalazła się w moim ubraniu, czy mówiąc ściślej, w jaki sposób zdołałem zmusić żywego człowieka do włożenia nie tylko mojego garnituru, ale nawet moich skarpetek i butów, które będąc dla niego za małe, musiały go cisnąć (no cóż, buty mogłem mu włożyć *post factum* – bystre chłopaki!).

Wbijając sobie do głowy, że to nie moje zwłoki, zachowywali się dokładnie tak, jak krytyk literacki, który ledwie zobaczywszy książkę nie cenionego przez siebie autora, od razu decyduje, że dzieło jest bezwartościowym śmieciem i na podstawie tego niczym nie uzasad-

nionego przypuszczenia stawia tezy i dowodzi tego, czego chce dowieść. Postawieni wobec cudu podobieństwa Feliksa do mnie, rzucili się na drobne i błahe skazy, które przy głębszym i bardziej subtelnym podejściu do mego arcydzieła przeszłyby nie zauważone, bo przecież pięknej książki bynajmniej nie psuje błąd druku czy lapsus autora. Wspomniano o szorstkości rąk, znaleziono nawet jakiś niezwykle doprawdy istotny nagniotek, zauważono jednak schludny stan paznokci na wszystkich czterech kończynach, ktoś – jak przypuszczam fryzjer, który znalazł zwłoki – zwrócił uwagę detektywów na fakt, że sądząc po pewnych szczegółach widocznych dla profesjonalisty (urocze), paznokcie musiał obciąć człowiek znający się najoczywiściej na rzeczy – co powinno obciążyć jego, a nie mnie!

W żaden sposób nie mogę ustalić, jak na przesłuchaniu zachowywała się Lidia. Ponieważ nikt nie miał wątpliwości, że to nie mnie zamordowano, z pewnością była, a może nawet jest nadal podejrzewana o współudział: sama sobie jest winna, powinna była zrozumieć, że z pieniędzy za polisę nici i nie ma się co pchać z wdowimi lamentami. Po pewnym czasie z pewnością się załamie, nie zwątpi wprawdzie w moją niewinność, ale starając się ratować mi życie, wypaple tragiczną historię mojego brata, zupełnie na darmo zresztą, bo bez większych trudności będzie można stwierdzić, że nigdy brata nie miałem, a co do teorii samobójstwa, no cóż, bardzo wątpliwe, by wyobrażenia czynników oficjalnych przełknęła całą aferę ze sznurkiem i cynglem.

Wyjątkowo ważny dla mojego obecnego bezpieczeństwa jest fakt, że tożsamość zamordowanego jest nie znana i nie może być znana. Przez cały czas posługuję się jego nazwiskiem i zostawiłem już tu i ówdzie jego ślady, toteż mogliby mnie raz-dwa wytropić, gdyby odkryto kogo, jak się to mówi, załatwiłem. Odkryć tego jednak nie sposób, co bardzo dla mnie wygodne, jako że jestem zbyt zmęczony, by znowu snuć jakieś plany i by je realizować. Jakże zresztą miałbym się wyzbyć imienia, które z taką zręcznością dla

siebie zdobyłem? Bardzo przecież przypominam to swoje imię, panowie, leży na mnie jak ulał, tak jak kiedyś leżało jak ulał na nim. Trzeba być idiotą, żeby tego nie rozumieć.

Co się zaś tyczy samochodu, to prędzej czy później powinien się znaleźć – nic im to nie pomoże, bo chciałem przecież, żeby go znaleźli. Boki zrywać! Myśla, że siedzę sobie potulnie za kierownicą, a w istocie znajdą najzwyczajniejszego w świecie złodzieja, najzwyczajniej w świecie przerażonego.

Nie wspomnę tu okropnych epitetów, jakimi ci nieodpowiedzialni pisarczykowie, ci dostawcy dreszczy zgrozy, ci nikczemni szarlatani, stawiający swoje kramy na brzegu kałuży krwi, uznali za stosowne mnie obdarzyć, nie zamierzam się też rozwodzić nad solennymi tezami psychoanalitycznego charakteru, które ci tani reklamiarze uwielbiają. Wszystkie te bzdury i brudy z początku budziły moją wściekłość, zwłaszcza porównywanie mnie z tym czy innym półgłówkiem o wampirycznych skłonnościach, który w swoim czasie przyczynił się do podniesienia nakładu gazet. Pewien gość na przykład spalił swój samochód ze zwłokami ofiary w środku, rezolutnie odpiłowałszy jej uprzednio kawałki stóp, jako że trup okazał się od niego, właściciela samochodu, wyższy. Ale do diabła z nimi wszystkimi! Nie mam z nimi nic wspólnego. Do furii doprowadziło mnie też opublikowanie przez gazety mojej fotografii paszportowej (na której rzeczywiście wyglądam jak kryminalista, bynajmniej nie będąc podobny do siebie samego, tak złośliwie ją podretuszowano), a nie jakiejś innej, na przykład tej, na której pogrążony jestem w lekturze – sporo kosztowało to zdjęcie utrzymane w delikatnych odcieniach mlecznej czekolady. Ten sam fotografik przedstawił mnie w innej pozie: palec u skroni, poważne oczy spoglądające spode łba – tak lubią się fotografować niemieccy powieściopisarze. Doprawdy, mieli wiele zdjęć do wyboru. Jest też kilka dobrych fotografii amatorskich – na przykład ta, która ukazuje mnie w kąpielówkach na parceli Ardaliona.

Ale, ale, byłbym zapomniał, w trakcie dokładnego przeszukiwania terenu policja, która sprawdzała każdy krzaczek i nawet rozkopywała ziemię, nie znalazła nic; nic z wyjątkiem jednego niezwykłego przedmiotu, a mianowicie – butelki, słynnej butelki z samogonem. Przeleżała tam od czerwca, o ile dobrze pamiętam, opisałem, jak Lidia ją chowała;.. Szkoda, że gdzieś w pobliżu nie zakopałem bałałajki, by ucieszyć ich wyobraźnię obrazem słowiańskiego mordy, któremu akompaniuje brzękanie kielichów i głos śpiewający *Požalej ze mienia dorogaja* – „ach, pożaluj ze ty mnie, najmilsza”.

Ale dosyć już, dosyć. Całe to obrzydliwe zamieszanie to rezultat inercji, głupiego uporu, uprzedzeń ludzi, którzy nie rozpoznali mnie w zwłokach mego nieskazitelnego sobowtóra. Z uczuciem goryczy i pogardy przyjmuję nagi fakt braku uznania (na czyjeż mistrzostwo nie rzucał on ponurego cienia?), ale nadal jestem absolutnie przekonany o doskonałości mego sobowtóra. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Błędy, rzekome błędy, narzucili mi retrospektywnie moi krytycy; pochopnie doszedłszy do niczym nie uzasadnionego wniosku, że sama moja koncepcja była zdecydowanie mylna, natychmiast wyłowili błahe sprzeczności, z których sam doskonale zdaję sobie sprawę i które w ostatecznym rozrachunku nie mają żadnego znaczenia dla sukcesu artysty. Twierdzę, że wszystko zostało zaplanowane i wykonane z największą możliwą zręcznością, że ostateczna doskonałość dzieła była w pewnym sensie nieunikniona, że poszczególne elementy ułożyły się w całość niezależnie od mojej woli, jedynie dzięki twórczej intuicji. Toteż, by zdobyć uznanie, by usprawiedliwić i uratować dziecię swego umysłu, by wytłumaczyć światu całą głębię swego kunsztu, przedsięwzięłem napisanie niniejszej opowieści.

Albowiem kiedy zmiałem i cisnąłem gdzieś ostatnią gazetę, wyssawszy ją przedtem do końca, dowiedziawszy się wszystkiego, poczułem palące świerzbienie i gwałtowną żądzę podjęcia natychmiast pewnych tylko dla mnie zrozumiałych kroków; w tym



właśnie stanie ducha siadłem za stołem i zacząłem pisać. Gdybym nie był absolutnie przekonany o swojej sile pisarskiej i niezwykłym talencie... początkowo szło trudno, pod górkę. Ciężko dyszałem, przystawałem i ruszałem znowu. Mój trud bardzo mnie wyczerpywał, ale sprawiał też osobliwą rozkosz. Tak, było to niebezpieczne lekarstwo, nieludzki, średniowieczny środek na przecyszczenie, ale okazało się skuteczne.

Od dnia, kiedy rozpocząłem pracę upłynął cały tydzień, a teraz moje dzieło zbliża się do końca. Jestem spokojny. Wszyscy w hotelu są dla mnie cudownie mili, słodziutko uprzejmi. Posiłki spożywam obecnie osobno, przy małym stoliku pod oknem. Doktor pochwała to odosobnienie i wyjaśnia wszystkim – jestem w zasięgu jego głosu, ale on na to nie zważa – że ludzie nerwowi potrzebują spokoju, a muzycy z reguły są ludźmi nerwowymi. Podczas posiłków zwraca się do mnie często ze swego honorowego miejsca przy table d'hôte, polecając jakąś potrawę albo żartobliwie pytając, czy nie dałbym się skusić i wyjątkowo tego dnia nie przyłączył się do wspólnej uczyty, wówczas wszyscy spoglądają na mnie niezwykle dobrodusznie.

Jakże jednak jestem zmęczony, jak śmiertelnie zmęczony. Były takie dni, na przykład przedwczoraj, kiedy z wyjątkiem dwu krótkich przerw pisałem jednym ciągiem przez dziewiętnaście godzin. Sądzić może, że potem zasnąłem? Nie, nie mogłem zasnąć, całe moje ciało naprężało się i trzaskało jak gdyby łamano mnie kołem. Teraz jednak, kiedy kończę pracę i nie mam już prawie nic do dodania, okropnie bolesne wydaje się rozstanie ze wszystkimi tymi zapisanymi papierzyskami, ale rozstać się z nimi muszę; przeczytawszy swoje dzieło, poprawiwszy, włożywszy do koperty i dzielnie wysławszy, sam ruszę chyba dalej, do Afryki, do Azji, wszystko jedno dokąd – ale jakże nie chce mi się ruszać, jakże pragnę spokoju. No bo doprawdy, niech sobie czytelnik wyobrazi położenie człowieka pędzącego życie pod pewnym nazwiskiem nie dlatego, że innego pasz...

## ROZDZIAŁ XI

Przeniosłem się trochę wyżej: do zmiany miejsca pobytu zmusiła mnie katastrofa.

Myślałem, że będzie wszystkiego dziesięć rozdziałów – pomyłka! Zabawnie przypomnieć sobie, jak energicznie, jak zdecydowanie, na nic nie bacząc, dopisywałem rozdział dziesiąty, co mi się nie całkiem udało – urwałem ostatni akapit na rymie do „aż”. Wdarła się do mnie pokojówka, żeby posprzątać, toteż nie mając nic lepszego do roboty, zszedłem do ogrodu, otoczyła mnie tam rajska, delikatna cisza. W pierwszej chwili nie zdałem sobie nawet sprawy, co się dzieje, ale otrząsałem się i nagle pojąłem: potężny wichur, który ostatnio tu szalał, teraz się uspokoił.

Powietrze było boskie, fruwał w nim jedwabisty puch wierzbowy, nawet zieleń nie zrzucających liści drzew usiłowała wyglądać na świeżą, a na wpół obnażone, atletyczne torsy dębów korkowych połyskiwały nasyconą czerwienią.

Poszedłem szosą, po mojej prawej ręce pochylały się śniade winorośle, ich jeszcze nagie pędy stały w wyrównanych szeregach i wyglądały jak krzywe, skulone krzyże cementarne. Po chwili usiadłem na trawie i przez winnice przyglądałem się odzianemu w złociste janowce wierzchołkowi pagórka, który aż do ramion zakrywało gęste listowie dębów, i bardzo, bardzo głębokiemu, bardzo, bardzo błękitnemu niebu. Pomyślałem ze swego rodzaju rozplywającą się tkliwością (bo być może zasadniczą, acz ukrytą cechą mojej duszy jest tkliwość), że zaczęło się nowe proste życie, a brzemię wyczerpujących fantazji pozostało z tyłu, za mną. Wtedy od strony mojego hotelu ukazał się w oddali autobus i postanowiłem po raz ostatni rozerwać się lekturą berlińskich gazet. W autobusie udawałem, że śpię (a nawet, że uśmiecham się przez sen), ponieważ

zauważyłem wśród pasażerów szynkowego agenta, ale wkrótce naprawdę zasnąłem.

Zdobyłem w mieście to, co chciałem, ale otworzyłem gazetę dopiero po powrocie i z dobrodusznym chichotem zabrałem się do czytania. Nagle na dobre wybuchnąłem śmiechem: znaleziono samochód.

Jego zniknięcie wyjaśniło się w następujący sposób: rankiem 10 marca szło szosą trzech wesołych kompanów: bezrobotny mechanik, znany nam już fryzjer i brat fryzjera, młodzieniec bez określonej profesji – w oddali na skraju lasu wysłedzili blask chłodnicy samochodu i bezzwłocznie do niego podeszli. Fryzjer, człowiek stateczny i prawomyślny, utrzymywał, że należy poczekać na właściciela, a gdyby się nie pojawił, odprowadzić samochód na posterunek policji w Koenigsdorfie, ale jego brat oraz mechanik, obydwaj żartownisie z natury, mieli inną propozycję. Fryzjer odpowiedział, że na nic takiego nie pozwoli, i zagłębił się w las, rozglądając się przy tym dokoła. Wkrótce natknął się na zwłoki. Popędził z powrotem, nawołując swoich kompanów, ale stwierdził z przerażeniem, że nie ma ani ich, ani samochodu. Przez pewien czas kręcił się to tu, to tam, spodziewając się, że mogą wrócić. Nie wrócili jednak. Pod wieczór wreszcie zdecydował się poinformować policję o swym „makabrycznym odkryciu”, ale wiedziony braterską miłością, ani słowem nie wspomniał o samochodzie.

Obecnie wyszło na jaw, że owi dwaj hultaje szybko rozbili mojego ikara, po czym ukryli go i postanowili z niczym się nie zdradzać, ale po namyśle przyznali się do wszystkiego. „W samochodzie – dodawała notatka – znaleziono przedmiot pozwalający ustalić tożsamość zamordowanego”.

Początkowo przez pomyłkę przeczytałem: „tożsamość mordercy”, co rozweseliło mnie jeszcze bardziej, bo czyż od początku nie było wiadomo, że samochód należy do mnie? Powtórna lektura skłoniła mnie jednak do myślenia.

Irytowało mnie to zdanie. Była w nim jakaś idiotyczna tajemniczość. Oczywiście od razu powiedziałem sobie, że albo to jakaś nowa pułapka, albo znaleźli coś równie ważnego, jak owa śmieszna butelka wódki. Dręczyło mnie to jednak – przez chwilę skrupulatnie przeglądałem w pamięci wszystkie przedmioty, które brały udział w całej imprezie (przypomniałem sobie nawet tę szmatę, której używał jako chusteczki do nosa, i jego odrażający grzebień), a jako że działałem wtedy z przenikliwą i niewzruszoną precyzją, bez trudu prześledziłem w myśli poszczególne etapy operacji i stwierdziłem, że wszystko jest w porządku. *Quod erat demonstrandum.*

Na próżno: nie zaznałem spokoju... Czas był najwyższy, żeby zakończyć ostatni rozdział, ale zamiast pisać, znowu wyszedłem na dwór i wałęsałem się do późna, a wróciwszy, byłem tak wyczerpany, że mimo dręczącego mnie niejasnego niepokoju natychmiast zapadłem w sen. Śniło mi się, że po nudnych poszukiwaniach (za kulisami – nie pokazano ich w moim śnie) znalazłem wreszcie Lidię, która ukrywała się przede mną i która spokojnie oznajmiła, że wszystko jest jak trzeba, podjęła pieniądze z ubezpieczenia i ma zamiar poślubić innego mężczyznę, „bo, sam rozumiesz – powiedziała – ty przecież nie żyjesz”. Obudziłem się potwornie wściekły, serce waliło mi jak szalone: wykiwany! bezradny! – bo jak nieboszczyk może pozwać do sądu osobę żyjącą – tak, bezradny – a ona dobrze o tym wiedziała! Potem opamiętałem się i wybuchnąłem śmiechem: co za bzdury mogą się człowiekowi przyśnić. Nagle jednak poczułem, że atmosfera pełna jest czegoś niezwykle nieprzyjemnego, z czym nie sposób uporać się nawet najgłośniejszym śmiechem, i że winien jest temu nie mój sen, tylko tajemniczy charakter wczorajszych doniesień w gazecie: znaleziony w samochodzie przedmiot... a jeśli – pomyślałem – to nie jest ani chytry podstęp, ani wyolbrzymienie bezwartościowego odkrycia; jeśli rzeczywiście udało się ustalić nazwisko truposza i jeśli jest to nazwisko prawdziwe. Nie, było w tym wszystkim zbyt wiele „jeśli”;

przypomniałem sobie, jak starannie prześledziłem wczoraj podobne eleganckim i regularnym torom biegu planet krzywe, po których poruszały się poszczególne przedmioty, och, mógłbym kropkowaną linią nakreślić ich orbity! Niemniej jednak mój umysł nie odzyskał spokoju.

Szukając sposobu uwolnienia się od tych nieznośnych przeczuć, zebrałem kartki swego rękopisu, zważyłem je na dłoni, nawet wymamrotałem krotocwilne „no, no!” – i postanowiłem, że przed napisaniem kilku końcowych zdań przeczytam całość od początku do końca.

Pomyślałem sobie, że czeka mnie prawdziwa uczta. Wspaniale było, stojąc w nocnej koszuli przy biurku, uklepywać rękami szeleszczący nawał zapisanych stron. Kiedy już go uklepałem, wszedłem znowu do łóżka i wygodnie ułożyłem pod łopatkami poduszkę, stwierdziłem jednak, że rękopis zostawiłem na biurku, chociaż mógłbym przysiąc, że przez cały czas trzymałem go w rękach. Spokojnie, bez jednego przekleństwa, wstałem i przyniosłem go do łóżka, znowu poprawiłem poduszkę, spojrzałem na drzwi, spytałem sam siebie, czy są zamknięte na klucz, czy nie (zdecydowanie bowiem nie odpowiadała mi perspektywa przerywania lektury w celu wpuszczenia pokojówki, przynoszącej mi zawsze śniadanie o dziewiątej), wstałem jeszcze raz – raz jeszcze całkiem spokojnie – upewniłem się, że drzwi nie są zamknięte, mogę się więc nie przejmować, odchrząknąłem, wróciłem do zmiętoszonego łóżka, ułożyłem się wygodnie i już miałem zacząć czytać, ale tymczasem zgasł mi papieros. Inaczej niż niemieckie, francuskie papierosy domagają się nieustannej uwagi. Gdzie podziały się zapałki? Przed chwilą je miałem! Wstałem po raz trzeci, trzęsły mi się teraz lekko ręce; znalazłem zapałki za kałamarzem, ale wracając do łóżka zmiądziliśmy biodrem inne pudełko, ukrywające się w pościeli, co oznaczało, że znowu mogłem sobie darować wstawanie. Wpadłem w złość. Pozbierałem rozrzucone po podłodze kartki rękopisu, miły przedsmak czegoś wspaniałego, który przenikał mnie jeszcze przed

chwila, zmienił się w coś w rodzaju bólu – w okropną obawę, jak gdyby jakiś złośliwy chochlik obiecywał mi odkrywać coraz więcej błędów, błędy, błędy i nic prócz błędów. Zapaliwszy jednak na nowo papierosa i uderzeniem pięści zmusiwszy krnąbrną poduszkę do uległości, mogłem wreszcie rozpocząć lekturę. Zdziwił mnie brak tytułu na pierwszej stronie, niewątpliwie bowiem wymyśliłem kiedyś tytuł: *Pamiętnik...* czyj? Nie mogłem sobie przypomnieć, a poza tym ten „Pamiętnik” wydał mi się strasznie nudny i oklepany. Jak więc powinienem zatytułować swoją książkę? *Sobowtór*? Ale jest już jeden *Sobowtór* w rosyjskiej literaturze. *Zbrodnia i kalambur*? Niezłe... ale trochę niezgrabne. *Lustro*? *Portret artysty w lustrze*? Nazbyt mdłe, nazbyt *à la mode*... A *Podobieństwo*? *Zapoznane podobieństwo*? *Apologia podobieństwa*? Nie... suche, ze szczyptą filozofowania. A coś w rodzaju: *Trzeba być ślepym, żeby nie mordować*? Za długie. Może: *Odpowiedź krytykom*? albo *Poeta i motłoch*? Muszę to przemyśleć... „Ale najpierw przeczytajmy książkę – powiedziałem na głos – na tytuł czas przyjdzie później.

Zacząłem czytać i wkrótce nie wiedziałem już, czy przed moimi oczami przesuwają się zapisane linijki, czy wizje. Więcej nawet: moja przekształcona pamięć wdychała jakby podwójną dawkę tlenu, w pokoju było jeszcze jaśniej, ponieważ umyto okna, przeszłość rysowała się wyraziściej, ponieważ podwójnie rozświetlała ją sztuka. Znowu wspinałem się na wzgórze pod Pragę, słysząc śpiewającego na niebie skowronka, widząc czerwoną kopułę gazowni, znowu wzięty w kleszcze ogromnego wzruszenia, stawałem nad śpiącym włóczęgą, a on znowu przeciągał się i ziewał i znowu z jego butonierki zwisał, dyndającą główką w dół drobny zwiędły fiołek. Czytałem dalej i kolejno pojawiali się przede mną: moja różowa żona, Ardalion, Orlovius – i wszyscy żyli, ale w pewnym sensie miałem to ich życie w ręku. Znowu patrzyłem na żółty drogowskaz i chodziłem po lesie, a mój umysł układał już fabułę, znowu pewnego jesiennego dnia staliśmy z żoną i obserwowaliśmy liść lecący na spotkanie swego odbicia, a otóż i ja sam – płynnie opadam na ulice

saksońskiego miasta pełnego osobliwych powtórzeń, a otóż i mój sobowtór płynnie wynurza mi się na spotkanie. I znowu oplatałem go pajęczyną swego uroku i wpadał już w potrzask, wymykał się jednak, a ja udawałem, że porzucam swój plan, a potem z niespodziewaną mocą opowieść wybuchła raz jeszcze, domagając się od swego autora dalszego ciągu i zakończenia. I znowu marcowym popołudniem sennie jechałem szosą, a tam, w rowie koło drogowskazu czekał na mnie on.

– Pośpiesz się, musimy jechać.

– Dokąd? – spytał

– Do tego lasu.

– Tam? – spytał i wskazał...

Laską, czytelniku, laską. LASKĄ, czcigodny albo i niegodny czytelniku. Prymitywnie wyciosaną laską z wypalonym na niej imieniem i nazwiskiem właściciela: Feliks Wohlfahrt z Zwickau. Laską wskazał kierunek, łaskawy czytelniku, laską! Wiesz chyba, co to jest laska? To właśnie to, czym wskazał kierunek: laską – potem wsiadł do samochodu, a kiedy wysiadał, zostawił tam laskę, bo przecież samochód przejściowo należał do niego. Odnotowałem nawet jego „cichą satysfakcję”. Jakaż niesamowita jest pamięć artysty! Bije na głowę wszystkie inne rodzaje pamięci. „Tam?” – spytał i wskazał kierunek laską. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony.

Siedziałem na łóżku i wybałuszonymi oczami gapiłem się na stronę, na tę linijkę, którą sam napisałem – przepraszam, nie tyle ja, ile mój niezwykle współpracownik: pamięć – i dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że to już jest nie do naprawienia. Nie fakt znalezienia przez nich jego laski i ustalenia dzięki temu naszego wspólnego nazwiska, fakt, który nieuchronnie doprowadzi teraz do mego ujęcia, o nie, nie to mnie irytowało, tylko myśl, że całe moje arcydzieło, zaplanowane i wykonane z taką drobiazgową staran-

nością, teraz oto w samej swojej istocie uległo zniszczeniu, rozsypało się w próchno – a wszystko to przez błąd, który popełniłem. Słuchajcie, słuchajcie! Przecież nawet gdyby jego zwłoki zostały uznane za moje, to i tak znaleźliby laskę i potem złapaliby mnie, sądząc, że mają jego – oto, co jest najbardziej haniebnym! Przecież wszystko zbudowane było właśnie na niemożliwości błędu, a teraz okazuje się, że błąd był, i to jaki – wyjątkowo prosty, śmieszny i trywialny. Słuchajcie, słuchajcie! Pochylałem się nad pogruchotanymi szczątkami swego wielkiego dzieła, a jakiś przeklęty głos wrzeszczał mi prosto w ucho, że motłoch, który odmówił mi uznania, miał być może rację... Tak, zacząłem wątpić we wszystko, wątpić w to, co najważniejsze, i zrozumiałem, że niewielka reszka mojego życia będzie poświęcona wyłącznie daremnej walce z tym zwątpieniem; uśmiechnąłem się uśmiechem potępionych i tępych, wyjącym z bólu ołówkiem szybko i zdecydowanie napisałem na pierwszej stronie swego utworu: *Rozpacz* – lepszemu tytułu się nie znajdzie.

Pokojówka przyniosła mi kawę. Wypiłem ją, grzanekę zostawiłem nietkniętą. Potem pośpiesznie się ubrałem, spakowałem i sam zniosłem walizkę na dół. Doktor na szczęście mnie nie widział. Dyrektor zdziwił się, że tak nagle wyjeżdżam, i kazał mi zapłacić wygórowany rachunek, ale to nie miało już dla mnie najmniejszego znaczenia: wyjeżdżałem tylko dlatego, że tak się w tego typu przypadkach robi. Hołdowałem pewnej tradycji. Nawiasem mówiąc miałem podstawy, by sądzić, że francuska policja jest już na moim tropie.

W drodze do miasta, widziałem z autobusu dwu policjantów w szybkim samochodzie, białym jak plecy młynarza: pędzili w przeciwnym kierunku i zniknęli w tumanach kurzu; nie mógłbym jednak przysiąc, że jechali, by mnie zaaresztować, co więcej, być może nie byli to wcale policjanci, nie, nie mógłbym przysiąc – przemknęli zbyt szybko. Kiedy przybyłem do Pignan, poszedłem na pocztę, teraz żałuję, że to zrobiłem, bo doskonale obyłbym się bez



listu, który mi wręczono. Tego samego dnia wybrałem na chybił trafił jakiś krajobraz w jaskrawym prospekcie i późnym wieczorem przybyłem tutaj, do tej górskiej wioski. A co do listu... Po namyśle zdecydowałem się go przytoczyć – jako wspaniały przykład złej woli.

„Piszę więc do pana, łaskawco – a to z trzech powodów: (1) prosiła mnie, żebym to zrobił, (2) stanowczo zamierzam powiedzieć Panu bez obwijania w bawełnę, co o nim myślę, (3) szczerze ze swej strony pragnę poradzić, by się Pan sam oddał w ręce sprawiedliwości i rzucił trochę światła na tę krwawą płataninę i obrzydliwą tajemnicę, przez którą oczywiście ona, niewinna i przerażona, cierpi najbardziej. Ostrzegam Pana, że z dużym powątpiewaniem odnoszę się do całej tej historyjki rodem z Dostojewskiego, którą raczył pan jej opowiedzieć. Oględnie rzecz ujmując jest to, ośmielałem się stwierdzić, cholerne kłamstwo. Cholerne i przy tym podłe kłamstwo, jako że grał Pan na jej uczuciach.

Poprosiła mnie o napisanie tego listu, ponieważ myśli, że być może nic Pan jeszcze nie wie; całkiem straciła głowę i powtarza, że wpadnie Pan w złość, jeśli ktoś Panu o tym napisze. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak Pan teraz wpada w złość, musi to być diablo zabawne.

...A więc tak się rzeczy mają! Nie wystarczy wszelako zabić człowieka i odpowiednio go ubrać. Potrzebny jest jeszcze jeden dodatkowy szczegółik, a mianowicie podobieństwo, ale na całym świecie nie ma i być nie może podobnych do siebie ludzi, niezależnie od tego, jak świetnie się ich przebierze. Zresztą nie doszło do roztrząsania takich subtelności, jako że policja od razu powiedziała jej: znaleziono trupa, który ma przy sobie dokumenty pani męża, ale to nie on. Co najstraszniejsze jednak, nauczona przez nędznego podleca, nawet nie zobaczywszy zwłok (nawet nie zobaczywszy – czy to do Pana dociera?), wbrew wszystkiemu upierała się, biedactwo, że to ciało nie kogo innego, tylko jej męża. Nie mogę pojąć, w jaki u

diabła sposób udało się Panu natchnąć kobietę praktycznie Panu obcą takim świętym przerażeniem. Żeby coś takiego osiągnąć, trzeba doprawdy być niezwykłym potworem. Bóg jeden wie, jakie próby jeszcze ją czekają! To niedopuszczalne. Pańskim elementarnym obowiązkiem jest zdjąć z niej cień współudziału. Przecież sprawa jest jasna dla każdego! Te sztuczki z polisami ubezpieczeniowymi są, łaskawco, znane od stuleci. Powiedziałbym nawet, że ta, do której się Pan uciekł, jest najbardziej trywialna i oklepana ze wszystkich.

Następna sprawa: co o Panu myślę. Pierwsze wiadomości doszły mnie w mieście, gdzie ugrzązłem, spotkawszy kilku kolegów artystów. Bo widzi Pan, nie dojechałem do Włoch – i dziękuję losowi, że tak się stało. Wie Pan, co poczułem, kiedy przeczytałem doniesienia? W każdym razie nie zdziwienie! Zawsze wiedziałem, że jest Pan szubrawcem i zbirem, i proszę mi wierzyć, nie zatajałem przed policją tego, co widziałem na własne oczy. Obszernie im więc opisałem, w jaki sposób ją Pan traktował, Pańskie szyderstwa i drwiny, i wyniosłą pogardę, i nieznośne okrucieństwo, i ten chłód, który wszystkich nas przygniatał. Jest Pan zdumiewająco podobny do wielkiego niebezpiecznego dzika z gnijącymi kłami, szkoda że takiego właśnie upieczonego zwierza nie przebrał Pan w swój garnitur. Chcę wyrzucić z siebie coś jeszcze: niech sobie będę kimkolwiek – pijaczną o słabej woli, facetem, który w każdej chwili gotów jest dla sztuki sprzedać swój honor – ale powiadam Panu, wstyd mi, że przyjmowałem rzucane mi przez Pana ochłapy, i gotów jestem głosić mój wstyd wszem i wobec, krzyczeć o nim na ulicach, jeśli tylko pomoże mi się to od niego uwolnić.

Posłuchaj no, dzika świni! Taki stan rzeczy trwać dłużej nie może. Pragnę Pańskiej zagłady nie dlatego, że jest Pan mordercą, ale dlatego, że jest Pan najpodlejszym z drobnych łajdaków, posługującym się dla swych nędznych celów niewinnością naiwnej młodej kobiety, którą całkiem ogłuszył i udręczył dziesięcioletni pobyt w Pańskim prywatnym piekle. Jeśli mimo wszystko w litej

masie Pańskiej czerni jest jeszcze jakaś szczelina jasności – proszę oddać się w ręce policji!”

Powiniennem pozostawić ten list bez komentarza. Bezstronny czytelnik poprzednich rozdziałów nie mógł nie zauważyć, jak przychylnie i uprzejmie odnosiłem się do Ardaliona, a oto, czym człowiek ten mi odpłacał. Ale co tam, co tam... Lepiej przyjąć, że napisał ten wstrętny list na bani – bo doprawdy nazbyt to bezkształtne, nazbyt rażąco mija się z prawdą, nazbyt wiele tu pomówień, których absurdalność uważny czytelnik dostrzeże z łatwością. Nazwać moją wesołą, płytką i nie specjalnie rozgarniętą Lidię „kobietą tak przerażoną, że odchodzi od zmysłów” i – jak to jeszcze ujął? – „udręczoną”, robić aluzje do jakichś nieporozumień pomiędzy nami, dochodzących niemal do wymierzania sobie policzków – no nie, to już, przepraszam, lekka przesada... to już... doprawdy nie wiem, jakich słów użyć. Takie słowa nie istnieją. Mój korespondent wykorzystał już wszystkie, co prawda do czego innego je odnosząc. Od pewnego czasu naiwnie sądziłem, że przekroczyłem już ostateczne granice cierpienia, niesprawiedliwości, niepokoju, toteż czytając ten list wpadłem w okropny stan, dostałem ataku takiego drżenia, że rozdygotały się wszystkie rzeczy wokół mnie: stół, kubek na stole, nawet pułapka na myszy w rogu mojego nowego pokoju.

Nagle jednak uderzyłem się w czoło i wybuchnąłem śmiechem. Jakie to proste! Jak łatwo było wytłumaczyć tajemniczą furję tego listu. To furia posiadacza! Ardalion nie może mi wybaczyć, że wykorzystałem jego imię jako hasło i że zainscenizowałem morderstwo na jego kawałku ziemi. Myli się, wszyscy już dawno zbankrutowali, nie wiadomo, do kogo naprawdę należy ta ziemia, a... Nie, dosyć już, dosyć o tym błaznie Ardalionie! Ostatnie dotknięcie pędzla kończy jego portret, ostatnim machnięciem podpisuję się pod nim w samym rogu. To znacznie lepszy obraz niż

ta maska pośmiertna w okropnych kolorach, którą ten pajac uczynił z mojej twarzy. Dosyć! Wspaniale uchwycone podobieństwo, szanowni panowie.

A jednak... Jak on śmiał?... Och, idź do diabła, idź do diabła, wszyscy idźcie do diabła!

31 marca, nocą

Moja opowieść niestety wyrodnije i przemienia się w dziennik. Nic się jednak nie da zrobić, bo tak przyzwyczailem się do pisania, że nie mogę przestać. Dziennik, przyznaję, to najniższa forma literatury. Znaczący docenią to urocze, zażenowane, niby to wieloznaczne „nocą” (chodzi o to, żeby czytelnik wyobraził sobie literata z gatunku bezsennych: taki blady, taki ciekawy). Prawdę powiedziawszy zresztą, istotnie jest teraz noc.

Wioska, gdzie usycham z tęsknoty, leży w kolebce doliny pomiędzy położonymi blisko siebie wysokimi górami. Wynająłem duży, przypominający stodołę pokój w domu smagłej staruszki, która ma na dole sklep spożywczy. We wsi jest tylko jedna ulica. Mógłbym długo opowiadać o urokach tego miejsca, opisując na przykład chmury wciskające się do domu i przepływające przez pokój – z okien po jednej stronie do okien po drugiej – ale to takie nudne. Bawi mnie fakt, że jestem tu jedynym turystą, na dodatek jeszcze cudzoziemcem, a ponieważ ludność zdążyła wyniuchać (chyba zresztą sam o tym powiedziałem swojej gospodyni), że przyjechałem aż z Niemiec, stałem się obiektem niemałego zainteresowania. Od czasu, kiedy kilka lat temu przybyła tutaj ekipa filmowa, by nakręcić kilka scen z gwiazdeczką wytwórni do filmu *Les Contrebandiers*, nic nie wywoływało tu takiego poruszenia. Powinienem się ukrywać, a ja leżę w najbardziej rzucające się w oczy miejsce, bo trudno znaleźć coś, co byłoby bardziej na widoku, choćby się ogromnie chciało. Rzecz w tym jednak, że jestem

śmiertelnie zmęczony, im szybciej to wszystko się skończy, tym lepiej.

Dzisiaj, bardzo stosownie, zawarłem znajomość z miejscowym żandarmem, całkowicie farsową postacią! Proszę sobie wyobrazić tłustawe indywiduum o różowej twarzy, z nogami w iks i czarnym wąsikiem. Siedziałem przy końcu ulicy na ławce, a wokół mnie wieśniacy mieli pełne ręce roboty czy też raczej starali się sprawiać takie wrażenie, w istocie zaś obserwowali mnie przez cały czas z gorączkowym zaciekawieniem, niezależnie od tego, jaką właśnie przybrali pozę, przyglądali mi się na wszelkie możliwe sposoby: przez ramię, spod pachy, spod kolana – doskonale to wszystko widziałem. Żandarm podszedł do mnie dosyć nieśmiało, wspomniał coś o deszczowej pogodzie, przeszedł na temat polityki, a potem sztuki. Pokazał mi nawet coś w rodzaju pomalowanego na żółto rusztowania, wszystko, co pozostało z kręcenia sceny, w której jednego z przemytników omal nie powieszono. Przypominał mi trochę nieodżałowanego Feliksa: ten ton rozsądku, zdrowy chłopski rozum człowieka, który do wszystkiego doszedł sam. Spytałem go, kiedy ostatni raz kogoś tu aresztowano. Myślał przez chwilę, po czym powiedział, że było to sześć lat temu, kiedy złapali Hiszpana, który podczas jakiejś burdy nie zastanawiając się wiele sięgnął po nóż, a później uciekł w góry. Następnie mój rozmówca uznał za wskazane poinformować mnie, że w górach są niedźwiedzie, specjalnie sprowadzone tam przez człowieka, żeby zwalczały tubylcze wilki – wydało mi się to wyjątkowo komiczne. On jednak się nie śmiał, stał, melancholijnie podkrecając prawą dłońią koniuszek lewego wąsa, i rozprawiał o nowoczesnym systemie edukacji:

– Na przykład ja – powiedział. – Orientuję się w geografii, arytmetyce, sztuce wojennej, mam ładny charakter pisma...

– A czy przypadkiem – spytałem – nie gra pan na skrzypcach?

Ze smutkiem pokręcił głową.

A teraz, dygocząc z zimna w lodowatym pokoju, przeklinając rozszczekane psy, nasłuchując, kiedy szczególnie pułapka w rogu i zetnie głowę anonimowej myszy, machinalnie popijając napar z werbeny, który gospodyni przynosi mi, gdyż uważa, że nie wyglądam zdrowo, i zapewne obawia się, że nie dociągnę do procesu – teraz więc siedzę tu i piszę na tym liniowanym papierze, innego nie dało się we wsi kupić, a potem rozmyślam i znowu patrzę zezem na pułapkę. Dzięki Bogu nie ma w pokoju lustro, podobnie jak nie ma Boga, któremu dziękuję. Wszystko jest mroczne, wszystko jest straszne i nie widzę specjalnego powodu, żeby dalej sterczeć na tym mrocznym, niepotrzebnie wymyślonym świecie. Nie żebym zastanawiał się nad samobójstwem, byłoby to nieekonomiczne, niemal w każdym kraju mamy osobę opłacaną przez państwo za to, że spełnia śmiertelną posługę. A potem głuchy szum pustej wieczności. A najniezwyklejsze jest to, że być może wcale się to jeszcze nie skończy, tzn. nie stracą mnie, tylko skazą na pewien okres ciężkich robót; w takim przypadku niewykluczone, że po jakichś pięciu latach, dzięki takiej czy innej przychodzącej akurat na czas amnestii, wrócę do Berlina i znowu zacznę produkować czekoladę. Nie wiem dlaczego, ale brzmi to nadzwyczaj zabawnie.

Przypuśćmy, że zabijam małpę. Nikt mnie nie rusza. Przypuśćmy, że to wyjątkowo inteligentna małpa. Nikt mnie nie rusza. Powiedzmy, że to nowy gatunek małpy – małpa nie owłosiona i potrafiąca mówić. Nikt mnie nie rusza. Ostrożnie wchodząc po tych subtelnych stopniach, mogę w końcu dojść do Leibniza albo Shakespeare'a i zabić ich, za co nikt mnie nie tknie palcem, nie sposób bowiem określić, gdzie właściwie przekracza się granicę, za którą sofista wpada w kłopoty.

Psy szczekają. Zimno mi. Jakaż męka, śmiertelna, bez wyjścia... Laską wskazał kierunek. Laska. Jakie słowa dadzą się wycisnąć z laski? Skala, salka, las, lak, as. Obrzydliwie zimno. Psy szczekają, jeden zaczyna, a pozostałe przyłączają się do niego. Pada.

Żarówki świecą bladym, żółtym światłem. Cóż ja, u diabła, uczyniłem?

1 kwietnia

Niebezpieczeństwo przerodzenia się mojej opowieści w kiepski dziennik na szczęście zostało zażegnane. Właśnie był tu mój farsowy żandarm: poważny, przy szabli. Nie patrząc mi w oczy, uprzejmie poprosił o dokumenty. Odpowiedziałem, że nic nie szkodzi, w najbliższych dniach wpadnę na posterunek, by dopełnić policyjnych formalności, ale w tej chwili nie chce mi się wstawać z łóżka. Nalegał, był bardzo grzeczny, przeproszał... musi nalegać. Wstałem i dałem mu swój paszport. Kiedy wychodził, w samych drzwiach odwrócił się i – ciągle tym samym uprzejmym tonem – poprosił, żebym nie opuszczał pokoju. A to ci dopiero!

Podkradłem się do okna i ostrożnie uchyliłem firanki. Na ulicy pełno ludzi, stoją i gapią się, chyba ze sto osób, gapią się w moje okno. Zakurzony samochód, w którym siedzi policjant, dyskretnie czeka, zamaskowany cieniem platana. Przez tłum przeciska się mój żandarm. Lepiej nie patrzeć.

Być może to wszystko jest jakimś pseudobytem, złym snem i zaraz gdzieś się obudzę – na trawce pod Pragę. Dobrze przynajmniej, że wytropili mnie tak szybko.

Znów wyjrzałem ukradkiem przez okno. Stoją i patrzą. Są ich setki – mężczyźni w niebieskich kombinezonach, kobiety w czerni, chłopcy od rzeźnika, kwiaciarki, ksiądz, dwie zakonnice, żołnierze, cieśle, szklarze, listonosze, urzędnicy, sklepikarze... Stoją jednak w

całkowitym milczeniu, słyhać tylko świst ich oddechów. Otworzyć by okno i wygłosić krótkie przemówienie...

„Francuzi! To jest próba. Zatrzymajcie tych policjantów. Słynny aktor filmowy wybiegnie za chwilę z tego domu. Jest on wielkim zbrodniarzem, ale koniecznie musi uciec. Zwracamy się do was z prośbą, żebyście przeszkodzili w jego ujęciu. Należy to do fabuły. Francuski tłumie! Chcę, żebyście zrobili dla niego wolne przejście od drzwi do samochodu. Usuńcie kierowcę! Zapalcie motor! Zatrzymajcie tych policjantów, powalcie ich na ziemię, usiądźcie na nich – płacimy im za to. Jesteśmy niemiecką wytwórnią, więc proszę wybaczyć moją francuszczyznę. *Les preneurs de vues*, moi technicy i uzbrojeni doradcy są już między wami. *Attention!* Chcę mieć wolną drogę ucieczki. To wszystko. Dziękuję. Teraz wychodzę”.